Alex Kava

Kolekcjoner

(Przełożyła: Katarzyna Ciążyńska)

Sobota 22 sierpnia

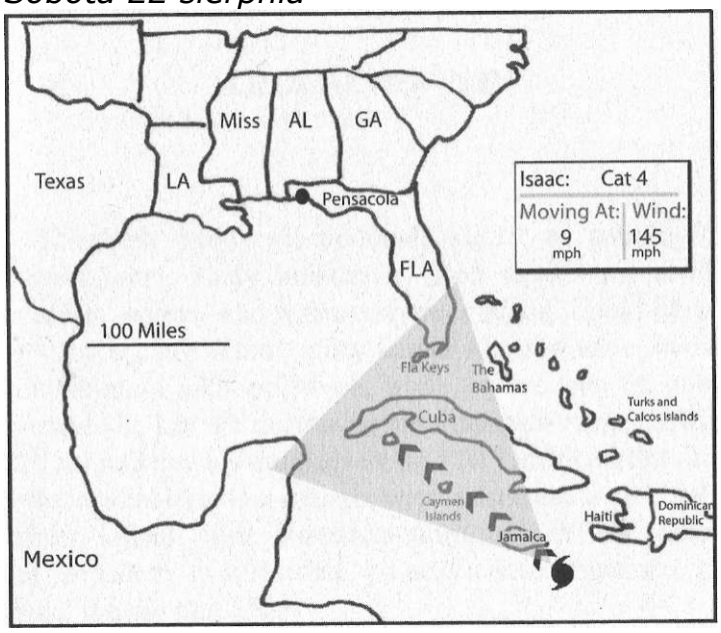

Isaac kat.4

Prędkość huraganu: 14,4 kilometra na godzinę Prędkość wiatru: 232 kilometry na godzinę

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Elizabeth Bailey nie podobało się to, co zobaczyła. Nawet teraz, kiedy helikopter H-65 zawisł niecałych sześćset metrów nad wzburzonymi wodami Zatoki Meksykańskiej, przedmiot, który unosił się na wodzie, nadal przypominał jakiś pojemnik, a nie wywróconą do góry dnem łódź. Liz nie dostrzegła machających rozpaczliwie rąk ani nóg czy wyłaniających się z fal ludzkich głów. Jej zdaniem nie było tam nikogo, więc dalsza akcja nie miała sensu. Jednak pilot, komandor porucznik Wilson, uparł się, że należy to sprawdzić, co oczywiście oznaczało, że zająć ma się tym Liz.

Choć dopiero dwudziestosiedmiolatka, a już weteranka Straży Wybrzeża, technik ratownictwa klasy trzeciej Liz Bailey doskonale wiedziała, że w Nowym Orleanie w ciągu dwóch dni po huraganie Katrina uratowała więcej osób, niż Wilson podczas całej swojej dotychczasowej kariery. Spuszczano ją z pokładu na naruszone przez huragan balkony, podrapała sobie kolana na zniszczonych przez wiatr dachach i brnęła przez brudną, zaśmieconą i cuchnącą jak ścieki wodę.

Nie odważyła się jednak choćby o tym wspomnieć.

W tej chwili nie miało żadnego znaczenia, w ilu akcjach poszukiwawczych i ratowniczych brała udział. W bazie sił powietrznych Marynarki Wojennej była nowa, a to znaczy, że po raz kolejny musiała udowadniać swoją wartość. Na domiar złego w pierwszym tygodniu pracy w szatni dla kobiet ktoś przykleił przedrukowane z

serwera zdjęcia Liz zamieszczone w dwutysięcznym piątym roku w magazynie „People". Jej ówcześni zwierzchnicy uważali, że obszerny ilustrowany artykuł to świetna reklama dla Straży Wybrzeża, zwłaszcza gdy inne rządowe i wojskowe agencje obrywały cięgi za swoje działania podczas huraganu Katrina. Jednak w organizacji, w której skupienie uwagi na jednostce i ego groziło zakłóceniem pracy zespołowej, jej niechciana sława mogła okazać się dla kariery śmiertelnym ciosem. Pięć lat po publikacji artykułu nadal ciągnęło się to za nią jak przekleństwo.

W porównaniu z tym prośba Wilsona wydawała się banalna. Co z tego, że unoszący się na wodzie kontener mógł być zmytą przez fale z pokładu łodzi rybacką lodówką? Co jej szkodzi sprawdzić? Poza takim drobiazgiem, że zadaniem ratowników wodnych jest ratowanie cudzego życia nawet z narażeniem własnego, a nie wyławianie z wody martwych przedmiotów. Prawdę mówiąc, istniała w tej kwestii pewna zasada. W organizmach kilku ratowników, których poproszono o wyciągnięcie na brzeg zbelowanych narkotyków, stwierdzono obecność substancji narkotycznych. Prawdopodobnie doszło do tego na skutek bliskiego kontaktu z wyławianym ładunkiem. Uznano wtedy, że ryzyko jest zbyt duże. Widocznie Wilson nie zapoznał się z odpowiednią notatką służbową.

Poza tym ratownicy mieli także prawo odmówić opuszczenia śmigłowca. Innymi słowy, Liz mogła oznajmić komandorowi porucznikowi Wilsonowi, który nie wylatał jeszcze nawet tysiąca godzin, że „nie, do diabła", nie skoczy do tej wzburzonej wody po dzienny połów jakiegoś rybaka.

Wilson obrócił się na siedzeniu i spojrzał na Liz. Z tą swoją kwadratową szczęką przypominał boksera, który szykuje się do ciosu. Przyszpilił ją wzrokiem, w jego oczach pojawił się groźny błysk. Dla większego efektu uniósł osłonę oczu swojego kasku. Nie musiał głośno mówić tego, co mówił język jego ciała: „Bailey, jesteś primadonną czy członkiem załogi?".

Nie była głupia. Wiedziała, że jako kobieta ratownik należy do rzadkiego gatunku, wszak było ich mniej niż tuzin. Przywykła do tego, że stale musi udowadniać, ile jest warta. Wiedziała, na co naraża się w wodzie, ale znała też zagrożenia na pokładzie helikoptera. Będzie musiała zaufać tym mężczyznom, że wciągną ją z powrotem, kiedy zawiśnie na linie dwadzieścia parę metrów niżej, nad rozszalałym morzem, popychana przez wiatr.

Wcześnie nauczyła się, że jej głównym zadaniem jest wykonanie określonej liczby skomplikowanych popisów ekwilibrystycznych, żeby utrzymać równowagę. Powinna też być absolutnie niezależna i zdolna do samodzielnego działania, choć wiedziała przy tym doskonale, jakie ma słabe punkty. Jej życie znajdowało się w rękach załogi helikoptera. Tego dnia i w przyszłym tygodniu, i jeszcze w następnym, będzie zależna od tych właśnie ludzi. Dopóki nie uznają, że naprawdę

jest coś warta, pozostanie dla nich „wodnym ratownikiem”, a nie „ich wodnym ratownikiem”.

Liz zatrzymała dla siebie te wątpliwości. Unikała wzroku Wilsona i udawała, że bardziej interesuje ją wzburzona woda na dole. Ograniczyła się do słuchania. W kaskach mieli zainstalowany specjalny system łączności CIS. Komandor porucznik Wilson właśnie zaczął wykładać swoją strategię, mówiąc drugiemu pilotowi, porucznikowi Tommy’emu Ellisowi, i mechanikowi pokładowemu, technikowi ratownictwa klasy trzeciej Pete’owi Kesnickowi, żeby przygotowali się do opuszczenia ratownika i kosza. Zmniejszył też wysokość z sześciuset do około dwustu czterdziestu metrów nad poziom wody.

— To pewnie pusta lodówka na ryby — rzekł Kesnick.

Liz patrzyła na niego kątem oka. Kesnickowi też było to nie w smak. Na spalonej słońcem i wyniszczonej twarzy najstarszego członka załogi w kącikach oczu i warg widniały zmarszczki, które nigdy się nie zmieniały, nie pozwalały odgadnąć, czy jest zły, czy może zadowolony.

— Albo kokaina — odparł Ellis. — W Teksasie morze wyrzuciło na brzeg pięćdziesiąt kilo kokainy.

— Na plażę McFaddin — wtrącił Wilson. — Była szczelnie zapakowana w grubą plastikową folię. Ktoś nie odebrał przesyłki albo spanikował i pozbył się towaru. Możemy mieć do czynienia z podobną sytuacją.

— W takim razie czy nie powinniśmy raczej przekazać przez radio współrzędnych i poprosić, żeby wyłowił to kuter? — spytał Kesnick, zerkając na Liz.

Zrozumiała przekaz. Poprze ją, jeśli odmówi wykonania zadania.

Wilson zauważył to spojrzenie.

— Ty decyduj, Bailey. Co chcesz zrobić?

Nadal nie patrzyła mu w oczy, nie chciała mu dać tej satysfakcji i ujawnić choćby cienia wahania.

— Powinniśmy użyć deski ratowniczej zamiast kosza — oznajmiła. — Będzie ją łatwiej umieścić pod pojemnikiem i przypiąć.

Świadoma, że go zaskoczyła, zdjęła kask, przerywając połączenie. Jeśli Ellis czy Kesnick mieli na jej temat coś do powiedzenia, swoją pozorną nonszalancją rzuciła im wyzwanie, żeby to uczynili.

Wcisnęła kosmyki włosów pod ciasny kaptur i włożyła lekki kask ratownika, po czym zapięła pas na szelkach, włożyła przez głowę pas ratowniczy, sprawdziła hak i mocowanie liny. Na koniec przesunęła się do drzwi helikoptera, przykucnęła i czekała na sygnał Kesnicka.

To znaczyło, że musi na niego popatrzeć. Robili to już co najmniej sześć razy, odkąd trafiła do bazy sił powietrznych marynarki. Podejrzewała, że Pete Kesnick traktuje ją tak samo, jak traktował innych ratowników przez ostatnich piętnaście lat

swojej kariery jako mechanik pokładowy i operator wciągarki. Nawet w tej chwili nie odgadywał jej zamiarów, choć jego stalowoniebieskie oczy przypatrywały się Liz chwilę dłużej niż zwykle, zanim spuścił osłonę oczu.

Postukał ją w górną część klatki piersiowej. To był sygnał oznaczający gotowość — dwa palce w rękawiczce trafiły w obojczyk Liz. Pewnie w przypadku ratowników płci męskiej wyglądało to trochę inaczej. Liz było to obojętne. Ten drobiazg wynikał przede wszystkim z szacunku dla niej niż z czegokolwiek innego.

Pokazała Kesnickowi uniesione kciuki, w ten sposób dając znak, że też jest gotowa. Kiedy opuszczał ją, cały czas kontrolowała pas ratowniczy. W pewnym momencie Kesnick zatrzymał wciągarkę. Liz poprawiła się, a lina zacisnęła się mocniej. Odwróciła się do Kesnicka i znów uniosła kciuki, po czym zaczęła opadać do kotłującej się wody.

Nie dojrzała w falach żadnych ludzi. Pojemnik był spory. Liz szacowała go co najmniej na metr długości i pół metra szerokości i głębokości. Teraz już była pewna, że sfatygowany kontener z pomalowanej na biało nierdzewnej stali to rybacka chłodziarka. Postrzępiona lina mocująca przywiązana do uchwytu klapy unosiła się na wodzie. Była zniszczona, ale nie przecięta. Świadczyło to o tym, że właściciel lodówki nie zamierzał jej porzucić. Liz chwyciła grubą linę szerokości około trzynastu milimetrów, splecioną z jaskrawożółtej i niebieskiej przędzy, i przeciągnęła ją przez swoje szelki, żeby chłodziarka nie odpłynęła pod wpływem ruchu śmigieł.

Potem dała Kesnickowi sygnał: uniosła obie ręce, a następnie prawą ręką dotknęła nad głową lewego łokcia. Była gotowa przyjąć z góry deskę ratowniczą.

Kołysząca się na falach lodówka nie była jej posłuszna, na przemian ciągnęła ją i popychała, nie mogła jednak odpłynąć dalej niż na długość umocowanej do szelek liny. Po piętnastu minutach, dopiero za drugim razem, Liz zdołała przymocować lodówkę do deski ratowniczej. Zacisnęła pasy, przyczepiła je do liny i znowu uniosła rękę, dając znak kciukami.

Nie pobiła rekordu, ale kiedy Kesnick wciągnął ją na pokład śmigłowca, widziała, że załoga jest zadowolona. Może nie zachwycona, ale zadowolona. To był mały krok naprzód.

Komandor porucznik Wilson nadal wyglądał na zniecierpliwionego. Liz ledwie złapała oddech, ale zdjęła kask ratownika i włożyła kask lotniczy z zainstalowanym systemem łączności. Usłyszała Wilsona, który akurat instruował Kesnicka, żeby otworzył lodówkę.

— Nie powinniśmy z tym zaczekać? — dyplomatycznie zaoponował Kesnick.

— Nie jest zamknięta na klucz. Tylko zerkniemy.

Liz odsunęła się z drogi, zdejmując resztę sprzętu. Nie chciała brać w tym udziału. Jej rola dobiegła końca.

Gdy Kesnick znieruchomiał, pomyślała, że odmówi wykonania polecenia, jednak przemieścił się obok niej i spuścił przesłonę na oczy, unikając wzroku Liz. Zasuwka ustąpiła łatwo, lecz zatrzaskowy zamek wymagał więcej siły. Liz zauważyła, że zanim Kesnick podniósł klapę, wciągnął powietrze.

Pierwsze, co dojrzała Liz na wewnętrznej stronie wieka, to linijka do mierzenia ryb. Zdziwiła się, że właśnie na to zwróciła uwagę, ale potem nie mogła o tym zapomnieć. Z chłodziarki wydobył się smród, nie był to jednak odór zepsutych ryb. Bardziej kojarzył się jej z fetorem towarzyszącym otwarciu pojemnika na śmieci.

Wewnątrz zobaczyła obłe kształty owinięte grubą folią, jeden większy i cztery mniejsze. Żadnych kwadratowych paczek, które mogłyby zawierać kokainę.

— I co? — spytał Wilson, usiłując zerknąć Kesnickowi przez ramię.

Ten zaś dotknął palcem jednego z mniejszych pakunków, przetaczając go mimowolnie na stronę, z której folia była bardziej przezroczysta. Wtedy stało się oczywiste, co się w niej znajduje.

Kesnick spojrzał w oczy Liz. Na jego zawsze spokojnej twarzy pokerzysty malowała się panika.

— To chyba stopa — rzekł.

— Co?

— Myślę, że to cholerna ludzka stopa.

ROZDZIAŁ DRUGI

Newburgh Heights, Wirginia

Maggie O'Dell zdjęła bluzkę przez głowę, nie rozpinając jej. Jeden z guzików oderwał się i spadł na ziemię. To bez znaczenia. Bluzka i tak do niczego już się nie nadawała. Nawet najlepsza pralnia nie wyczyściłaby takich plam z krwi.

Zwinęła bluzkę i wrzuciła do umywalki w łazience. Czuła, że coś mokrego przylepiło się do jej karku. Sięgnęła ręką i to także cisnęła do umywalki. Różowe. Jak skrzeplina.

Była tak blisko. Zbyt blisko, kiedy padł ten fatalny strzał. Nie miała szansy zejść z linii ognia.

Pomacała kark i pociągnęła się za włosy, sądząc, że znajdzie tam więcej takich niespodzianek. Jej palce utknęły w splątanych wilgotnych kosmykach, ale, dzięki Bogu, nic więcej już nie znalazła.

Nie spodziewali się, że zabójca nadal tam przebywa. Magazyn wyglądał na pusty i zgodnie z przeczuciem Maggie zobaczyli w nim pozostałości izby tortur. Dlaczego, do diabła, morderca wciąż tam tkwił? A może wrócił? Żeby popatrzeć.

To szef Maggie, zastępca dyrektora Raymond Kunze, oddal ów feralny strzał, a potem od razu zaczął wyładowywać złość na Maggie, jakby to była jej wina, jakby to ona go do tego zmusiła. Po prostu nie mogła wiedzieć, że zabójca nadal tam jest ukryty w cieniu. Żaden psycholog nie przewidziałby czegoś podobnego. Kunze był niesprawiedliwy, zrzucając na nią odpowiedzialność, a przeto i też było oczywiste, że tak właśnie to się skończy.

Harvey, biały labrador, chwycił zębami jeden z zabłoconych butów swojej pani, jednak zamiast rozpocząć zabawę, położył się na brzuchu i skomlał niskim gardłowym głosem, który szarpał Maggie za serce.

— Przestań, zostaw to, Harvey. — Nie krzyczała, mówiła cicho i łagodnie.

Pies poczuł na niej zapach krwi i zaczął się niepokoić, mimo to wypuścił but z pyska.

— No już, przepraszam.

Włożyła but do umywalki razem z zaplamioną bluzką, potem uklękła obok Harveya i go pogłaskała. Najchętniej uściskałaby psa, ale dotąd nie zmyła z siebie krwi.

— Zaczekaj tutaj na mnie — poprosiła, wyprowadzając Harveya z łazienki do sypialni, gdzie kazała mu usiąść w miejscu, z którego przez drzwi mógł ją widzieć. Podrapała go za uszami, aż się uspokoił. Poczekała jeszcze, aż pies westchnie i położy się swobodnie.

Zapach krwi w dalszym ciągu wywoływał u niego panikę. Maggie doskonale wiedziała, skąd to się bierze. Nie znosiła wracać pamięcią do tamtych wydarzeń. Wówczas po raz pierwszy ujrzała Harveya, gdy zbroczony krwią kulił się ze strachu pod łóżkiem pierwszej właścicielki. Przeszedł naprawdę ciężką próbę. Walczył dzielnie, nie zdołał jednak obronić swojej pani, która została porwana, a następnie zamordowana.

— Nic mi nie jest — zapewniła go, gdy odważyła się spojrzeć w lustro i zobaczyć, czy mówi prawdę.

Nie było tak źle. Zdarzało jej się wyglądać o wiele gorzej. Przynajmniej tym razem to nie była jej krew.

Potargane kasztanowe włosy sięgały prawie do ramion. Musi je podciąć. Że też akurat o tym teraz pomyślała! Oczy były przekrwione, ale to nie miało nic wspólnego z bieżącymi wypadkami. Od miesięcy cierpiała na bezsenność, budziła się co godzinę, jakby nad jej uchem brzęczał budzik. Brak snu zaczynał dawać jej się we znaki.

Wypróbowała już pewnie wszystkie zalecane w tej przypadłości metody. Wieczorami biegała, żeby się zmęczyć, potem dla odmiany unikała wysiłku fizycznego po siódmej wieczorem, moczyła się w ciepłej kąpieli, przed położeniem się do łóżka wypijała kieliszek wina, a kiedy wino ją zawiodło, przestawiła się na

mleko. Wyliczając dalej, medytowała i powtarzała mantry, zrezygnowała z kawy, czytała przed snem, słuchała płyt z nagranymi dźwiękami natury, kupiła terapeutyczne poduszki, zapalała świece o kojącym zapachu, piła nawet małą szkocką z ciepłym mlekiem.

Nic nie działało.

Nie łykała tabletek nasennych... aż do tej pory. Jako agentka FBI i psycholog kryminalny otrzymywała telefony w środku nocy albo o świcie i czasami musiała natychmiast jechać na miejsce zbrodni, a większość leków nasennych — tych skutecznych — wymaga ośmiu godzin nieprzerwanego snu. Kto może sobie na to pozwolić? Na pewno nie agentka specjalna FBI.

Wzięła długi gorący prysznic i umyła się delikatnie. Nie szorowała się gąbką ani szorstką myjką, jak początkowo zamierzała. Nie patrzyła na odpływ i na to, co z niej spływało z wodą. Nie wysuszyła włosów suszarką. Włożyła czyste, luźne sportowe szorty i T-shirt z logo Uniwersytetu Stanu Wirginia. Spakowała ubrania — te, których nie dało się już uratować — i wyrzuciła do śmieci, a następnie ruszyła do salonu. Harvey szedł za nią krok w krok.

Włączyła ogromny telewizor, włożyła pilota do kieszeni i poszła dalej do kuchni. Zakup pięćdziesięcioześciocalowej plazmy to szaleństwo dla kogoś, kto prawie nie ogląda telewizji. Maggie usprawiedliwiała się tym, że w jesienne soboty zaprasza gości na wspólne oglądanie studenckiej ligi futbolu, poza tym spędzała w towarzystwie Bena wieczory z pizzą, piwem i klasycznymi filmami. Lekarz wojskowy, pułkownik Benjamin Platt, został jej bliskim... przyjacielem.

Przynajmniej na razie, bo tak zadecydowali. No zgoda, w rzeczywistości nie poruszali tego tematu. Było im z sobą dobrze i wygodnie. Maggie lubiła z Benem rozmawiać tak samo jak milczeć. Czasami, kiedy siadali na tyłach jej domu, patrząc, jak Harvey bawi się z Diggerem, psem Bena, Maggie przyłapywała się na myśli: „Moglibyśmy być rodziną”. Wszyscy czworo nawzajem wypełniali pustkę w swoim życiu.

Owszem, było im tak wygodnie. Maggie odpowiadała taka sytuacja, chociaż ostatnio czuła niepokojące dreszcze, ilekroć Ben ją dotykał. Wówczas przypominała sobie, że każde z nich miało dość skomplikowane życie, każde z nich dźwigało bagaż doświadczeń chwilami nie do obrony. Do tego rozkłady ich zajęć pozostawały w wiecznym konflikcie, zwłaszcza przez ostatnie trzy czy cztery miesiące.

A zatem w tej chwili przyjaźń była bardziej na miejscu, choć nie zadecydowała o tym obopólna zgoda, lecz brak innej możliwości. Mimo to Maggie przyłapywała się na tym, że często sprawdza swoją komórkę. Czeka, spodziewa się, liczy na wiadomość od Bena. Nie widziała go od jego wyjazdu do Afganistanu, gdzie spędził dwa tygodnie, rozmawiali tylko krótko i przesyłali sobie SMS-y.

Teraz znowu wyjechał, tym razem na Florydę. Przyzwyczaiła się do tego, że wszystkim się z nim dzieli. To była jedna z tych rzeczy, które ich do siebie zbliżyły, rozmowy o prowadzonych sprawach. Ona mówiła o przygotowywanym profilu kolejnego mordercy, on zaś o chorobie zakaźnej, którą stara się zidentyfikować albo opanować. Dwukrotnie zdarzyło im się pracować razem, gdy FBI i USAMRIID (Wojskowy Instytut Badawczy Chorób Zakaźnych Armii Stanów Zjednoczonych) połączyły siły. Wyjazdy do Afganistanu, w tym również ten ostatni, były według słów Bena „tajnymi misjami" w „niejawnych lokalizacjach". Maggie dodawała w myśli: „niebezpiecznymi misjami".

Nakarmiła Harveya, przygotowując sobie sałatę i słuchając najnowszych wiadomości o pełnej godzinie.

— Ceny paliw już są wysokie i nadal będą rosnąć z powodu tropikalnych sztormów i huraganów, które tego lata nawiedzają Zatokę Meksykańską. Przewiduje się, że kolejny huragan o nazwie Isaac dziś w nocy będzie szalał na Jamajce. Sztorm kategorii czwartej oraz nieustające wiatry o prędkości ponad dwustu trzydziestu kilometrów na godzinę jeszcze nabiorą rozpędu, gdy w ciągu dwóch najbliższych dni dotrą nad Zatokę Meksykańską.

Kiedy zadzwoniła komórka, Maggie aż podskoczyła i wylała sos do sałaty na blat. No więc tak, krew i mózg zabójcy, którymi została zbryzgana, zdenerwowały ją bardziej, niż chciała przyznać.

Chwyciła telefon, sprawdziła numer na ekranie i z rozczarowaniem stwierdziła, że go nie zna.

— Maggie O'Dell, słucham?

— Witaj, Charlie — odezwał się gładki baryton.

Był tylko jeden człowiek, który czarował ją nowoorleańskim akcentem.

— Witam pana, Charlie. Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Maggie i Charlie Wurth spędzili ostatnie Święto Dziękczynienia, rozwiązując zagadkę ładunków wybuchowych w Mail of America i starając się zapobiec kolejnym eksplozjom podczas świątecznego weekendu. W sytuacji, kiedy nie mogła ufać nowemu szefowi, zastępcy dyrektora Raymondowi Kunzemu, Charlie Wurth okazał się dla Maggie prawdziwym darem niebios. Ten zastępca dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego od sześciu miesięcy usiłował ją namówić, żeby zostawiła Departament Sprawiedliwości i przeszła na jego stronę.

— Wybieram się w podróż samochodem — podjął Charlie. — I wiem, że mi pani nie odmówi i ze mną pojedzie. Proszę tylko pomyśleć o słonecznej Florydzie. Szmaragdowozielona woda, białe piaski...

Od czasu do czasu Charlie Wurth dzwonił do niej z jedną ze swoich ekstrawaganckich propozycji. To przybrało już formę jakiejś gry między nimi. Maggie nie pamiętała, dlaczego nie przypadł jej do gustu pomysł opuszczenia FBI i

przejścia do Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Przeczesała palcami włosy, myśląc o krwi i mózgu mordercy. Może jednak powinna wziąć tę zmianę pod uwagę.

— Brzmi fantastycznie — podjęła grę. — Gdzie jest haczyk?

— Och, taki malutki. Zdaje się, że znajdziemy się na drodze huraganu Isaac.

— Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, dlaczego miałabym być tym zainteresowana.

— Prawdę mówiąc, zrobi mi pani wielką przysługę. — Charlie Wurth spoważniał. — I tak się tam wybierałem w związku z huraganem, ale nastąpiło pewne zakłócenie. Straż Wybrzeża znalazła w Zatoce Meksykańskiej rybacką lodówkę. — Zrobił pauzę, jakby oczekiwał, że Maggie dopowie sobie resztę.

— Niech zgadnę. Nie było w niej ryb.

— Otóż to. Miejscowe organa ochrony porządku publicznego mają ręce pełne roboty przez ten huragan. Straż Wybrzeża przerzuciła sprawę do Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, ale ja uważam, że ze względu na znajdujące się w lodówce części ludzkiego ciała powinna się tym zająć FBI. Właśnie rozmawiałem z zastępcą dyrektora Kunzem, pytając, czy mógłbym sobie panią wypożyczyć.

— Rozmawiał pan z Kunzem? Dzisiaj?

— Tak. Kilka minut temu. Odniosłem wrażenie, że uznał to za dobry pomysł.

Maggie wcale się nie zdziwiła, że szef ma ochotę ją wysłać w samo oko cyklonu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Baza sił powietrznych Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych
Pensacola, Floryda

Pułkownik Benjamin Platt nie rozpoznał tej części bazy, chociaż już kiedyś tutaj był, jednak jego wizyty zwykle trwały zbyt krótko, by miał czas zaznajomić się z odwiedzanymi miejscami.

— Wspaniale — mruknął, patrząc na zatokę Pensacola.

Służący mu za eskortę kapitan Carl Ganz wydawał się zaskoczony komentarzem, dlatego odwrócił się, by spojrzeć na to, na co wskazuje Platt. Kierowca zwolnił, jakby chciał ułatwić kapitanowi orientację.

— Tak, z pewnością, choć my uważamy to za rzecz oczywistą — rzekł Ganz. — Pensacola to jedno z najładniejszych miejsc, w jakich miałem okazję stacjonować. Właśnie wrócił pan z Kabulu, więc te widoki są dla pana szczególnie piękne.

— Ma pan rację.

— Jak było?

— W podróży?

— W Afganistanie.

— Pył nigdy tam nie opada. Mam wrażenie, że moje płuca jeszcze się nie oczyściły.

— Pamiętam. Byłem tam z ratownikami w dwa tysiące piątym — oznajmił kapitan Ganz.

— Nie wiedziałem.

— To było latem. Straciliśmy jeden z naszych oddziałów sił specjalnych. Czteroosobowa grupa zwiadowców została zaatakowana. Helikopter z szesnastoma żołnierzami przyleciał jako wsparcie, ale go zestrzelili. — Ganz patrzył na wodę zatoki. — Wszyscy na pokładzie zginęli, podobnie jak zwiadowcy.

Platt westchnął ciężko.

— Zdarzają się paskudne dni.

— Pan także wtedy tam był, prawda?

— Wcześniej, dokładnie w pierwszych miesiącach wojny. Należałem do zespołu, który miał chronić naszych żołnierzy przed bronią biologiczną i chemiczną. Skończyło się na tym, że głównie kroiłem i zszywałem.

— Widać tam jakąś zmianę?

— W tej wojnie?

— W Afganistanie.

Platt zamilkł, przyglądając się kapitanowi. Ganz był nieco od niego starszy, przypuszczalnie czterdziestolatek, z chłopięcą twarzą, chociaż przedwcześnie jego włosy stały się szpakowate. Spotkali się po raz pierwszy. Dotąd wymieniali e-maile i rozmawiali przez telefon. Platt był lekarzem, szefem oddziału chorób zakaźnych w USAMRIID w Fort Detrick. Odpowiadał za szczepienia, zapobieganie i nierozprzestrzenianie się najgroźniejszych chorób zakaźnych. Ganz, także lekarz, kierował programem medycznym Marynarki Wojennej, nadzorującym potrzeby związane z zabiegami chirurgicznymi rannych żołnierzy.

— Niestety nie — odparł w końcu Platt, stwierdziwszy, że może być z Ganzem szczery. — Nawet za bardzo mi przypominał dawny Afganistan, z tych pierwszych dni. Wydaje się, że kręcimy się w kółko, tyle że teraz robimy to z rękami związanymi na plecach. — Przetarł oczy, usiłując zetrzeć z nich zmęczenie. Nadal walczył z konsekwencjami różnicy czasu. Spędził w domu zaledwie dwie doby, kiedy otrzymał telefon od kapitana Ganza.

— Proszę mi opowiedzieć o tym tajemniczym wirusie. — Uznał, że czas już przejść do sedna sprawy.

— Odizolowaliśmy i poddaliśmy kwarantannie wszystkich żołnierzy, którzy naszym zdaniem mogli mieć kontakt z pierwszymi przypadkami, tymi, które teraz się rozwijają. Dopóki nie będziemy wiedzieli, z czym mamy do czynienia, przyjąłem, że lepiej jest dmuchać na zimne.

— Oczywiście. Jakie są symptomy?

— No właśnie. Objawów jest bardzo niewiele, przynajmniej na początku. Zaczyna się od nieznośnego bólu w miejscu zabiegu chirurgicznego, co zresztą wcale nie jest takie rzadkie po operacjach. Mówię o złamaniach wielokrotnych albo głębokich aż do kości ranach. — Urwał, kiedy kilka samolotów przeleciało nad ich głowami, zagłuszając wszelkie inne dźwięki. — Zaczynamy przenosić siły powietrzne, usuwamy je z drogi kolejnego huraganu.

— Myślałem, że uderzy dalej na zachód, na przykład w Nowym Orleanie.

— Media zawsze patrzą na Nowy Orlean. — Ganz wzruszył ramionami. — Pewnie dlatego, że byłby z tego ciekawszy materiał. Jednak wielu meteorologów, i to tych najlepszych, twierdzi, że huragan uderzy właśnie w to miejsce. Mam tylko nadzieję, że jesteśmy po jego lewej, a nie prawej stronie. To, dlatego admirał się denerwuje. Powiedziałem mu, że muszę pana tutaj sprowadzić. Rozumie pan: „Jeśli pułkownik Platt nie stwierdzi, co to jest, nikt tego nie zrobi".

— Nie wiem, czy temu sprostam.

— Sprosta pan. Jeszcze nigdy pan nie zawiódł.

— Ból w miejscu cięcia operacyjnego... — Starał się ponaglić Ganza, skupić się maksymalnie jeszcze na moment, dopóki zmęczenie nie odbierze mu zdolności logicznego myślenia. — A co z opatrunkami?

— Też zwróciliśmy na nie uwagę, gdy pojawiły się pierwsze przypadki. Usunęliśmy wszystkie i wydawało się, że to zmniejszyło ból, ale tylko tymczasowo.

— Infekcja?

— Miejsce zabiegu nie puchnie, pacjenci nie gorączkują, chociaż zgłaszają nam, że odczuwają gorąco i czasami obficie się pocą. Skarżą się na rozstrój żołądka, niektórzy wymiotują, cierpią na bóle głowy. Mimo to wszystkie objawy czynności życiowych są prawidłowe. Ciśnienie krwi, tętno... wszystko w normie... No, jesteśmy na miejscu. — Przerwał wywód, kiedy kierowca zajechał przed boczne wejście piętrowego budynku.

Drzwi ze stali były wzmocnione. Zamrugała czerwona lampka zamka cyfrowego, który wyświetlił informację „C klasa 1".

Ganz nacisnął kilka klawiszy, a następnie przyłożył kciuk do małego ekranu. Trzy zamki kliknęły, otwierając się po kolei. Gdy weszli do niewielkiego holu, Ganz poprowadził Platta w prawo pierwszym korytarzem. Był tak wąski, że musieli iść ramię przy ramieniu.

— Admirał chce, żebym ewakuował żołnierzy, przetransportował ich do szpitala Marynarki, zamiast trzymać tutaj, ale jak pan wie, z takimi przenosinami wiąże się masa kłopotów.

W końcu dotarli do kolejnych drzwi, przy których także znajdował się cyfrowy zamek. Ganz powtórzył procedurę, ale kiedy zamki kliknęły, tym razem uchylił tylko drzwi i odwrócił się, patrząc Plattowi w oczy.

— W ciągu czterech, pięciu dni do tygodnia ciśnienie krwi gwałtownie spada, a serce zaczyna walić, jakby organizm walczył o tlen. Zapadają w śpiączkę. Poszczególne organy nagle przestają pracować. Nic nie możemy poradzić. Dwóch już straciłem, stało się to wczoraj. Nie chcę, żeby pozostałych żołnierzy spotkał taki sam koniec.

— Rozumiem. Zobaczmy, co da się zrobić.

Ganz skinął głową, otworzył szerzej drzwi i wszedł do małego oszklonego pokoju, którego okna wychodziły na pomieszczenie wielkości sporej sali gimnastycznej. Było zapełnione rzędami namiotów o sterylnych ścianach. Sterczały rurki i kable, migały monitory rozmaitych urządzeń i ekrany komputerów.

Platt wstrzymał oddech, żeby nie jęknąć. Musiała tam być ponad setka szpitalnych łóżek. Ponad sto łóżek z ponad setką żołnierzy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Plaża Pensacola

Liz Bailey wolałaby zostać w wodach Zatoki Meksykańskiej, chłostana przez fale i wiatr, niestety do końca zmiany byli uziemieni, a przez ostatnich pięć godzin zbierali cięgi od szeryfa hrabstwa Escambia, szefa władz wyspy Santa Rosa, dowódcy Bazy Sił Powietrznych Marynarki Wojennej w Pensacoli, federalnego śledczego z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego oraz — przez telefon z mikrofonem i głośnikiem — od zastępcy dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

To było istne szaleństwo. Liz zastanawiała się, czy szybciej daliby im spokój, gdyby nie zaglądali do tej nieszczęsnej lodówki. Gdyby ją tylko komuś przekazali i zawrócili. Dużo więcej pytań zdawało się dotyczyć zachowania tajemnicy niż zbierania faktów.

— Komu jeszcze o tym powiedzieliście? — chciał wiedzieć szeryf.

— Postępowaliśmy zgodnie z procedurą obowiązującą w przypadku znalezienia w morzu ludzkich szczątków.

Komandor porucznik Wilson nawet nie krył zniecierpliwienia. Opanowanie i zimna krew należały do tych umiejętności, których nie zdążył jeszcze się nauczyć.

Liz była ciekawa, czy żałował, że poprosił Kesnicka o otwarcie lodówki. Obserwowanie go w sytuacji, gdy został zepchnięty na pozycję obronną i

denerwował się konsekwencjami swojej decyzji, było niemal warte tego uziemienia. Niemal.

Wcześniej mina Wilsona przekonała Liz, że nigdy dotąd nie widział pokawałkowanego ludzkiego ciała. początku pomyślała, że Wilson nie wierzy Kesnickowi, ale zauważyła jego wzrok i dojrzała w nim coś, co wyglądało na strach, może nawet szok. Z podniesioną osłoną oczu, żeby obejrzeć zawartość lodówki, nie miał szansy niczego ukryć, przynajmniej przed Liz, która ze swojego miejsca na pokładzie doskonale go widziała i natychmiast wyłapała reakcję. W innej sytuacji prawdopodobnie wzbudziłby jej współczucie, lecz dokonane spostrzeżenia tylko umocniły ją w przekonaniu, że ten człowiek nie zasługuje na jej szacunek.

Ostatecznie zwolnieni ze służby do końca dnia, całą czwórką wyszli na pełne słońce.

— Stawiam piwo — oznajmił Wilson. — Jest jeszcze wcześnie. Znajdziemy dobre miejsca w Tiki Barze na plaży. Popatrzymy sobie na laski w bikini.

Ktoś chrząknął. Liz nie sprawdzała, kto to był.

— Och, dajcie spokój — rzekł Wilson. — Bailey nie ma nic przeciwko temu. Jeśli jest jedną z nas.

Zawsze tak ją traktował, każde jego słowo było zaczepką lub wyzwaniem.

— Dobry pomysł. — Opuściła okulary przeciwsłoneczne na nos. Nadal nie patrzyła na żadnego z mężczyzn ani nie zwalniała kroku.

— Żebyśmy tylko dostali hot dogi. — Tommy Ellis był wiecznie głodny.

— Jezu, Ellis, możesz przestać myśleć o swoim żołądku? Później je kupimy — upierał się przy swoim Wilson.

— A jeśli tego faceta z hot dogami później nie będzie?

— Będzie — rzekła Liz, prowadząc krótki pochód w stronę Tiki Baru. — I pewnie namówi nas, żebyśmy wypili z nim kolejne piwo.

— Ciekawe, skąd ta pewność? — spytał Ellis.

— Bo ten facet z hot dogami to mój ojciec.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Newburgh Heights, Wirginia

Maggie O'Dell wydrukowała kopie, które przesłał jej Wurth. Zdjęcia i wstępne dokumenty z biura szeryfa hrabstwa Escambia uświadomiły jej, że będzie musiała zrobić własne zdjęcia, bo z tych ujęć niewiele można było wywnioskować.

Jedno z nich pokazywało wnętrze dużej chłodziarki i w nim owinięte folią pakunki o różnych dziwnych kształtach. Na zbliżeniach znajdowały się poszczególne pakunki ułożone na betonowej podłodze. To, co zdołała dojrzeć pod plastikową

powłoką, bardziej przypominało kawałki mięsa od rzeźnika niż części ludzkiego ciała.

Spytała Wurtha, czy do czasu jej przyjazdu mogą wstrzymać się z rozpakowaniem pakunków.

— Pewnie już na to za późno — odparł kwaśno. — Wie pani, jak to się dzieje, O'Dell. Ciekawość bierze górę nawet u funkcjonariuszy. Oczywiście zobaczę, co da się zrobić.

Maggie usiadła po turecku na środku salonu, po jednej stronie miała rozłożone zdjęcia, po drugiej leżał Harvey.

Spal z łbem na jej kolanach. Przełączyła telewizor na kanał meteo. Początkowo nie patrzyła na ekran, słyszała tylko szum głosów w tle, ale później jej uwagę przyciągnęły prognozy pogody. Mówiono o huraganach, więc pilnie się przysłuchiwała, bo w nadchodzącym tygodniu wszystkie te informacje mogły okazać się dla niej bardzo przydatne.

Zainteresowało ją, że skala pomiaru huraganów Saffira-Simpsona, choć oparta przede wszystkim na nieustających wiatrach, uzależniona jest również od poziomu zniszczeń, do których zdolne są owe wiatry. Huragan kategorii trzeciej wywołuje nieprzerwane wiatry prędkości 178-209 kilometrów na godzinę i może być przyczyną znacznych zniszczeń. Kategoria czwarta, z prędkością wiatru 210-249 kilometrów na godzinę, to już spustoszenia i dewastacja, zaś kategoria piąta, przy wietrze 250 kilometrów na godzinę i silniejszym, niesie z sobą katastrofalne skutki.

Maggie nie była w stanie wyobrazić sobie wiatru o sile 360 kilometrów na godzinę, ale zniszczenia nie przekraczały jej wyobraźni.

Huragan Isaac zabił już sześćdziesiąt osób w rejonie Karaibów. W ciągu kilku godzin został oficjalnie podniesiony do kategorii piątej. Spodziewano się, że za parę godzin uderzy w Wielki Kajman z siłą wiatru 264 kilometrów na godzinę. Przed oczekiwanym w niedzielę atakiem huraganu ewakuowało się już milion Kubańczyków. Kierując się na zachód/północny zachód z prędkością zaledwie szesnastu kilometrów na godzinę, w poniedziałek huragan miał dotrzeć do Zatoki Meksykańskiej.

Na każdej z przewidywanych dróg huraganu, które Maggie widziała w ciągu ostatnich godzin, Pensacola na Florydzie znajdowała się w samym centrum uderzenia.

Charlie Wurth nie żartował, mówiąc, że wybiorą się do ul i cyklonu. W konsekwencji zawieszono loty do Pensacoli.

Nazajutrz rano Maggie miała zarezerwowany bilet do Atlanty, gdzie Charlie miał na nią czekać i skąd mieli razem odbyć pięciogodzinną podróż samochodem do Panhandle na Florydzie. Kiedy go zapytała, co robi w Atlancie — w końcu mieszkał

w Nowym Orleanie, a jego biuro mieściło się w Waszyngtonie — odparł tylko: Niech pani nie pyta.

Wurth nadal miał pewien kłopot z zachowywaniem się jak na pracownika agencji federalnej przystało. Awansował na zastępcę dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, gdyż zrobił wrażenie na właściwych osobach twardym i nieustępliwym, ale sprawiedliwym śledztwem dotyczącym zaniedbań i korupcji agencji federalnych po huraganie Katrina. Jednak Wurth, podobnie jak Maggie, zapewnie nigdy nie przywyknie do związanej z tą pracą biurokracji.

Wiedziała, że powinna przygotować się do drogi. Zawsze trzymała spakowaną podręczną torbę z najpotrzebniejszymi rzeczami, musi tylko do niej coś dorzucić, lak należy się przygotować do huraganu? Wygodne buty, to pewne. Jej przyjaciółka, Gwen Patterson, zawsze powtarzała, że Maggie nie ma właściwego szacunku dla butów.

Zerknęła na zegarek. Musi zadzwonić do Gwen. Zrobi to później. Potyczka z mordercą była wciąż zbyt świeża, zostawiła trwałe ślady w jej pamięci i na jej skórze. Przyjaciółka Maggie była psychologiem i potrafiła czytać między wierszami, nadawała znaczenie pauzom i dostrzegała najdrobniejsze choćby zmiany w zachowaniu Maggie. Skrzywienie zawodowe, mawiała Gwen, a ona świetnie ją rozumiała.

Poznały się, kiedy Maggie była stypendystką Quantico, zaś Gwen Patterson niezależnym konsultantem Wydziału Badań Behawioralnych FBI. Siedemnaście lat starszej od Maggie Gwen dość często zdarzało się łączyć uczucia przyjacielskie z instynktem macierzyńskim. Maggie to nie przeszkadzało. Gwen była jedynym stałym elementem w jej życiu. To Gwen zawsze stała u jej boku i służyła pomocą. To Gwen ją wspierała podczas ciągnącego się w nieskończoność rozwodu. To ona siedziała przy szpitalnym łóżku, kiedy seryjny morderca uwięził Maggie w zamrażarce, czuwała też na zewnątrz oddziału zamkniętego w Fort Detrick, gdy Maggie została zarażona wirusem eboli. To także Gwen towarzyszyła jej na cmentarzu Arlington, gdzie Maggie złożyła ostatni hołd swojemu mentorowi.

Ale w dni takie jak ten Maggie nie miała ochoty stawiać czoła własnym słabościom. Nie chciała też martwić przyjaciółki. Wiedziała, że jej bezsenność to nie są zwykłe trudności z zasypianiem. To koszmary wyrywały ją ze snu w środku nocy. Obraz brata Patricka przykutego kajdankami do walizki z ładunkiem wybuchowym. Obraz mentora i szefa leżącego na szpitalnym łóżku, wychudzonego i podłączonego do rozmaitych kroplówek i urządzeń monitorujących. Obraz jej samej uwięzionej w lodowej trumnie. Pozostawiony na blacie przydrożnego baru pojemnik, w jakim kupuje się jedzenie na wynos, z którego wycieka krew. Niezliczone rzędy słoików wypełnionych pływającymi w nich ludzkimi organami.

Problem w tym, że owe koszmary nie były wytworem nadpobudliwej czy zmęczonej wyobraźni, lecz wspomnieniami jak najprawdziwszych doświadczeń. Komórki w przechowalni, którą Maggie przez lata pilnie tworzyła w swojej pamięci — miejsca, gdzie szczelnie zamykała owe przerażające obrazy — zaczęły przeciekać, a stało się zgodnie z przewidywaniami Gwen.

Pewnego dnia — ostrzegała ją mądra przyjaciółka bodziesz musiała skonfrontować się z tym, co widziałaś i robiłaś, i z tym, co tobie zrobiono. Nie da się takich rzeczy odsunąć od siebie na zawsze.

Kiedy zadzwonił telefon komórkowy, tym razem oboje podskoczyli, i Maggie, i Harvey. Uspokajająco poklepała go i sięgnęła ponad nim po telefon. Nie zdziwiłaby się, słysząc w słuchawce głos Gwen.

— Maggie O'Dell.

— Cześć.

No, prawie trafiła. Dzwonił przyjaciel Gwen, R. J. Tully, który był najbliższym współpracownikiem Magie, zanim FBI zaczęła ciąć koszty. Teraz każde z nich pracowało na własny rachunek i bardzo rzadko przydzielano ich do tej samej sprawy. A jednak tego dnia Tully znalazł się w zespole, który pojechał do magazynu, był jednym z sześciu agentów, na oczach których Kunze oddał śmiertelny strzał.

— Pomyślałem, że sprawdzę, jak się czujesz.

— W porządku. — Za szybko to powiedziała. Przygryzła dolną wargę. Czy Tully dzwoniłby do niej niespokojny o jej samopoczucie? Na pewno zrobiłaby to Gwen. Zanim miał szansę się odezwać, zmieniła temat: — Właśnie chciałam zadzwonić do Emmy.

— Do Emmy? — Powiedział to tak, jakby nie rozpoznał imienia własnej córki.

Poprosić ją, żeby zaopiekowała się Harveyem. Jutro rano muszę wyjechać, i to wcześnie. Charlie Wurth prowadzi sprawę na Florydzie i chce, żebym mu pomogła. Czy Emma jest w domu?

Za długa pauza. Wiedział, co ją czeka. On także był psychologiem. Czy spróbuje wyciągnąć od niej coś więcej? Gwen by próbowała.

— Jeszcze nie wyjechała do college'u, prawda? — spytała Maggie, żeby wypełnić ciszę. Wiedziała, że dziewczynie się tam nie śpieszy.

— Jedzie dopiero pod koniec przyszłego tygodnia. Nie ma jej teraz w domu, ale na pewno chętnie zajmie się Harveyem. Wyślij jej SMS-a, zamiast dzwonić. Od razu ci odpowie. — Znów zrobił pauzę. — Czy Kunze wie o twoim wyjeździe?

— Oczywiście, że tak. — Była na siebie zła, że mówi to z irytacją. — Wurth z nim to uzgodnił. — Nie dodała, że Kunze uznał to za bardzo dobry pomysł. Tully sam się tego domyśli. Miał już do czynienia z wściekłością Kunzego, kiedy ten, jako

nowy szef, zawiesił go w obowiązkach. — To pewnie nic takiego — podjęła Maggie. — W wodach przybrzeżnych znaleźli lodówkę z częściami ludzkiego ciała.

— Znowu to samo. — Maggie słyszała, jak Tully się zaśmiał. — Chyba zostaniesz ekspertem od morderców, którzy ćwiartują swoje ofiary.

Też by się zaśmiała, gdyby te słowa nie były tak bliskie prawdy. Nie zważając na to, ile ją to kosztowało, poprosiła, sama tym zaskoczona:

— Zrób mi przysługę i nie mów Gwen o tym, co się dzisiaj wydarzyło, dobrze?

— Absolutnie. — Tym razem odparł bez wahania, bez pauzy. Wsparł swoją zawodową partnerkę. — Daj mi znać, gdybym mógł ci jakoś pomóc. W tej sprawie — dodał, żeby nie było wątpliwości.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Hotel Hilton

Plaża Pensacola, Floryda

Scott Larsen sączył beczkowe piwo i czekał na człowieka, którego w duchu nazwał Handlarzem Śmierci. To była taka ksywka, koleżeńska ksywka. W końcu Scottowi nie przeszkadzało, że niektórzy ludzie — w tym jego żona — czasami jego też nazywają Handlarzem Śmierci. Brzmiało to atrakcyjniej niż przedsiębiorca pogrzebowy czy nawet właściciel zakładu pogrzebowego.

Z baru na plaży obserwował tylne drzwi hotelu. Po raz pierwszy mieli się spotkać poza biurem Scotta. Był dobry w tym, co robił, sprawdzał się w swojej pracy, gorzej jednak radził sobie w codziennych kontaktach międzyludzkich, w sytuacjach towarzyskich. Zresztą w jego branży nigdy nie łączy się interesów z przyjemnością, więc akurat w sferze zawodowej wszystko świetnie działało.

Ładna jasnowłosa barmanka już kolejny raz dolewała mu beczkowego piwa, więc czuł leciutki szmerek. Miał słabą głowę, za to potrafił nieźle udawać. Gdy tylko zorientował się, że coś jest nie tak, zaczynał mówić wolniej i ostrożnie dobierał słowa.

Trish, jego żona, twierdziła, że Scott zbyt dobrze oszukuje. Ale przecież długo to praktykował. Na tym wszak polega cały ten pogrzebowy biznes, prawda? Trzeba udawać, że zmarły spoczywa w spokoju. Udawać, że przeniósł się do lepszego świata. Udawać, że cię to obchodzi.

Zerknął na zegarek, potem przeniósł wzrok na wodę. Usiłował nie gapić się na młode ciała w bikini, choć w sobotni wieczór plaża była nimi przepełniona. Był żonatym mężczyzną, a przynajmniej taką znajdował sobie wymówkę. Nie próbował też flirtować. Owszem, wobec wdów był czarujący, trzymał je za ręce i pozwalał im wypłakać się na jego ramieniu, ale w pokoju pełnym pięknych i seksownych kobiet

czuł się zagubiony. Nie miał pojęcia, co robić ani o czym rozmawiać. Dłonie mu się pociły, język puchł w ustach. Wtedy nie potrafił nawet udawać. To cud, że w ogóle poderwał Trish. Miał szczęście i był za to wdzięczny losowi, starał się o tym nigdy nie zapominać.

Właśnie zaczął się powoli odwracać, by znów spojrzeć na wejście do hotelu, kiedy dostrzegł mężczyznę, który spokojnym krokiem szedł plażą. W jednej ręce niósł żeglarskie buty, drugą włożył do kieszeni szortów. Dół różowej zapinanej na guziki koszuli powiewał na wietrze. Facet nie był uderzająco przystojny, lecz pewny siebie krok przyciągał wzrok wielu osób. Wyglądał, jakby zszedł z okładki magazynu GO, a nie jak Handlarz Śmierci. Prawdę mówiąc, Scott rozpoznał go dopiero po chwili. Nie spodziewał się, że przyjdzie plażą.

Scott pomachał w jego stronę, lecz zaraz zrobiło mu się głupio, bo mężczyzna tego nie zauważył. Szedł przez tłum plażowiczek w bikini i torował sobie drogę do barowego stołka tuż obok Scotta, nawet na niego nie patrzył, nie kiwnął mu głową. Zawsze był taki wyluzowany.

— Jaką macie whisky? Dostanę słodową? — spytał atrakcyjną barmankę, która do niego wyszła, zanim jeszcze zajął miejsce.

— Przykro mi, ale nie mam słodowej, a najlepsze, co mamy, to Johnie Walker.

— Z niebieską naklejką?

Scott zwrócił uwagę, że barmanka uśmiecha się z podziwem.

— Nie, raz jeszcze przepraszam. Mam tylko z czarną.

— Świetnie — odparł, jakby o to mu właśnie chodziło, po czym odwrócił się do Scotta. — Dla ciebie też?

On zaś spojrzał zaskoczony jak widz, którego niespodziewanie wciągnięto do gry. Barmanka zapewne myślała, że Scott jest dla tego młodego mężczyzny kimś zupełnie obcym, tym bardziej była pod wrażeniem i czekała na odpowiedź.

— Jasne, dziękuję — wydusił najzwyczajniej jak umiał.

— Z lodem dla obu panów? — spytała barmanka.

— Tak, byłoby świetnie — powiedział Scott, udając, że zawsze pije whisky z lodem, podczas gdy tak naprawdę nie pamiętał, czy w ogóle ją pił.

— Dla mnie czysta.

Na twarzy barmanki pojawił się taki uśmiech, że Scott chciał nawet zmienić zamówienie.

— Doskonale wybrałeś miejsce — pochwalił go Handlarz Śmierci.

Scott natychmiast się uspokoił i poczuł... jak to nazwać? To idiotyczne, ale ten mężczyzna miał w sobie coś takiego, co w innych rodziło nieodparte pragnienie, żeby go zadowolić. Wtedy właśnie uświadomił sobie, że musi odrobinę wyciszyć ten szumek w głowie, by nie popełnić gafy i nie zwrócić się do mężczyzny ksywką, którą określał go w myślach. Od momentu, kiedy Joe Black po raz pierwszy mu się

przedstawił, Scott zastanawiał się, czy to jego prawdziwe imię i nazwisko. W końcu tak nazywał się jeden z filmowych bohaterów. Ale ten mężczyzna, chociaż nie przypominał Brada Pitta, posiadał ten sam urok i charyzmę. I, paradoksalnie, jeśli nawet używał przybranego nazwiska, wzbudził tym jeszcze większy podziw Scotta. Joe Black, bohater filmu, był w rzeczywistości Śmiercią w przebraniu zwykłego człowieka. To prawdopodobnie z tego powodu Scott w duchu nazywał go Handlarzem Śmierci. Tyle że jego nowy przyjaciel... nie, to nieprawda. Nie byli przyjaciółmi, chociaż Scott pragnął tego. Otóż nowy znajomy był wyjątkowym człowiekiem, a nie zwykłym szaraczkiem.

— Tak, bardzo tu pięknie, prawda? — rzekł Scott. — Nikt by nie pomyślał, że zbliża się huragan.

Barmanka podała drinki, i tym razem przyniosła też drugą miseczkę z orzeszkami i precelkami. Joe Black zdawał się przyciągać dodatkowe profity, a Scott z przyjemnością z tego korzystał.

— Jesteś przygotowany na uderzenie huraganu?

— Oczywiście.

— Masz jakieś wolne miejsce, na wypadek gdybym musiał coś przechować przez parę dni?

— Jasne — zapewnił Scott i przełknął łyk szkockiej, starając się nie krzywić, kiedy zapiekło w gardle. — Gdy tylko kupiłem tę firmę, od razu zrobiłem remont chłodni. Teraz jest więcej miejsca, są nowe półki, naprawdę to chłodnia najwyższej klasy.

Szczerze mówiąc, nawet nie myślał o huraganie. Tego lata były już trzy i żaden nie dotarł do Zatoki Meksykańskiej. Scott wychował się w Michigan, więc nie miał pojęcia o huraganach, za to Pensacola była rodzinnym miastem Trish. W ciągu dwóch lat, od kiedy tutaj zamieszkał, nie pojawiło się tak poważne zagrożenie. Kupując zakład pogrzebowy, sądził, że budynek jest przygotowany na tego rodzaju ewentualność. Widział, że znajduje się tam dodatkowy generator i kiedy, jeśli w ogóle, zajdzie taka potrzeba, spróbuje go podłączyć albo zatrudni kogoś, kto to za niego zrobi.

Zakład pogrzebowy Holmes i Meyers nie był pierwszym interesem prowadzonym przez Scotta. Jeszcze w Michigan kierował trzema zakładami pogrzebowymi, lecz dopiero ten miał na własność. Jednak poza tym niczym się nie różnił. Scott dobrze sobie radził, potrafił osiągać zyski, ciąć koszty i rozwiązywać problemy, wprowadzając nowe metody działania. Zachował też dawną nazwę, chociaż obecnie w zakładzie nie pracował już żaden członek rodziny Holmesów czy Meyersów. Wiadomo jednak, że dobre imię i reputacja są bezcenne, zwłaszcza w tym biznesie. Owszem, nadal trochę się denerwował, że jest odpowiedzialny za

własną firmę, no i ten potężny kredyt. Ale to właśnie sukces Scotta sprawił, że Joe Black wybrał akurat i jego, i jego zakład pogrzebowy.

— Zostaniesz tutaj przez tydzień? — spytał Scott.

— W poniedziałek mam kolejną konferencję w Destin, oczywiście jeśli nie odwołają jej z powodu pogody. Przydałaby mi się jakaś powierzchnia magazynowa.

— Nie ma sprawy. Przynieś do mnie swoje rzeczy, na pewno gdzieś je upchniemy. Jesteśmy umówieni na jutro, prawda?

— Zgadza się. — Joe Black zamieszał szkocką i z uwagą spojrzał na Scotta. — To bardzo ekscytujące. Twój pierwszy przybłęda.

— Przybłęda?

— Przybłąkany dawca.

— No tak. — Scott zaśmiał się, próbując ukryć zażenowanie. Musi nauczyć się rozgryzać takie językowe kruczki, bo inaczej nigdy nie będzie fajnym gościem. — Kto by pomyślał, że okaże się to takie proste.

— Już dostarczony?

— Już czeka.

— To dobrze.

Jednak Joe już nie patrzył z uwagą na Scotta, tylko śledził wzrokiem coś albo kogoś ponad jego ramieniem. Scott zerknął przez ramię i mimo woli westchnął.

— Co? — spytał Joe. — Znasz ją?

Obiektem jego zainteresowania była kobieta siedząca przy stoliku w towarzystwie czterech mężczyzn. To ona znajdowała się w centrum uwagi, wywołując ich śmiech.

— Moja szwagierka.

— Naprawdę?

— Lepiej o niej zapomnij. Nie sądzę, żeby grała w naszej drużynie.

Joe uniósł brwi, ale zanim Scott cokolwiek mu wyjaśnił, zadzwoniła komórka. Wyjął ją z kieszeni koszuli, cieniutki jak żyletka srebrno-czerwony przedmiot, który po otwarciu lśnił na różowo.

— Joe Black. — Słuchał, palcem wskazującym przesuwając po brzegu szklanki.

Scott złapał się na tym, że spogląda na niego kątem oka, a przecież nie chciał sprawiać wrażenia, że podsłuchuje, dlatego okręcił się na barowym stołku w stronę Liz. Ona i tak na niego nie spojrzy. Nikt go nie zauważał. Poza tym jej stolik stał przy drzwiach baru.

Kiedy po raz kolejny rzucił okiem na szwagierkę, zorientował się, że jednym z towarzyszących jej mężczyzn jest jego teść.

Teraz już właściwie chciał, żeby go zobaczyli, jak pije drogą whisky z takim pełnym klasy gościem. Ujrzeliby go w całkiem nowym świetle, podskoczyłby w ich oczach o kilka punktów. A on chętnie przedstawiłby im Joego. Może nawet chciałby,

żeby opowiedzieli Trish o jego biznesowych spotkaniach, prezentując go z zupełnie innej strony. Czy Trish mu wciąż nie powtarza, że powinien częściej spotykać się z ludźmi? A jednak nadal siedział plecami do Liz i teścia i udawał, że podziwia widok za oknem.

— To bardzo krótki termin — rzekł Joe do telefonu. — Nie, to jest wykonalne. Martwię się tylko, ile by to pana kosztowało.

Scott przestał się uśmiechać, żeby Joe go na tym nie przyłapał. Co za handlowiec. Właśnie oświadczył jakiemuś klientowi, że wyciągnie od niego kupę forsy, a mówił to tak, jakby jego jedyną troską było dobro owego klienta.

— Zobaczę, co da się zrobić, i odezwę do pana jutro.

Nie pożegnał się, nie powiedział dziękuję. Po prostu się rozłączył.

— To zawsze działa — rzekł Scott.

— Już ty to wiesz — odparł Joe Black. — To może jeszcze po jednym?

Uniósł szklankę i wypił do dna, nie tak, jak zdaniem Scotta powinno się pić taki drogi alkohol. Ale kiedy Joe zawołał barmankę, Scott widział, że znowu zerknął ponad jego ramieniem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Baza sił powietrznych Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych

Pensacola

Benjamin Platt nalegał, że chce zobaczyć najcięższe przypadki. To prawda, był wyczerpany, wciąż odczuwał skutki różnicy czasu po przylocie z Afganistanu, po którym zbyt szybko musiał znów lecieć z Waszyngtonu na Florydę. Jednocześnie wiedział, że jeśli kapitan Ganz zawiezie go do hotelu, to i tak nie zaśnie, tylko będzie myślał o wszystkich tych sterylnych namiotach, pod którymi leżą chorzy żołnierze, czekając, aż ktoś stwierdzi, co im właściwie dolega.

Po zbadaniu pięciu chorych był coraz bardziej zdezorientowany. Każdy z nich odniósł inne obrażenia, każdy też przeszedł inną operację, chociaż wszystkie zabiegi dotyczyły przygniecionych, urwanych czy w inny sposób uszkodzonych kończyn. Niektórzy z nich, już po amputacji, czekali, aż rana się zagoi i będzie można dopasować protezę. Wiele z tych urazów niekoniecznie zagrażało życiu, mimo to Platt zawsze z bólem patrzył na żołnierza, który stracił rękę albo nogę.

— Czy może to być coś, co pojawiło się tutaj, w szpitalu? — spytał kapitana Ganza, gdy wycofali się do holu, gdzie mogli zdjąć maski, okulary ochronne i rękawiczki.

— Wszystko wykonujemy zgodnie z procedurami. Nic takiego nie znajduję. Żadnych problemów.

— Sądzi pan, że zarazili się w Afganistanie i przywieźli to tutaj?

— Nie wiem, czy coś takiego jest możliwe. Czy szczep mógł tak długo tkwić w uśpieniu? I co dalej? Uaktywnił się podczas interwencji chirurgicznej?

Platt nie dziwił się, że Ganz nie patrzy mu w oczy. Przecież właśnie czegoś takiego bał się najbardziej. Każdy by się bał.

— To się nie zdarza, a przynajmniej ja nie słyszałem o takim przypadku — stwierdził z namysłem. Na pytanie, które zaraz na pewno usłyszy, nie znał odpowiedzi, więc jej nie udzieli. Lata spędzone w USAMRIID nauczyły go, żeby nigdy nie mówić nigdy oraz że wszystko jest możliwe.

— Ale nie możemy tego absolutnie wykluczyć? — spytał Ganz.

— Ilu jest tu chorych?

— Siedemdziesięciu sześciu.

— Jak długo?

— Osiem dni temu zaczęliśmy ich izolować, ale niektórzy z tych żołnierzy przeszli operację nawet osiemnaście dni temu.

— Wszyscy byli tutaj operowani?

— Tak, chociaż część z nich miała wstępne zabiegi w Bagram, zanim ich do nas przewieziono.

— Czy tam również zaobserwowano podobne przypadki?

— Nie wyodrębniliśmy żadnego. Ci, którzy pozostali w Bagram, nie wykazują tych objawów. Prawdę mówiąc, żaden z przebywających tam żołnierzy nie zmarł na tę dziwną chorobę, a można by pomyśleć, że właśnie tam coś się stało. — Ganz próbował się zaśmiać, ale kiepsko mu to wyszło.

— Ma pan próbki krwi zmarłych żołnierzy. Chciałbym je obejrzeć.

— Nasze laboratorium bardzo dokładnie je przebadało, więc... — Ganz urwał i potrząsnął głową jak lunatyk, który nagle się obudził. Machnął ręką, jakby chciał wymazać wypowiedziane dopiero co słowa. — Oczywiście. Polecę, żeby je panu przygotowano. Czego pan zamierza szukać?

Platt wzruszył ramionami.

— Czasami, kiedy skupiamy się na konkrecie, na przykład gronkowcu złocistym, możemy przeoczyć coś, co nie jest tak oczywiste. — Przetarł oczy, nagle znowu poczuł się przemęczony. — Zacznę od sprawdzenia, czy nastąpił rozkład komórki.

— Najpierw powinien pan się przespać. I to kilka godzin. Ściągnąłem tu pana, nie dając szansy na odpoczynek.

— Wszystko w porządku, choć dobrze by mi zrobiła mocna czarna kawa.

Drzwi, przez które przed chwilą wyszli, otworzyły się i lekarz w niebieskim stroju chirurga wyjrzał na zewnątrz.

— Kapitanie, zaraz stracimy kolejnego.

Niedziela 23 sierpnia

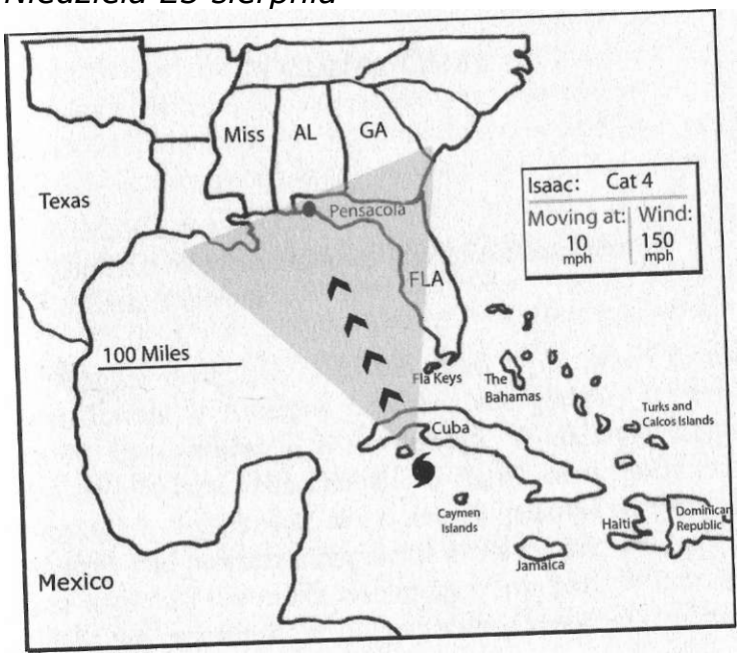

Isaac kat. 4.

Prędkość huraganu: 16 kilometrów na godzinę Prędkość wiatru: 240 kilometrów na godzinę

ROZDZIAŁ ÓSMY

Niedziela rano

Lotnisko międzynarodowe Hartsfield-Jackson

Atlanta, Georgia

Maggie wyleciała o szóstej rano i już przed ósmą wylądowała w Atlancie. Niecałe dwie godziny wystarczyły, by wytrącić ją z równowagi. W dalszym ciągu nie znosiła latać. Nie chodziło o tłumy, niewygody czy nawet lęk wysokości, ale o to, że jedenaście tysięcy metrów nad powierzchnią ziemi czuła się jak w pułapce bez wyjścia i nie miała nad niczym kontroli. Wurthowi udało się przenieść ją do pierwszej klasy, ale to nie pomogło.

Czekał na nią w miejscu odbioru bagażu. Jak na drobnego mężczyznę uściskał ją tak mocno, że omal jej żeber nie połamał.

— Spokojnie — powiedziała Maggie. — Co ludzie pomyślą?

— W Atlancie nikt się nie zdziwi — odparował Wurth. — Ale proszę mnie nie dotykać, kiedy tylko wyjedziemy z miasta i ruszymy na południe. Być może będzie pani musiała siedzieć na tylnym siedzeniu, żebym udawał pani kierowcę.

Przewróciła oczami. Wiedziała, że Wurth żartuje, ale równocześnie miała świadomość, że na Południu nadal istnieją enklawy, gdzie czarny mężczyzna i biała kobieta w jednym samochodzie przyciągają nieprzyjazne spojrzenia. Ale na pewno nie powtórzy się już to, co mieli okazję wspólnie przeżyć.

W listopadzie minionego roku Maggie i Wurth spędzili razem koszmarny weekend. W piątek po Święcie Dziękczynienia trzej studenci college'u z plecakami wypakowanymi ładunkami wybuchowymi wysadzili w powietrze część centrum handlowego Mail of America. Maggie i Wurth zostali oddelegowani do rozwiązania tej zagadki i powstrzymania kolejnego ataku. Ostatecznie trafili na niespodziewanego i silnego przeciwnika. To był również początek burzliwej relacji Maggie z jej nowym szefem, zastępcą dyrektora Raymondem Kunzem. Charlie Wurth stanął po jej stronie i bronił, kiedy Kunze tego nie zrobił.

— To wszystko? — spytał, gdy pokazała mu małą walizkę. Ciągnąc ją za sobą, ruszyła odebrać broń. — O'Dell, dla większości kobiet, które znam, ta maleńka walizka służyłaby jako torebka.

— No to proszę sobie wyobrazić, że nie należę do owej większości.

— Należy pani do tak zwanych kobiet o skromnych wymaganiach. Słyszałem o nich, ale dotąd żadnej nie spotkałem.

Kiedy schowała rewolwer, Wurth wyprowadził ją na zewnątrz do czarnego cadillaca escalade zaparkowanego przy krawężniku. Funkcjonariusz ochrony lotniska, który pilnował samochodu, otworzył bagażnik, podczas gdy Wurth podniósł walizkę Maggie i schował ją do środka.

— Dzięki, kolego. — Wurth poklepał ochroniarza po ramieniu. Wyglądało to dość komicznie, bo był od niego niższy co najmniej o głowę.

— Szerokiej drogi. — Ochroniarz otworzył drzwi Maggie.

Wnętrze samochodu wyglądało nieskazitelnie poza stertą CD rozrzuconych na konsoli między siedzeniami.

— Nie wiedziałam, że w wypożyczalniach mają jeszcze takie luksusowe suvy.

— Lodówka tej wielkości mogła służyć jako pływająca trumna, puszczona na wodę po to, by znalazła się jak najdalej od lądu. Gdyby pokrywa nie była zamknięta, drapieżniki zajęłyby się szczątkami, i w ten sposób ktoś pozbyłby się wszystkich dowodów. Jednak nie mogło być tak. Plastikowa folia wskazuje, że ten ktoś nie chciał porzucić lodówki. Powiem coś więcej, kiedy wszystko obejrzę. Czy będę mogła zobaczyć miejsce, gdzie znaleziono lodówkę?

— Powiedziano mi, że to nie problem.

— A samą lodówkę?

— Czeka na panią, jednak pakunki są już u koronera. Jutro rano się nimi zajmie. Oczywiście oczekuje pani wizyty. Nikt nie będzie pani niczego utrudniał, co najwyżej spotka się pani z brakiem zainteresowania. Miejscowe służby mają ważniejsze sprawy na głowie, kiedy zbliża się huragan.

— Huragan jest ważniejszy niż morderca, który przebywa na wolności?

Wurth zerknął na nią, skręcając na parking przed McDonaldem.

— Nigdy nie przeżyła pani huraganu, prawda?

— To takie oczywiste?

— Ile ciał pokroili pani mordercy? Sześć? Dwanaście w ciągu kilku miesięcy? A może kilku lat? Isaac zabił już sześćdziesiąt siedem osób w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Tym razem, O'Dell, myślę, że mój zabójca przebija pani mordercę.

— Zapewne nie mają. — Wurth zapalił silnik i włączył klimatyzację. — Ten nie jest z wypożyczalni, to mój samochód.

— Jedzie pan prywatnym wozem w okolice, gdzie ma uderzyć huragan?

— Nie o to chodzi. — Z uśmiechem potrząsnął głową. — Będziemy przedzierać się przez nasze kochane Południe, cherie. Niewydarzony czarny facet z piękną białą kobietą. Spakowałem wszystkie niezbędne dokumenty: dowód rejestracyjny, prawo jazdy i ubezpieczenie.

Roześmiała się, ale Wurth jej nie zawtórował.

— Mówi pan poważnie.

— Bardzo poważnie. — Nacisnął kilka przycisków na desce rozdzielczej i wnętrze samochodu wypełniły dźwięki smooth jazzu. — Czeka nas jakieś pięć godzin jazdy drogą między stanową. Może zajechalibyśmy do McDonalda na babeczkę z kiełbasą?

— Pięć godzin w escalade ze smooth jazzem w tle? Brzmi idealnie.

— Naprawdę kobieta o skromnych wymaganiach. Podoba mi się to.

Zaczekała, aż opuszczą teren lotniska Hartsfield, nim zaczęła wypytywać:

— Dowiedział się pan czegoś nowego od wczorajszego wieczoru?

— Już wszystko rozpakowali. — Zerknął na nią przez przeciwsłoneczne okulary. — Przykro mi. Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć. Nie wiem, co się robi z pokawałkowanym ludzkim ciałem.

— Proszę się nie przejmować. Na pewno postępowali zgodnie z protokołem. — Przypomniała sobie, jak Tully mówił o niej, że staje się ekspertem w tej dziedzinie. Wolałaby wzbogacić swój życiorys o inne doświadczenia.

— Okazało się, że było tam pięć pakunków: jeden męski korpus, jedna stopa i trzy ręce.

— Lewe czy prawe?

— Słucham?

— Ręce i stopa. Były lewe czy prawe?

Tym razem na jego twarzy pojawił się pełen zażenowania uśmiech.

— Przepraszam, O'Dell, nie przyszło mi na myśl, żeby o to zapytać. — Pokręcił głową. — Myślałem, że moja praca jest ciekawa dzięki swojej różnorodności, ale pani bije mnie na głowę.

— Trzy ręce? To więcej niż jedna ofiara.

— A zatem czy natknęliśmy się na czyjeś trofea czy odpady?

Maggie wzruszyła ramionami i oparła się wygodnie na skórzanym siedzeniu. Klimatyzacja w samochodzie pracowała bezgłośnie, chłodząc wnętrze tak samo przyjemnie, jak wypełniał je jazz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pensacola

Liz Bailey kręciła się po kuchni. Starała się nie hałasować, przygotowując śniadanie, i przysięgła sobie, że znajdzie czas, by kupić rzeczy, których nie mogła teraz znaleźć. Nie mieszkała u ojca od czasów liceum, a siostra opuściła ten dom po ślubie ze Scottem. To było dwa lata temu, dość czasu, by ojciec wszystko poprzekładał tak, żeby tylko on mógł coś znaleźć.

Wprowadziła się do ojca tymczasowo, ponieważ mieszkanie, które jej obiecano, kiedy została przeniesiona, będzie wolne dopiero za dwa miesiące. Szukając tostera, zastanawiała się, czy wytrzyma tutaj tyle czasu.

Włączyła radio, by posłuchać prognozy pogody:

— *Synoptycy przewidują, że huragan Isaac uderzy dzisiaj w zachodnie wybrzeże Kuby. Minionej nocy szalał na Wielkim Kajmanie, zatapiając domy, zrywając dachy i łamiąc drzewa. Ponad połowa domów na Kajmanie uległa poważnym zniszczeniom, mimo to Isaac nie stracił na sile. Teraz jest huraganem kategorii czwartej i przesuwa się z prędkością około szesnastu kilometrów na* godzinę z ciągłymi wiatrami o sile dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. Wyobraźcie sobie, że nadal spodziewamy się, iż jeszcze skręci lekko na północ/północny wschód, co znaczy, jak się domyślacie, że znajdujemy się na jego drodze. Do naszego nabrzeża może dotrzeć w środę. Pora zabijać okna i drzwi deskami, zrobić zapasy i wynosić się stąd, moi drodzy.

— Oni zawsze się mylą — oznajmił ojciec, szurając kapciami. Był jeszcze w piżamie, chociaż już od godziny czytał gazetę i popijał kawę.

Jest! Nareszcie! Liz znalazła go na samym dnie szafki pod zlewem. Oczywiście było to ostatnie miejsce, gdzie by szukała tostera. Wyjęła go bez komentarza. Trish na pewno by coś powiedziała, skarciłaby ojca i poinstruowała go, gdzie jest miejsce na takie rzeczy.

— Nie tym razem, tato. Informacje, które ma Straż Wybrzeża, i prognozy Narodowego Centrum Huraganów potwierdzają, że Panhandle będzie celem.

— Cóż, media twierdzą, że uderzy gdzie indziej, wszyscy są już w Nowym Orleanie i czekają w pogotowiu. Dzisiejszy „Journal” zamieścił przewidywaną drogę huraganu od Galvestonu do Tampy, i wszyscy zachowują się tak, jakby Nowy Orlean był jedynym miejscem, którym się w ogóle przejmują.

— Powinieneś kupić benzynę, baterie i wodę w butelkach, i to dzisiaj, zaraz. Czy nie byłoby dobrze, żeby Trish i Scott u ciebie zamieszkali? Nie mogą zostać nad zatoką.

— Mam cały pojemnik baterii i pełno butelkowanej wody w garażu, a w lodówkach jest tyle jedzenia, że starczy nam na tydzień.

— Potrzebny ci będzie generator, żeby trzy lodówki działały.

— Mam trzy generatory.

— No to kup benzynę, tato. Zrobisz to? Obiecasz mi, że kupisz dzisiaj benzynę?

— Jasne, jasne.

— Nie zapomnisz?

— Pojadę przed lunchem, ale ciebie i tak tutaj nie będzie. Dokąd cię wyślą?

— Pewnie do Jacksonville. Gdzieś z dala od huraganu, ale dość blisko, żebyśmy mogli przylecieć natychmiast po jego przejściu. Pamiętasz, mówiłam ci. Zjawiliśmy się zaraz po tym, jak przeszła Katrina, tak szybko, że widziałam jeszcze wzburzone po sztormie morze. Wyobrażam sobie, że tym razem będzie tak samo.

— Ci chłopcy cię polubili. — Nalał sobie kawę do kubka, stojąc obok niej, kiedy czekała, aż toster wypluje bajgla.

— Tak, stanowimy zgraną paczkę. — Chciała dodać, że łatwo być zgraną paczką po paru piwach, ale nigdy nie przyzna się ojcu, że tak naprawdę wygląda to trochę inaczej.

— W „Journal” jest krótka wzmianka o tej lodówce, którą wczoraj znaleźliście.

— Naprawdę?

— Na pierwszej stronie. W dolnym prawym rogu. Odłożyłem go dla ciebie.

— Powiedz mi, co tam piszą. — Posmarowała bajgla serem i ugryzła kęs. Ojciec czytał „Pensacola News Journal” od deski do deski i zwykle potrafił powtórzyć z pamięci artykuły, które go zainteresowały.

— Podejrzana rybacka lodówka wyłowiona przez Straż Wybrzeża — zacytował, dodając do kawy śmietankę. Robił to po trochu, jakby ją sobie racjonował. — Nie wspominają o zawartości lodówki ani nie sugerują, że to jakaś nieczysta sprawa albo że w środku były części ludzkiego ciała.

Liz omal nie zakrztusiła się bajglem.

— Dlaczego sądzisz, że były w lodówce?

— W porządku, nikomu nie powiem. Ten niski gość, ten, który zjadł wszystkie hot dogi i ma słabą głowę, Tommy mu było, prawda? Wypsnęło mu się, że była tam ludzka stopa. Potem dodał, że znaleźliście więcej „tego towaru”, więc zakładam, że mogły to być ludzkie szczątki.

No i na co zdało się całe ich szkolenie? Liz wiedziała, że Wilson i Ellis byli nowi, ale zachowali się idiotycznie. Całej załodze za coś podobnego groziło zawieszenie.

— A wiesz, w zeszłym tygodniu „Journal” pisał, że w okolicach Waszyngtonu działa seryjny morderca. Jeden z tych popieprzeńców, którzy przechowują swoje ofiary. Może to ma jakiś związek?

— Tato, nie rozmawiaj o tym z nikim. Wiesz, że nie wolno o tym mówić.

— Powtarzam tylko to, o czym piszą w gazecie.

Próbował nożem do smarowania przekroić bajgla. Liz delikatnie wzięła pieczywo od niego, przekroiła i włożyła połówki do tostera.

— Okej, więc powiedz mi, co czytałeś o tym seryjnym mordercy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tunel, 17 Aleja

Pensacola

Billy Redding wygrał los na loterii. Jego zdezelowany wózek na zakupy zadzwonił aluminiowymi puszkami, którymi był wypełniony. Billy wsadził tam tyle puszek, ile tylko się dało, aż ręce go rozbolały. Przekleństwo krótkich rąk. Prawdę mówiąc, Billy lata temu przekonał sam siebie, że to bezużyteczne krótkie ręce uniemożliwiły mu osiągnięcie sukcesu w życiu. Ale może szczęście się odwróciło. Teraz, kiedy większość puszek w koszu była zgnieciona prawie na płasko, chyba zmieści kolejne dwa tuziny.

W sobotnie wieczory w pojemnikach na śmieci w parku Bayfront zawsze ich sporo zostawało. Sztuczka, jak odkrył Billy, polegała na tym, żeby znaleźć się tam w niedzielę wystarczająco wcześnie, by wyprzedzić miejskich śmieciarzy. Sprzedaż puszek pozwoli mu utrzymać się przez cały tydzień.

Ruszył z powrotem do tunelu, żeby ukryć swój zbiór. Ten krótki dystans go zmęczył. Zadyszany usłyszał jadący za nim samochód. Billy cofnął się na krawężnik, chciał zejść mu z drogi. Samochód zwolnił. Billy nadal szedł w górę, dysząc w porannym wilgotnym upale. T-shirt przykleił się do pleców jak druga skóra. Nienawidził tego, więc nosił na wierzchu rozpinaną koszulę z długimi rękawami, uważał bowiem, że będzie mu służyć jako warstwa izolacyjna, a przynajmniej wchłonie dodatkowy pot. Nie przeszkadzało mu, że jest zgrzany. Nie znosił być mokry. Owady wplątywały się w jego brodę, kiedy była wilgotna. To dlatego trzymał się blisko tunelu, który chronił przed deszczem.

— Cześć, Billy — zawołał ktoś.

Chciał udać, że nie słyszy. Musi iść naprzód. Czasami jednak ludzie przystawali i dawali mu parę dolców. Obejrzał się przez ramię.

Wóz policyjny. Cholera jasna!

Natychmiast się zatrzymał, zabezpieczył wózek sklepowy, podkładając kamień pod jedno z tylnych kółek. Nosił ten kamień z sobą specjalnie w tym celu.

Kiedy zbliżył się do samochodu, poznał policjanta o jasnorudych włosach. Czasami mu się przedstawiali, ale on i tak nigdy nie pamiętał imion, za to zawsze był uprzejmy. Tak długo, jak długo on był uprzejmy, odpłacali mu tym samym, więc Billy spuszczał głowę, przytakiwał i zwracał się do nich grzecznie per proszę pana. Było to jakby uniwersalne nazwisko wszystkich policjantów. Kiedyś nawet powiedział „proszę pana" do policjantki. Tak się zawstydził, że nie był w stanie wydusić przeprosin, ale ona dała mu pięć dolców i powiedziała, żeby się nie przejmował.

— Nadchodzi huragan, Billy — oznajmił policjant przez otwarte okno samochodu.

— Tak, proszę pana.

— Kiedy się zbliży, przyślę tu kogoś, żeby cię zabrał. Musisz się gdzieś ukryć na ten czas. Rozumiesz, Billy? Nie możesz tutaj zostać.

— Tak, proszę pana. Czy mogę zabrać wózek?

— W schronie będą mieli jedzenie i wszystko, co potrzeba.

Billy nie podnosił głowy, kopnął krawężnik i rzekł:

— Trudno je zdobyć, proszę pana.

Policjant milczał. Kątem oka Billy zauważył, że pokręcił głową.

— Jasne, coś wymyślimy. Powiem im, że możesz zabrać wózek.

Billy spakował część swojego łupu i schował go w bezpiecznym miejscu, w opuszczonej zarośniętej trawą kryjówce kilka metrów od tunelu. Jeśli szybko zawróci do parku, może zbierze jeszcze więcej puszek, zanim przyjadą śmieciarze. I tak dopiero jutro wybierze się do skupu złomu. To zajmie mu cały dzień.

Wózek stukał głośniej niż zwykle, kiedy był wypełniony zgniecionymi puszkami tylko do połowy. Billy lubił ten odgłos. Przypominał mu dzwonienie drobnych monet w kieszeni taty. „Pieniądze na lody", mówił o nich tata, żeby mama Billy'ego nie wiedziała, że wybierają się po butelkę taniej wódki, którą potem wspólnie opróżnią. Razem śmiali się z tego sekretnego kodu.

Właśnie dotarł do parku, kiedy usłyszał, że jedzie za nim kolejne auto. Zszedł mu z drogi, ale samochód zatrzymał się obok niego.

— Hej! — zawołał mężczyzna za kierownicą.

Billy szedł dalej, zerkając przez ramię na furgonetkę. Mężczyzna miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, łokieć wystawał przez otwarte okno. Billy zauważył naszywkę na ramieniu. Mężczyzna był w mundurze, jak policjant.

Czy już kogoś po niego przysłali? Przystanął i podniósł wzrok na czyste niebieskie niebo, a potem przeniósł spojrzenie na wodę w zatoce. Wzburzone fale obijały się o skały, ale nie wyglądało na to, by zbliżał się kataklizm.

— Musisz ze mną pojechać — powiedział do niego mężczyzna. — Wygląda, że jest pogodnie, ale nadciąga huragan.

— Tak, proszę pana. Wiem. — Billy stanął na krawężniku. — Powiedzieli mi, że mogę wziąć z sobą wózek.

Gdy mężczyzna popatrzył na niego bacznie, dodał z naciskiem, że nigdzie się nie ruszy, jeśli nie pozwolą mu zabrać wózka.

— Nie ma sprawy, zmieści się. — Mężczyzna wysiadł z furgonetki i otworzył boczne rozsuwane drzwi, gotowy pomóc Billy'emu. — Usiądź obok niego i trzymaj, żeby się nie przewrócił.

Kiedy Billy wsiadł do furgonetki, stąpając po workach z lodem, usiłował sobie przypomnieć, czy któryś z policjantów nosi szorty khaki i takie ładne żeglarskie buty. To była jego ostatnia myśl, zanim kamień uderzył w tył jego czaszki.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Baza sil powietrznych Marynarki Wojennej
Pensacola

Benjamin Platt znowu się zaciął, kiedy na skutek wibracji zatrzęsła się armatura w maleńkiej łazience. Nad jego głową rozlegał się nieustający huk startujących samolotów i helikopterów. Nie zapowiadało się na to, by hałas szybko ustał, a Platt podczas tego golenia tak się pozacinał, że zaczął się zastanawiać, czy nie zapuścić brody.

Według najnowszych prognoz oko cyklonu Isaac kierowało się wprost na Panhandle, chociaż nad Zatokę Meksykańską sztorm jeszcze nie nadciągnął. Dowództwo bazy nie chciało jednak ryzykować. Szkoła lotnictwa marynarki wojennej wezwała pilotów, instruktorów, a nawet studentów, by odlecieli w bezpieczne miejsce. Tego ranka admirał zajął twarde stanowisko w sprawie żołnierzy poddanych kwarantannie i dla nich również kazał znaleźć odpowiednie lokum.

Minionej nocy wymknął się późno, żeby przespać się choć parę godzin, ale sen długo nie przychodził. Wciąż miał przed oczami jednego z młodych żołnierzy. Kiedy Platt znalazł kapitana Ganza, było już po telefonie admirała. Platt był tylko świadkiem następstw owego telefonu. Ganz bał się, że straci kolejnego pacjenta, a stanowczość admirała co do ewakuacji prowizorycznego oddziału zakaźnego wprawiła go w złość i sfrustrowała. Teraz od Platta zależało, czy Ganz znajdzie odpowiedź na swoje problemy, i jak szybko ją uzyska.

Wybierając się do laboratorium, by wziąć udział w autopsji, Platt czuł nowy ciężar na swoich barkach. Nie miał nawet okazji spojrzeć na próbki krwi. Ganz się

śpieszył, nie tylko dlatego, że chciał mieć jakąś odpowiedź, zanim umrze następny żołnierz, ale także z powodu sztormu. Platt chętnie by mu powiedział, żeby zwolnił. Czasami na takie odpowiedzi trzeba czekać tygodniami, a nawet miesiącami. Wiedział jednak również, dlaczego ściągnięto go tutaj. Kapitan Ganz pokładał w nim wszelkie nadzieje, ufał, że uznawany za wybitnego eksperta pułkownik wykryje obecność jakiegoś wirusa lub nowego śmiertelnego szczepu bakterii. Oczekiwał cudu. Natomiast Platt na podstawie tego, co zdołał zobaczyć w krótkim czasie od swojego przyjazdu, doskonale wiedział, że — o ile nie stanie się cud — nie będzie żadnych natychmiastowych rozwiązań.

Wciąż myślał o młodym żołnierzu, który zmarł minionej nocy. Mówili, że wymiotował zielonym płynem, zanim zapadł w śpiączkę. Kiedy Platt go ujrzał, wyglądał bardzo spokojnie. Z jego ust wydobył się pojedynczy jęk, podczas gdy organizm walczył o tlen. Wokół operowanego miejsca Platt nie dostrzegł opuchlizny. Żołnierz nie gorączkował, chociaż sądząc z mokrej pościeli, w ciągu godzin poprzedzających zgon obficie się pocił. Źrenice nie były powiększone, nie miał też popękanych naczynek.

Dopiero w ostatniej godzinie życia serce zwolniło, a ciśnienie krwi zaczęło gwałtownie spadać. Żołnierz nie odzyskał już przytomności. Platt nie wiedział, czym zarazili się ci młodzi ludzie, ale było to coś podstępnego, okrutnego i śmiertelnego.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Montgomery, Alabama

Benzyna trysnęła i spryskała buty Maggie, zanim odsunęła się od dystrybutora.

— Do jasnej cholery, Wurth! Niech mi pan raz jeszcze wyjaśni, dlaczego zastępca dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego nabiera benzynę do kanistrów i wozi je w swoim suvie. Nie powinien pan przypadkiem zamówić całego mnóstwa ciężarówek, żeby dostarczyły zapasy paliwa ofiarom huraganu?

— Jakim ofiarom? To mój osobisty zapas. Niech pani włoży ten ostatni kanister obok butelek z wodą.

Zdjęła buty i wrzuciła je na tył samochodu razem z kanistrem. Asfalt palił ją w stopy przez krótką chwilę, zanim znowu usiadła na miejscu pasażera. Pomimo nieznośnego upału otworzyła okno. Od oparów benzyny rozbolała ją głowa, a według jej kalkulacji czekały ich jeszcze trzy godziny jazdy.

Wurth zajął miejsce za kierownicą i podał jej schłodzoną puszkę dietetycznej pepsi. To była jego gałązka oliwna. Maggie ją przyjęła.

— Jeszcze mi pani podziękuje, że wziąłem cały sześciopak z lodówki. Kiedy dotrzemy do Pensacoli, większość półek będzie wyczyszczona, a na stacjach

benzynowych albo będą kolejki, albo pustki. A nie ma absolutnie nic gorszego, niż utknąć na drodze huraganu tylko dlatego, że nie wystarczyło pani benzyny, by zwiać w spokojne rejony.

— Myślałam, że pan nie powinien stamtąd uciekać. Że pan ma być jak kawaleria.

Zaśmiał się i potrząsnął głową.

— Skąd pani takie pomysły przychodzą do głowy, O'Dell?

— Nie powiedział mi pan jeszcze, dlaczego został pan wysłany do Panhandle, skoro mieszka pan w Nowym Orleanie. Czy Nowy Orlean nie znajduje się na drodze huraganu?

— W Nowym Orleanie są wszystkie media. — Włączył się na powrót do ruchu na drodze międzystanowej.

Kiedy zdała sobie sprawę, że to koniec wyjaśnień, dopytała:

— Tak, tam są wszystkie media, ale...

— Wie pani lepiej ode mnie, jak to działa. Wcześniej niż mnie wessała panią ta federalna biurokracja. Skoro wszystkie media są w Nowym Orleanie, to znajduje się tam również dyrektor. Ale nie jego zastępca.

— Hm... — Nie do wiary, że sama na to nie wpadła.

— Co mi przypomina — Wurth spojrzał na nią — że może pora, by mi pani wytłumaczyła, jakim cudem znalazła się pani wczoraj na linii ognia?

— Tak pan słyszał?

— Tak mi powiedziano.

Nie powinna się dziwić, że Kunze obwinił ją za cały ten incydent.

— Co dokładnie powiedział panu mój szef?

— Nie powtórzę jego słów, ponieważ nie używam takiego języka w towarzystwie damy, ale sedno jego wypowiedzi sprowadza się do tego, że pani wszystko schrzaniła. Nie przewidziała pani tego.

— Nie przewidziałam? — Nie mogła w to uwierzyć. Jak Kunze śmiał ją oskarżać o nieprzewidywalne zachowanie zabójcy? I sugerować to komuś spoza Biura. Co jeszcze zrobi? Powie, że jego broń trzy razy wystrzeliła w stronę mordercy z powodu jej zaniedbania? Jeden strzał wystarczyłby, żeby tego mężczyznę zatrzymać. Maggie zastanawiała się, czy strzał w głowę, po którym została zbryzgana mózgiem mordercy, nie służył właśnie temu, żeby ją zbryzgać.

— Czy on w ogóle wytłumaczył panu, co się stało?

— Może pani powinna mi powiedzieć.

— Moją wersję. Czy o to panu chodzi?

— Hej, jestem po pani stronie, O'Dell. — Uniósł ręce, jakby się poddawał, a potem opuścił je na kierownicę.

— Gdybym wierzył Kunzemu, nie jechałaby pani ze mną.

— Ma pan rację, przepraszam.

— Wie pani co? To bez znaczenia, co się stało. Znalazła pani tego skurwiela, prawda? I teraz już koniec z nim. Z tego, co czytałem w gazetach, wynikało, że w tej sprawie też pojawiło się kilka części ludzkiego ciała.

Czekała, aż zrobi tę samą uwagę, którą poczynił Tully, — że została ekspertem od zabójców ćwiartujących ciała swoich ofiar.

Wurth zerknął na nią, potem oznajmił:

— O ile o mnie chodzi, zrobiła nam pani wszystkim przysługę.

Poprawiła się na wygodnym dużym fotelu, podkulając pod siebie jedną nogę. Wyglądała przez okno, ale myślami wróciła do wczorajszej strzelaniny. Wyśledzili i znaleźli... nie, to nie tak. To ona wyśledziła i znalazła izbę tortur mordercy, czyli opuszczony magazyn na drugim brzegu Potomacu.

Przypomniał jej się przy okazji inny morderca, którego schwytała przed laty. Czasami niepokoiło ją to, że wszyscy zbrodniarze, z którymi miała do czynienia, zlewają jej się w jedną osobę. Fakt, że zastępca dyrektora Kunze strzelił i zabił — strzelił trzy razy — nic jej nie obchodził. Zgadzała się z Wurthem. To znaczy, że kolejny oprawca przestanie dręczyć niewinne ofiary. Kto się tym przejmuje, iż nie przewidziała, że on tam będzie?

Długo grzebała w jego psychice, żeby odgadnąć, gdzie się chowa, gdzie skrywa swoje małe, brudne, sekretne życie. Czy to nie powinno wystarczyć? Dlaczego Kunze spodziewał się, że będzie mu czytała w myślach? Czy nie zdaje sobie sprawy, co oznacza zaglądanie jeszcze głębiej? To mianowicie, że ona znajdzie się na krawędzi. A może zastępca dyrektora tego właśnie pragnie? Pchnąć ją i patrzeć, czy spada?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Plaża Pensacola

Liz Bailey wypiła do dna drugiego red bulla. Dwa razy sprawdziła sprzęt lotniczy, a potem go spakowała. Przejrzała już sprzęt medyczny, jedną rzecz po drugiej, chociaż minionego dnia z niego nie korzystali. Była znudzona, choć tak naprawdę czekanie z pełną świadomością, na co się czeka, jest jeszcze gorsze. Jak spokój przed burzą. Stan pogotowia, kiedy jest się skazanym na siedzenie na miejscu.

Rano, podczas odprawy, powiedziano im, żeby do końca tygodnia trwali w pogotowiu. Ze swojego stanowiska Liz widziała wody zatoki, wzburzone i uderzające o nadmorski wał. Zanim przyjechała, surferzy już korzystali z wysokiej fali. Nie opuszczą zatoki, dopóki odpowiednie władze nie każą im zejść na ląd i nie zamkną

plaży. Zaczną marudzić, a ich oczy będą błyszczały adrenaliną. Fale pojawiające się przed nadejściem huraganu są absolutnie wyjątkowe.

Niektóre hotele zaczęły zachęcać gości do wyjazdu, ale na plaży nadal przebywało mnóstwo turystów. Poza wysokimi falami nic nie wskazywało na zbliżający się sztorm, niebo pozostawało bezchmurne i błękitne, słońce przypiekało biały piasek. Ostatnie dni sierpnia, tuż przed końcem wakacji, na które znów trzeba poczekać cały rok. Dlaczego mieliby opuścić ten raj i wracać wcześniej do domu?

Pozostali członkowie załogi helikoptera znajdowali się w dalszej części plaży na małym lotnisku dla śmigłowców i skrupulatnie przeglądali maszynę przed lotem. Liz zazwyczaj lubiła być sama, lecz tego dnia w samotności tylko bardziej się denerwowała. Kazano im siedzieć i czekać. Przekazano jedynie, że zastępca dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i agent FBI są w drodze. Brzmiało to tak, jakby mieli przejąć sprawę. Liz uważała, że kolejne przesłuchanie to strata czasu. Jakie jeszcze informacje zdołają uzyskać od załogi helikoptera?

Przypomniała sobie, co jej ojciec mówił o znalezionych w zatoce częściach ludzkiego ciała, i poczuła się okropnie. Owszem, Tommy Ellis zachował się strasznie głupio, ale tak naprawdę oni wszyscy okazali się głupcami. Jasne, to Wilson polecił otworzyć lodówkę, ale Kesnick nie powinien był posuwać się ani o krok dalej, kiedy już uświadomił sobie, co jest w środku. To Kesnick wyjął te pakunki. Poza największym, tym, który, jak im się wydawało, zawierał pozbawiony rąk i nóg ludzki tors. Pakunki były ciasno owinięte folią, która przylegała do zawartości, więc widzieli, że poszczególne części ciała zostały równo odcięte, a nie oderwane czy poszarpane. Ten, kto to zrobił, doskonale wiedział, gdzie ciąć, dysponował przy tym odpowiednimi narzędziami.

Liz zastanowiła się, czy wczoraj Kesnick przyznał się władzom, jak dokładnie obmacywał pakunki. Ona nie pisnęła na ten temat ani słowa. Nie, nie kłamała. Choć usłyszała wiele pytań, nikt nie zadał tego jednego: „Czy ruszaliście zawartość paczek?” ani „Czy wiecie, co znaleźliście?”.

Przedstawicieli władz bardziej interesowało, gdzie trafili na tę lodówkę i czy po wylądowaniu z kimś o niej rozmawiali. Z kimkolwiek z zewnątrz. A przecież nawet później, kiedy czteroosobowa załoga poszła na piwo i hot dogi, nie poruszali tego tematu. Tak przynajmniej sądziła Liz. Kiedy Tommy Ellis wygadał się przed jej ojcem? Czy wspomniał o tym komuś jeszcze?

Podejrzewała, że zastępca dyrektora Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i agent FBI zadadzą im bardziej istotne pytania. Takie, przed którymi łatwo się nie ucieknie. Czy w sytuacji zbliżającego się huraganu mogą ich zawiesić w obowiązkach?

Dojrzała eleganckiego czarnego suva escalade z rejestracją z Luizjany, który zataczał koło na parkingu. Jednak samochód nie zaparkował, chociaż przed

budynkiem było mnóstwo wolnych miejsc, tylko ruszył dalej na Pensacola Beach Boulevard. Patrzyła za nim, aż skręcił do Hiltona.

A więc przyjechali.

Nerwy miała napięte i żałowała, że wypiła drugiego red bulla.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Scott Larsen nie zdjął garnituru, w którym wystąpił podczas porannej niedzielnej mszy w kościele First United Christ. Trish wiedziała, że zwykle po mszy podrzucał ją do domu i jechał do zakładu pogrzebowego, ale tego ranka bardzo denerwowała się huraganem.

— Musimy zacząć myśleć, co trzeba zrobić — męczyła męża całą drogę do domu. — Pewnie będą nam potrzebne deski czy sklejka, żeby zabić drzwi na patio.

— Huragan nie dotarł jeszcze nawet do zatoki — odparował Scott.

Był zniecierpliwiony całym tym marudzeniem z powodu czegoś, co może w ogóle nie pojawić się w ich mieście, poza tym, nie miał ochoty zostawiać Joego Blacka samego w pomieszczeniu do balsamowania zwłok. Facet nalegał, żeby Scott dał mu klucze i wyjawił kod do systemu alarmowego, bo chciał zabrać się do pracy. Poza przyjęciem przesyłki i tymczasowym pozwoleniem na to, by Joe Black przechował w jego chłodni kilka okazów do wyjazdu na jedną z konferencji dla lekarzy, to był ich pierwszy prawdziwy wspólny interes.

Po miesiącach wysłuchiwania dywagacji Joego Blacka który, prawdę mówiąc, więcej dawał do zrozumienia niż zdradzał faktów — na temat imponującej sieci, poważnych koneksji z lekarzami i producentami sprzętu medycznego, a także całej tej „wielkiej kasy", która tylko czeka, żeby ją wziąć, Scott skwapliwie skorzystał z okazji, kiedy w końcu postąpił krok w górę i został jednym z głównych graczy. Jak dotąd Black szczodrze płacił Scottowi za korzystanie z powierzchni magazynowej. To także on poradził, jak zdobyć kontrakt na pochówek ubogich i bezdomnych w hrabstwie. Mała wskazówka miała mu przynieść pięćset dolarów za przyjęcie jednego ciała. Joe Black obiecał zapłacić za nie drugie tyle. Scott nie musiał nawet ruszyć palcem.

To była sytuacja, w której korzystały obie strony. Scott nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Na dodatek trafiło mu się to we właściwym momencie. Trish już dawno przekroczyła budżet na nowy dom, który właśnie budowali. Zataił przed nią, że z tego powodu nie ubezpieczył go na wypadek huraganu. Jak miał to zrobić, skoro wciąż płacili ubezpieczenie za wynajmowane mieszkanie oraz za zakład pogrzebowy? Teraz było już za późno. Nie pozwolą mu opłacić ubezpieczenia po pierwszym czerwca, kiedy sezon huraganów już się zaczął, więc niech ten cały Issac

lepiej zmieni trasę i ominie ich miejscowość. Potem Scott przypomniał sobie, że huragan jeszcze nie dotarł do Zatoki Meksykańskiej.

Bywały takie dni, kiedy czuł się na Florydzie jak przesiedleniec. Właśnie w minionym tygodniu podczas jednej z organizowanych przez niego ceremonii pogrzebowych ktoś nazwał go Jankesem i żartobliwie dodał: „ale może nie będzie pan cholernym Jankesem".

— Co to znaczy? — chciał wiedzieć Scott.

Takim, który tu zostanie na stałe.

W takie dni zastanawiał się, dlaczego nie upierał się przy tym, by zamieszkali w Michigan. Skusiła go ta szmaragdowozielona woda i piaszczyste plaże. I Trish w bikini, chociaż po ślubie rzadko je wkładała, mimo że mieszkali tuż nad zatoką.

Scott objechał parterowy zakład pogrzebowy, który bardzo przypominał duży dom w stylu ranczo. Ilekroć wjeżdżał na parking, pęczniał z dumy. To wszystko należało do niego... do niego i do banku: trzy pokoje, gdzie wystawiał swój towar, kaplica, poczekalnia dla żałobników i biuro w samym narożniku. Pomieszczenie, gdzie balsamowano zwłoki, a także magazyn chłodnia mieściły się w osobnym pawilonie, połączonym z głównym budynkiem zakładu pogrzebowego klimatyzowanym przejściem.

To Scott dobudował liczące około ośmiu metrów przejście, szaleństwem było bowiem pokonywać nawet tak krótką odległość w garniturze i pod krawatem i zalać się potem w upalny dzień albo zmoknąć podczas ulewy. Scott uważał, że zawsze powinien wyglądać świeżo i schludnie. Zresztą również wszystkie pomieszczenia zakładu utrzymywane były w nienagannym stanie.

Pokoje, gdzie można było obejrzeć towar, a także poczekalnię codziennie odkurzano, do wazonów wstawiano świeże kwiaty i przesuwano na miejsce meble, by nigdy nie stały na drodze klientom ani trumnom. Nawet pomieszczenie do balsamowania zwłok i chłodnia były nieskazitelnie czyste. Stoły i półki z nierdzewnej stali nieodmiennie lśniły, a pokryte białym linoleum podłogi i porcelanowe umywalki błyszczały jak lustro. Inspektorzy stanowi zawsze chwalili Scotta i powtarzali, że życzyliby sobie, by wszystkie wizytowane przez nich miejsca prezentowały się tak perfekcyjnie.

Przystanął przed tylnym wejściem i rozejrzał się, szukając obcego samochodu. Joe Black na każde spotkanie przyjeżdżał innym autem. Scott zgadywał, że je wypożyczał albo wydzierżawiał. Minionego wieczoru Joe przyszedł piechotą plażą, więc Scott nie widział, czym przyjechał. Popatrzył wokół bacznie, jednak nie dostrzegł w pobliżu żadnego samochodu. Czyżby Joe już skończył? A może jeszcze nie zaczął?

Wyłączył system alarmowy i włożył klucz do zamka, kiedy usłyszał jakiś stukot. Wyjrzał za róg budynku. Zardzewiały sklepowy wózek stał wciśnięty między magnolię a pojemnik na śmieci.

Cholera jasna! Nie znosił, jak obcy kręcili się po jego posesji i podrzucali śmieci. Opróżnienie tego cholernego pojemnika kosztuje.

Pokręcił głową, wciąż przeklinając pod nosem, i wszedł do środka. Natychmiast znowu włączył alarm.

Scott rozumiał, że istniały określone powody, dla których został właścicielem zakładu pogrzebowego. Tak naprawdę nie lubił pracować z ludźmi. Oczywiście musiał doradzać rodzinom zmarłych, ale łatwiej radził sobie z ludźmi w chwilach, gdy byli najbardziej bezradni. Automatycznie postrzegali go jako eksperta i obdarzali szacunkiem, który był niejako wpisany w jego pracę.

Prawdę mówiąc, nie przeszkadzało mu to, że ma do czynienia ze zmarłymi. Trish uważała, że większość jego zajęć jest przerażająca i obrzydliwa: makijaż, czesanie i ubieranie zwłok. Czasami musiał podmalować skórę albo zszyć cieknące otwory. Wkładał plastikowe soczewki pod powieki, żeby oczy nie otworzyły się w samym środku ceremonii.

Nawet krew nie robiła na nim wielkiego wrażenia. Wypompowywało się ją i wypełniało żyły płynem do balsamowania. Och, jasne, zdarzało się, że krew gdzieś przeciekała, ale nigdy nie tryskała jak u żywego człowieka, którego serce jeszcze bije. A jednak, mimo wszystkich tych nieprzyjemnych obowiązków, które należały do Scotta, nic nie przygotowało go na to, co ujrzał.

Cofnął się i został w progu, opierając się o ścianę, żeby nie stracić równowagi.

W przejściach między stolami z nierdzewnej stali na białym linoleum rozciągało się różowe bajoro. Wejście blokowało tekturowe pudło, takie, w jakim Scott przewoził ciała do krematorium, tyle że w tym pudle znajdowało się kłębowisko ubrań. Na jednym ze stołów leżał tors bez głowy i kończyn. Na drugim leżały zwłoki. Na pozór wyglądały bardzo normalnie, aż do chwili, gdy Scott zdał sobie sprawę, że na wysokości kostek, kolan i pachwin zostały nacięte.

Joe Black stal przy blacie. Kiedy się odwrócił, Scott zobaczył, że przód jego laboratoryjnego fartucha, lateksowe rękawiczki i buty były całe we krwi.

— Cześć, Scott, w samą porę. Przyda mi się pomoc.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Maggie patrzyła na helikopter i pomarańczowy kombinezon lotniczy. Najwyraźniej nie przemyślała sprawy, prosząc o możliwość obejrzenia miejsca zbrodni. Na Boga, to przecież Straż Wybrzeża. Czy oni nie pływają łodziami?

Helikopter! Nogi miała jak z waty. Ledwie znosiła uwięzienie w liniowym samolocie. Jak, do diabła, poradzi sobie w helikopterze?

— Czy nie byłoby łatwiej zobaczyć to z łodzi? — spytała, nadal nie odbierając od młodej ratowniczki kombinezonu.

Miała nadzieję, że nie robi z siebie idiotki. Na samą myśl, że ma wsiąść na pokład śmigłowca, zrobiło jej się niedobrze. Przesunęła okulary przeciwsłoneczne na czoło i skrzyżowała ramiona na piersi, udając, że nie ma dla niej żadnego znaczenia, jaki środek lokomocji wybiorą. Nie chciała, żeby załoga helikoptera interpretowała jej wahanie jako strach. To byłby fatalny początek śledztwa, który z pewnością podważyłby jej wiarygodność, nie wspominając już o autorytecie. Odmowa czy choćby wahanie byłoby błędem, zwłaszcza w tej grupie. Wszyscy byli młodzi (z wyjątkiem Pete'a Kesnicka), szczupli i atletycznie zbudowani, nawet ta ratowniczka Elizabeth Bailey.

Wcześniej Maggie obserwowała, jak Bailey zamiast lotniczego kombinezonu wkłada opięty jednoczęściowy kostium nurka na białe szorty i biały top, który podkreślał długie opalone ręce i szerokie ramiona, ale nie ukrywał też cech kobiecych — pełnych piersi i wąskiej talii. Krótkie, spalone słońcem włosy łatwo było wcisnąć pod obcisły kaptur, zwisający teraz na plecach, bo Bailey na razie miała włożyć kask lotniczy, który trzymała pod pachą.

— To my znaleźliśmy tę lodówkę — rzekł komandor porucznik pilot Wilson. — Jesteśmy załogą lotniczą. — Powiedział to powoli, jakby wyjaśniał coś dziecku, i Maggie uświadomiła sobie, że nie ma wyboru. — Czy to jakiś problem?

Kiedy ich sobie przedstawiano, dostrzegła u Wilsona pewne zniecierpliwienie, a ponieważ nigdy nie przestawała być psychologiem, stwierdziła, że nie było ono skutkiem niedogodnej dla niego sytuacji, a raczej tego, iż jego zdaniem agentka specjalna FBI prosiła o coś, co nie należy do jego obowiązków. Z początku pomyślała też, że jego reakcja mogła wynikać z odruchowych uprzedzeń do Wurtha jako czarnoskórego przedstawiciela władzy, i do niej, ponieważ była kobietą. Wurth opuścił ich wkrótce po powitaniach, żeby zająć się swoimi zadaniami związanymi z nadchodzącym huraganem, a ponieważ z jego odejściem Wilson nie zmienił nastawienia, Maggie zrozumiała, że to ona stanowi dla niego największy problem. Głupio byłoby więc dać podstawę jego przesądom.

— Nie — odparła. — Po prostu nie chciałabym odciągać pana od ważniejszych spraw.

Usatysfakcjonowany Wilson skinął głową, natomiast pozostali dwaj mężczyźni, Kesnick i Ellis, wrócili do swoich zajęć. Jednak Bailey, podając znów Maggie kombinezon, popatrzyła jej w oczy. Podczas tej krótkiej wymiany spojrzeń dojrzała strach w oczach agentki specjalnej FBI.

Czy ratowniczka coś powie? Czy wydają albo arogancko pokaże, gdzie jest jej miejsce?

Bailey nie wypuściła z rąk kombinezonu odrobinę dłużej, niż to było konieczne. Stojąc plecami do mężczyzn, pozwoliła Maggie zobaczyć, jak chowa coś do jego kieszeni.

— Dzisiaj będzie trochę rzucać — powiedziała. — Niech pani dobrze zapnie pasy. — Poszła spakować resztę sprzętu, w tym małą apteczkę z podstawowym wyposażeniem.

Wtedy Maggie przypomniała sobie, że ratownicy wodni są także wykwalifikowanymi ratownikami medycznymi.

Zdjęła buty i zaczęła wkładać kombinezon. Załoga helikoptera przestała się nią interesować, zaabsorbowana przygotowaniami. Wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła dwie zafoliowane różowo-białe kapsułki.

Dramamina? Benadryl? To na nią nie działało.

Nie cierpiała bowiem na chorobę lokomocyjną. Chodziło o to, że w powietrzu nie miała nad niczym kontroli. Te kapsułki to był miły gest. Przyjrzawszy się bliżej, Maggie zauważyła, że są sprzedawane wyłącznie na receptę. Na foliowym opakowaniu przeczytała łacińską nazwę: zingiber officinale.

Podniosła wzrok na Bailey, ale właśnie wchodziła na pokład helikoptera. Kiedy Maggie patrzyła, jak pozostali wkładają kaski i rękawiczki, żołądek podszedł jej do gardła. Lada chwila serce zacznie walić i zleją ją zimne poty.

Co do diabła! — pomyślała. Może te kapsułki to jakaś rewelacyjna nowość, którą podają cudem uratowanym ludziom. A może to tylko żart, może chcą splatać figla damulce z FBI, żeby poczuła się jeszcze gorzej. A jednak Maggie wiedziała, że mimo wszystko zaryzykuje.

Rozdarła opakowanie, włożyła do ust kapsułki i przełknęła je bez popijania. Potem wcisnęła na głowę kask i ruszyła do helikoptera, starając się nie zwracać uwagi na to, że nogi jej się trzęsą.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Scott bał się, że zaraz zwymiotuje. Nigdy nie widział pokawałkowanego ludzkiego ciała. W każdym razie nie w ten sposób. Patrzył na odcięte i ułożone części ciała, czekające, aż ktoś je opłucze i zapakuje. Jego twarz mówiła sama za siebie.

— A myślałeś, że jak to się robi, co? — spytał Joe Black, przesuwając ochronne okulary na zmierzwione włosy. — Niestety, w rozczłonkowywaniu ludzkich zwłok nie ma nic dostojnego. To brudna robota.

— Hm... raczej... nie tego się spodziewałem. — Nie był w stanie się ruszyć. Rozglądał się nieprzytomnie. Nie chciał przestępować leżącej tuż przed nim kartonowej trumny. Nie miał ochoty wchodzić do tego pomieszczenia.

— Przywykniesz — zapewnił go Joe, sięgając po coś, co wyglądało jak zwyczajny kuchenny nóż do krojenia mięsa. Zerknął na Scotta i przyłapał go na tym, jak się krzywi. Odłożył nóż. — Z początku to się wydaje trochę dziwne. — Nie potraktował go protekcjonalnie, mówił jak nauczyciel do ucznia. — Ale jak już zaczniesz, wszystkiego się nauczysz metodą prób i błędów. Prawdę mówiąc, to nie różni się tak bardzo od krojenia indyka na Święto Dziękczynienia. — Uśmiechnął się do Scotta.

Potem odwrócił się do blatu i wziął do ręki jedną z ludzkich kończyn. Scott nie widział dokładnie, co to było. Nie miał ochoty się przyglądać, a równocześnie dłonie Joego, które pakowały coś w folię, owijały powoli, niemal z szacunkiem, fascynowały go i hipnotyzowały.

— Staram się niczego nie zmarnować — podjął Joe, wciąż stojąc plecami do Scotta, i zabrał się do kolejnego pakunku. — Przynajmniej tyle możemy zrobić, kiedy ludzie tak szczodrze ofiarowują nam swoje ciała, prawda? Każdego tygodnia chirurdzy poznają innowacyjne metody. Nigdy nie daliby rady tego zrobić, gdybym im nie dostarczał modeli, na których mogą się szkolić.

Doceniał, że Joe nie zwrócił szczególnej uwagi na jego reakcję. Pozostał spokojny i skupiony, podczas gdy Scott zachowywał się jak kompletnie stuknięty. Świetnie wiedział, na co się godzi, przecież wiele czytał na ten temat. Nie miał złudzeń co do zawartości paczek, które Joe Black przesłał mu wcześniej z prośbą o przechowanie. Chociaż teraz musiał przyznać, że przyjmowanie przesyłek od UPS-u albo FedEksu i przenoszenie ich do chłodni czy do jednej z lodówek było o wiele prostsze.

Przypuszczał, a właściwie był pewien, że pakunki zawierają części ludzkiego ciała, które wykorzystuje się do celów naukowych, do badań i na konferencjach. Joe przechwalał się, że konferencje chirurgiczne to jego specjalność. Na papierze i w głowie Scott Larsen usprawiedliwiał swój dodatkowy dochód tym, że wykonuje szlachetną usługę. Musi więc pozbyć się tej nadmiernej wrażliwości, tak bardzo kłopotliwej i zupełnie zbędnej.

Podobnie jak balsamowanie zwłok i kremacja, to także jego praca.

— Masz naprawdę niezłe wyposażenie — powiedział Joe, rozglądając się, po czym zajął się torsem pozostawionym na innym stole. — I nie przejmuj się. Wszystko posprzątam. Będzie lśniło jak przedtem.

— Okej, tym się nie martwię. — Nie chciał, by pomyślał, że ma z tym jakiś problem. Próbując przywrócić koleżeńskie stosunki, zainteresował się tym, co robi Joe. — Rozumiem, że masz zamówienie na wszystkie te... części?

— Mam tyle zamówień, że nie jestem im w stanie sprostać. — Joe wziął słoiczek z maścią VapoRub i zaczął nią smarować tors. — Trudno nadążyć.

— Po co to robisz?

— Taka zawodowa sztuczka. Wielu producentów sprzętu medycznego wykorzystuje torsy do zademonstrowania nowych urządzeń. Chirurdzy pracują na nich wiele godzin, więc nie muszę ci mówić. Dwie godziny i zaczyna śmierdzieć.

— No jasne.

— Przed zamrożeniem smaruję skórę maścią VapoRub. Potem, jak się rozmraża, pachnie mentolem. To o wiele lepsze niż normalny zapach ludzkich zwłok.

— No, no. Bardzo... sprytne.

— Wy, przedsiębiorcy pogrzebowi, macie własne triki, prawda? Jesteście jak czarodzieje, którzy sprawiają, że zmarły dobrze wygląda, czasami nawet lepiej niż za życia.

— Rodziny mają spore oczekiwania.

Zanim Scott zdał sobie z tego sprawę, zaczął opowiadać o własnych technikach postępowania ze zmarłymi. Przyznał się nawet Joemu, że zdarza mu się oszukiwać i nie wkładać umarlakowi skarpetek i butów, bo nie znosi zajmować się stopami. Sam nie wiedział, kiedy przestąpił kartonową trumnę i wszedł do pomieszczenia. Po chwili włożył fartuch, mył i pakował części ludzkiego ciała i rzucał wciąż nowe anegdoty. Nawet Joe kilka razy się zaśmiał. Na koniec posprzątali i umówili się na drinka na plaży wieczorem.

Scott tak się rozkręcił i tak dobrze bawił, że dopiero po wyjściu Joego uprzytomnił sobie, że go nie zapytał, gdzie zaparkował. Nie miał też odwagi pytać go o drugie ciało.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Liz przyglądała się, jak agentka ściska skórzane pasy dłońmi w rękawiczkach. Nieźle udawała pewność siebie, rozmawiała tak, jakby ten lot jej nic nie kosztował. Jakby była przyzwyczajona do wyrywkowych rozmów i przekrzykiwania się w helikopterze. Zadawała nawet pytania o rybacką lodówkę. Mimo to nie zdołała oszukać Liz. Z jakiegoś powodu Maggie O’Dell wpadła w panikę na plaży, gdy tylko sobie uświadomiła, że musi wejść na pokład.

Jak dotąd wydawało się, że agentka specjalna FBI jakoś sobie radzi, ale kiedy śmigłowiec zawisł nad miejscem, gdzie znaleźli lodówkę, dostali wezwanie. Jakaś łódź wywróciła się dnem do góry. Rekreacyjna motorowa łódź z kabiną. Co najmniej

jedna osoba znalazła się w wodzie. Według wstępnych informacji, które otrzymali przez radio, byli też ranni. Kontakt z łodzią się urwał.

— Przepraszam, agentko O'Dell! — krzyknął Wilson do mikrofonu w swoim kasku. — Nie mamy czasu, żeby panią wysadzić.

Wtedy Liz po raz pierwszy zauważyła jej pobielałe knykcie. Zastanawiała się, czy agentka FBI to wytrzyma.

Nie mogła jej spytać, czy połknęła kapsułki. To nie było cudowne lekarstwo, ale miała nadzieję, że O'Dell jej zaufała, bo w innym wypadku lada chwila dostanie mdłości. Wkrótce po tym, jak wystartowali, nad zatoką zaczęło silniej wiać. Z dala od brzegu morze było wzburzone, a fale wysokie. Teraz również Liz podskoczyła adrenalina.

Szybko znaleźli łódź. Liz nie zdejmowała kasku, pozostając w kontakcie z kolegami.

Łódź motorowa przechyliła się, ale jeszcze się nie wywróciła. Uderzające w nią fale połamały część kokpitu i reling. Ktoś kołysał się na falach, widać było tylko głowę i kamizelkę ratunkową. Rozbitek jedną ręką kurczowo trzymał się kokpitu, który już prawie oderwał się od łodzi. Pies, który według Liz wyglądał na czarnego labradora, krążył po pokładzie, patrząc na swojego właściciela i starając się utrzymać równowagę.

— Nie ma łączności radiowej? — spytał Kesnick.

— Bez znaczenia. On i tak jest za daleko — odparł Ellis.

— Tylko jeden człowiek? — spytał Wilson.

— Nie możemy opuścić kosza na wodę — stwierdził Kesnick. — Prąd zepchnie ich pod łódź.

— To co, do diabła, spuścimy? — spytał Wilson.

Liz zerknęła na O'Dell, która jej się przyglądała. Czy agentka zastanawiała się, dlaczego mężczyźni nie pytają ratowniczki o zdanie?

W milczeniu planowała własną strategię. Trzeba się trzymać z dala od relingu. Nie można kłaść żadnego dodatkowego ciężaru na dziób, bo wtedy łódź się wywróci. W tej chwili poruszała się z prądem, ale gdy tylko Wilson zmniejszy wysokość, ruch wody spowodowany przez śmigła ją rozhuśta. Wstępny kontakt radiowy mówił coś o rannych. Jeśli opuszczą kosz na przechyloną łódź, Liz będzie musiała znaleźć sposób, żeby wciągnąć mężczyznę na pokład, a potem do kosza.

— Opuszczenie cię wprost na pokład jest ryzykowne — odezwał się Kesnick. — Nie naciągaj liny, nie rób nic na siłę, pozwól, że ja cię opuszczę.

— Tak. — Wreszcie dotarło do Liz, że mówił do niej. Podniosła na niego wzrok.

— Pozwól, że ja zajmę się też wciąganiem, Bailey. Może trzeba będzie użyć quick stropa, żeby znalazł się w koszu. Załóż mu to pod ręce, a ja go dźwignę,

podczas gdy ty pokierujesz nim do kosza. Okej? Nie chcę stracić was obojga pod tą cholerną łodzią. Zrozumiałaś?

Kiwnęła głową. Uniosła kciuki. Westchnęła. Już zaczęła zdejmować kask lotniczy, kiedy usłyszała głos Wilsona:

— Mamy jedną ofiarę, Bailey. Jeżeli w wodzie nie znajdziemy drugiej osoby, kosz zjeżdża tylko raz. Nie spuszczamy go po psa, rozumiesz? To nie jest Nowy Orlean po Katrinie. Ten pies zostaje. Musi zaczekać na kuter.

Bez słowa zdjęła kask. Kiedy upychała włosy pod kaptur kombinezonu nurka i zapinała lekki kask, unikała wzroku O'Dell.

Poprawiła uprząż ratowniczą i raz jeszcze pas. Czuła, że adrenalina cały czas jej rośnie. Powinna choć trochę się wyciszyć, na tyle, by stała się jej sprzymierzeńcem, a nie wrogiem. Mogą sobie mówić, co chcą. Analizować i dyskutować wszystkie szczegóły, ale kiedy Liz zawiśnie na linie, to ona będzie balansować na skraju tej przechylonej łodzi. To ona będzie odpowiedzialna za przygotowanie tego człowieka w wodzie do podniesienia na pokład śmigłowca. I to ją obarczą odpowiedzialnością za ewentualne niepowodzenie.

Przykucnęła, szykując się do skoku. Kesnick czekał na jej sygnał, a potem przytrzymał jej spojrzenie nieco dłużej niż zwykle. „Pozwól, że ci w tym pomogę" — mówiły jego oczy. Może czytał jej w myślach.

Kiwnęła głową, a on dotknął jej klatki piersiowej. Uniosła kciuki i znalazła się na zewnątrz. Zjechała zaledwie około dwóch metrów i zatrzymała się, czekając, aż lina się zaciśnie, tymczasem przechwycił ją wiatr. Lina zrobiła pętlę, zakręciła się i szarpnęła Liz, która miała wrażenie, jakby kurczowo trzymała się końcówki bata. Wir powietrza spowodowany ruchem śmigieł okręcił ją, pchnął w jedną stronę, potem w drugą. Kolejne szarpnięcie boleśnie nadwerężyło kręgosłup. Wtedy właśnie zaczęła kręcić się wokół własnej osi, jakby została wciągnięta do tunelu aerodynamicznego.

Trzymając się liny z całej siły, widziała jak przez mgłę. Zamknęła oczy i zaczepiła o linę stopami, krzyżując je w kostkach. Przycisnęła brodę do klatki piersiowej, żeby lina nie okręciła się wokół szyi. Starała się trzymać sztywno i prosto.

Robiła wszystko, czego ją nauczono. Mimo to coraz szybciej wirowała.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Maggie patrzyła, jak ratowniczka wyskakuje z helikoptera. Po paru sekundach zobaczyła Kesnicka, mechanika pokładowego, który, potykając się, sunie głową naprzód w stronę otwartych drzwi, jakby go coś ciągnęło za Bailey.

Maggie zareagowała instynktownie. Szarpnęła pasy bezpieczeństwa, bo dłońmi w rękawiczkach zbyt długo by je odpinała. Starała się uchwycić pas Kesnicka przymocowany do podłogi pokładu. Nawet nie zauważyła, że lina z wciągarki zahaczyła o jego kask. Trzymając się napiętej liny mocującej pas bezpieczeństwa Kesnicka, usiłowała podnieść się na nogi.

Usłyszała, jak Wilson i Ellis próbują się zorientować, co się, do diabła, dzieje. Nie widziała ich i nie marnowała czasu na to, by czekać, aż ich zobaczy. Złapała pas Kesnicka i ciągnęła co sił. To wystarczyło, żeby nie wypadł z helikoptera, jednak lina, która zahaczyła o kask, wciąż uderzała go w głowę, popychając w stronę otwartych drzwi.

Kesnick krzyknął z bólu. Przez krótką przerażającą chwilę Maggie przestraszyła się, że złamał sobie kręgosłup szyjny. Powiodła wzrokiem wzdłuż liny od kasku Kesnicka do haka nad otwartymi drzwiami. Nie mogła jej dosięgnąć, ale dosięgła kasku. Uchwyciła go obiema rękami, mocując się z paskiem pod brodą i starając się sobie przypomnieć, jak go się odpina.

Wilson i Ellis krzyczeli na siebie nawzajem, na Kesnicka, na Maggie. Potem helikopter przesunął się i zakołysał, aż Kesnickiem gwałtownie rzuciło do tyłu i wylądował głową na brzuchu Maggie. Głową bez kasku, dzięki Bogu. Maggie zobaczyła jeszcze, jak lina porywa kask Kesnicka na zewnątrz.

Złapała znowu skórzany pas zamocowany na ścianie helikoptera w chwili, gdy po raz kolejny się zakołysał, a jej stopy zaczęły sunąć w stronę drzwi. Wilson wyrzucił z siebie stek przekleństw, zanim ustabilizował maszynę.

O dziwo Kesnick był już na kolanach, podnosił się na nogi.

Ellis krzyknął:

— Nic ci nie jest?

Ale bez kasku Kesnick nie słyszał go, nie mógł też odpowiedzieć. Pośpieszył do otwartych drzwi, ściskając pas bezpieczeństwa wciąż umocowany liną do podłogi. Wychylił się, szukając wzrokiem Bailey. Maggie zupełnie zapomniała o ratowniczce. Czy wciąż tam była? Kesnick sięgnął po linę, szarpnął nią i ciągnął, aż pętla, która powstała na haku, rozwiązała się.

— Co z ratowniczką? — krzyknął Ellis do pleców Kesnicka.

Maggie słyszała wyjący wiatr, który wpadał na pokład. Uderzenia śmigieł i uderzenia jej serca zagłuszały słowa. Wiedziała, że Kesnick nie usłyszy kolegów, nie mając na głowie kasku.

Trzymając się mocno skórzanego pasa, uniosła się i wstała. Nie wypuszczając pasa, podniosła kask Kesnicka z miejsca, gdzie go zostawiła, i postukała nim mechanika w ramię. Obejrzał się zaskoczony, po czym kiwnął głową, włożył kask i poprawił mikrofon.

— Złapał ją wiatr boczny! — krzyknął. — Wiruje.

— Skurczysyn — odparł Wilson.

— Wciągnę ratowniczkę z powrotem — rzekł Kesnick, stając w rozkroku.

Po kilku sekundach Bailey była na pokładzie.

Maggie podała jej swój kask, potem usiadła, opierając się o ścianę. Ściskając skórzany pas, zauważyła, że trzęsą jej się ręce. Nie słyszała rozmowy. A Kesnick i Bailey wyglądali zdumiewająco spokojnie.

Wydawało się, że nie minęły dwie minuty, kiedy Liz oddała Maggie jej kask i włożyła swój, lżejszy. Maggie spojrzała w oczy ratowniczki. Nie dostrzegła w nich śladu wahania. Ani strachu.

Bailey ponownie zbliżyła się do otwartych drzwi, zaczekała, aż Kesnick postuka ją w obojczyk, uniosła kciuki i ku niedowierzaniu Maggie po raz kolejny wyskoczyła z helikoptera.

ROZDZIAŁ DZIEWIETNASTY

Platt patrzył na twarz zmarłego mężczyzny. Z karty wynikało, że miał dziewiętnaście lat, ale wyglądał młodziej. Pozbawione wszystkiego, w tym życia, sine ciało zdawało się takie małe, a noga z protezą jeszcze podkreślała jego bezradność. Platta dręczyła myśl, że ten dzielny chłopak przeżył Afganistan i rany wojenne, żeby po powrocie do domu umrzeć na tajemniczą chorobę.

Ubrany w fartuch stał obok stołu z nierdzewnej stali, na którym spoczywały przygotowane do autopsji zwłoki, i czytał kartę chorego, kiedy zdał sobie sprawę, że patolog czeka na niego. Doktor Anslo uniósł ledwie widoczne brwi, których obecności można się było domyślić tylko dzięki temu, że stanowiły jedyny wyraz jego emocji. Patolog miał ogoloną głowę i gładko ogoloną twarz. Wyciągnął przed siebie ręce w lateksowych rękawiczkach, pokazując, że jest gotowy. Jest gotowy i czeka na swojego gościa, narzuconego mu gościa.

Platt szybko znalazł to, czego szukał. Chłopak nazywał się Ronald (Ronnie) William Towers. To drobiazg, ale chciał wiedzieć, jak zwracać się do tego żołnierza, choćby w myślach. Tyle przynajmniej mógł zrobić. Ronnie Towers zasługiwał na tę odrobinę szacunku.

— Jestem gotowy — rzekł Platt.

Ta część pracy zawsze stanowiła wyzwanie dla jego wrażliwości. I nie pomagało mu to, że dopiero co wrócił z Afganistanu, gdzie był świadkiem masakry, z jaką tacy młodzi mężczyźni jak Ronnie mieli na co dzień do czynienia. Jego psychika cierpiała przez to równie mocno jak z powodu fizycznego wyczerpania. Ilekroć Platt wyjeżdżał do Afganistanu czy Iraku, przypominał sobie, dlaczego,

będąc w końcu lekarzem wojskowym, wybrał wypełnione probówkami i szklanymi płytkami laboratorium zamiast terenu działań wojennych.

— Potrzebuję probówki z jego krwią. — Gdy Anslo sztywno kiwnął głową, jakby Platt tracił tylko czas, mówiąc mu coś tak oczywistego, dodał: — I próbki tkanki.

— Dobrze — rzekł Anslo, przesadnie zniecierpliwionym ruchem przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę i unosząc ręce w oczekiwaniu na dalsze instrukcje.

— Mógłby pan zacząć od miejsca cięcia operacyjnego? — poprosił Platt.

Ciężkie westchnienie patologa dokładnie powiedziało Plattowi, co ten myśli o jego prośbie. Mimo to nie odmówił.

— Jeśli powie mi pan, czego pan szuka, może będę w stanie pomóc.

— Nie wiem.

— Nie wie pan?

— Nie. — Platt unikał jego wzroku. Od przyjazdu do Stanów przejrzał tyle kart z historią choroby żołnierzy, ile tylko było możliwe, szukając jakiegoś wspólnego mianownika. Wszyscy zarażeni nieznaną chorobą doznali otwartego złamania kości, z głębokimi ranami, które przez pewien czas pozostawały nieopatrzone, wystawione na działanie powietrza.

Doktor Anslo zdjął protezę Ronniego, odłożył ją na bok i zabrał się do pracy w miejscu cięcia, tuż pod kolanem.

— Wszystko wygląda zupełnie normalnie — powiedział, nie podnosząc wzroku. — Jeśli szuka pan jakiejś infekcji, obawiam się, że tutaj pan jej nie znajdzie.

Początkowo Platt myślał, że może to być jakaś bakteria unosząca się w powietrzu. W Iraku zetknął się z infekcją kości zwaną zapaleniem szpiku, dominującą na Bliskim Wschodzie. Często dochodziło do niej przy poważnych otwartych złamaniach. Ale zapalenie szpiku nie było śmiertelnie groźne. Czasami, chociaż rzadko, kosztowało żołnierza utratę kończyny. Czasami prowadziło do rozwoju *Staphylococcus aureus,* popularnie znanego jako gronkowiec złocisty, jadowitej bakterii odpornej na metycylinę.

Kapitan Ganz powiedział Plattowi, że istnieje spoiwo, rodzaj cementu do sklejania złamanych kości, napompowane antybiotykami. Pozwala podać antybiotyki bezpośrednio w miejsce urazu, tym samym redukując ryzyko infekcji. Co więcej, kapitan Ganz robił już testy na obecność gronkowca złocistego. Wynik był negatywny. Platt powinien wiedzieć, że byłaby to zbyt prosta odpowiedź.

Jeśli więc nie gronkowiec złocisty, zastanawiał się, to co? Czy może to być inny śmiertelny patogen, przypominający gronkowca złocistego, nie tylko odporny na antybiotyki, ale taki, który jest w stanie przetrwać w komórkach w uśpieniu, czekając, aż coś pobudzi go do działania? Czy infekcja kości w rodzaju zapalenia szpiku może zmutować się w coś śmiertelnego? Biorąc pod uwagę wszystkie czynniki, a przede wszystkim otwarte złamanie i głębokie rany, niczego nie dało się

wykluczyć. Platt już to wiedział, ale nigdy nie oglądał czegoś takiego jak teraz. Tak ukrytego, niedającego wstępnych objawów.

Doktor Anslo znowu na niego patrzył. Uniesione brwi świadczyły o pełnym niezadowolenia oczekiwaniu na dalsze polecenia.

— Proszę robić swoje — powiedział Platt. — Tak jak zwykle pan to robi. — Ale zanim doktor Anslo zaczął robić nacięcie w kształcie litery Y wzdłuż klatki piersiowej Ronniego Towera, Platt spytał: — Pozwoli pan, że wezmę to na dwadzieścia cztery godziny? — Wskazał na protezę Ronniego.

— Chce pan wziąć jego nogę? — Tym razem Anslo nie musiał robić żadnych min, żeby okazać zniesmaczenie. Było je słychać w jego głosie.

Jednak Platt nie zamierzał się z niczego tłumaczyć, tylko powiedział:

— Tak. Pozwoli pan?

— Polecę asystentowi, żeby pomógł panu wypełnić odpowiedni formularz. Mogę kontynuować? — Wskazał brodą na swoje ręce nad ciałem chłopca.

Platt kiwnął głową.

Nacinanie żywej ludzkiej tkanki często ratowało życie. Cięcie martwej tkanki wydawało się... takim marnotrawstwem. Cieszył się, że Anslo stanął do niego plecami i nie widział, jak się krzywi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Liz znowu poczuła skok adrenaliny. Wiatr nie przestawał jej smagać. Kesnick musiał wykonać trzy próby, zanim ją opuścił na taką wysokość, że sięgnęła łodzi. Za pierwszym razem wiatr mocno pchnął ją nad łodzią. Za drugim razem palcami stóp musnęła reling, ale fale uderzyły w przechyloną łódź i zepchnęły ją dalej. Cały czas nie spuszczała z oczu psa, upewniając się, czy zwierzę jej nie zaatakuje, broniąc swojego pana. Ale pies tylko się przyglądał.

Za trzecim razem fala uniosła łódź na wysokość Liz, a ona tak się przekręcała i wyciągała stopy, aż dotknęła pokładu. Modliła się w duchu, żeby płetwy o coś nie zahaczyły, kiedy poczuła pod piętami śliski reling. W tej samej chwili Kesnick poluzował linę. Liz zsunęła się na przechylony pokład.

Pies ani drgnął, pilnował swojego pana, wydawało się wręcz, że wskazuje na niego nosem. Wodził tylko spojrzeniem za Liz. Mimo wycia wiatru i huku fal miała wrażenie, że słyszy psi skowyt. Wtem zauważyła w kabinie drugiego psa. Z helikoptera był niewidoczny, dach go zasłaniał. Był większy niż ten pierwszy. Krążył w tę i z powrotem zgodnie z naturalnym ruchem uszkodzonej łodzi, ale jego waga nie powodowała większego przechyłu.

Liz powstrzymała się przed spojrzeniem w stronę helikoptera. Nie było sensu zbyt wcześnie powiadamiać załogi o nowym kłopocie.

Kesnick popuścił linę, żeby mogła swobodniej manewrować. Liz wiedziała, że dodatkowy ciężar może wywrócić łódź do góry dnem. Powoli czołgała się w stronę mężczyzny. Nie poruszał się. Dopiero kiedy znalazła się jakieś półtora metra od niego, zobaczyła, że na nią patrzy. To dobry znak. Nie był w tak wielkim szoku, jak można by się spodziewać.

Trzymał się relingu i tylko dzięki temu fale nie odepchnęły go od łodzi, ale jego ręka leżała pod dziwnym kątem. Nie, on nie trzymał się relingu. Zaczepił o niego, a ręka była prawdopodobnie złamana. Musiało się to stać, kiedy go wyrzuciło za burtę. W chwilach, gdy fale nie uderzały jego nogami o łódź, do połowy znajdował się nad powierzchnią wody.

Bezpiecznie wyciągnęła rękę, nie przechylając mocniej pokładu, i chwyciła za kamizelkę ratunkową rozbitka, który szeroko otworzył oczy. Ten lekki ruch przypomniał mu o bólu. Liz zrozumiała, że nie będzie w stanie użyć pasa ratowniczego. Musi poprosić o spuszczenie kosza. Wzięła linę zaczepioną do jej pasa i zaczęła ją okręcać wokół talii mężczyzny. Dzięki temu przynajmniej nie znajdzie się pod łodzią, jeśli wywróci się do góry dnem.

Potem pomachała w stronę helikoptera, dając sygnał, by spuścili kosz. To także stanowiło nie lada wyzwanie. Wiatr popychał kosz we wszystkie strony, ale nie w dół do Liz. Nie mogli go spuścić na wodę z tego samego powodu, dla którego obwiązała mężczyznę liną. Kosz mógłby pójść na dno. Kesnick musi umieścić go na pokładzie, utrzymując w równowadze za pomocą liny, żeby nie stanowił dodatkowego balastu dla łodzi.

Wymagało to kilku prób.

— Nie ruszę się stąd bez moich psów — oświadczył mężczyzna, kiedy Liz go podciągnęła.

— Powiedziano mi, że nie mogę ich zabrać. Muszą poczekać na kuter.

Pchnął ją, krzywiąc się z bólu.

— Zaczekam z nimi.

I znowu Liz nie spojrzała na helikopter. Czy widzieli, jak rozbitek ją odepchnął? Mogą pomyśleć, że sprawiła mu ból.

— Czy któryś z nich gryzie? — Gdy milczał, zrozumiała, że nie chciał między nimi wybierać. — Proszę pana, musi mi pan zaufać.

— On ugryzł tylko raz, ale wtedy mnie bronił.

— Ten?

— Tak, Benny.

— A ten drugi?

— To duży szczeniak. Nie widzi pani? — rzekł z uśmiechem, który zniknął, gdy dodał: — Nie kupiłem im kamizelek ratunkowych. Nie do wiary, że chciałem zaoszczędzić parę dolców. — Potrząsnął głową, przygryzając wargę, tym razem nie z bólu, tylko z żalu. — Nie może ich pani zostawić. Proszę.

Na jej oko facet był po czterdziestce. Szczupły, dzięki Bogu. Zapewne rybak amator. Później go zapyta, czy łódź jest nowa. A nuż zaszalał i wydał na nią wszystkie oszczędności. Ta głupia wycieczka o mały włos nie kosztowała go życia. Teraz już wiedziała, że ją też może drogo kosztować.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Maggie przesunęła się bliżej otwartych drzwi, żeby obserwować Bailey. Kapsułki, które od niej dostała, okazały się jednak skuteczne. Nie czuła mdłości, chociaż ilekroć ratowniczka gwałtownie opadała, żołądek podchodził jej do gardła. Nieważne, że Liz była połączona liną z helikopterem. Każda próba opuszczenia jej na pokład łodzi przypominała kompletnie nieudany cyrkowy numer.

Kesnick relacjonował dwóm pozostałym członkom załogi wszystkie swoje działania.

Właśnie przed chwilą poinformował, że mogą mieć problem.

— Ten gość nie chce wsiąść do kosza.

— Z tego, co słyszałem — rzekł Ellis — udało jej się przemówić do rozsądku ludziom w Nowym Orleanie, którzy naprawdę byli w szoku po Katrinie.

— Jak mam to rozumieć, że przemówiła im do rozsądku? — spytał Wilson.

— Wiesz, jak tam było. Helikopter leciał nad zalane tereny, gdzie miało czekać tylko dwoje ludzi, a kiedy zszedł do nich ratownik, nie wiadomo skąd pojawiało się nagle więcej osób. Niektórzy mocno upierdliwi. Domyślam się, że Bailey musiała im twardo oświadczyć, że kobiety, dzieci i ranni mają pierwszeństwo. Nie bardzo im się to podobało.

— I co?

— Powiedziała to, co trzeba, żeby jej posłuchali.

— Hm.

Maggie zerknęła na Wilsona. Jego chrząknięcie świadczyło o tym, że nie zrobiło to na nim wrażenia.

— Pomaga mu wejść do kosza — oznajmił Kesnick.

— W porządku. — Ellis uderzył pięścią w powietrze.

— Najwyższa pora, wciągaj go — powiedział Wilson.

— Nie mam jeszcze sygnału.

Minuty mijały. Nagle Maggie, równocześnie z Kesnickiem, zdała sobie sprawę z zamiarów Bailey. Zobaczyła, że Kesnick obejrzał się na pilota, jakby szukał pretekstu, by nie raportować mu tego, co dzieje się na dole.

— Co jest? — spytał Wilson.

Żadnej odpowiedzi.

— Kesnick, co się, do diabła, dzieje?

— Wydaje mi się, że wsadziła też psa tego gościa.

— Ona nie wciągnie tu psa, Kesnick. — Wilson tak się wściekł, że aż helikopter przechylił się na prawo.

— Wsadza psa do kosza obok tego gościa.

— Chyba żartujesz! — krzyknął Ellis.

Jednak Maggie miała wrażenie, że słyszy w tych słowach uśmiech.

— Mówiłem jej, że nie wolno go zabierać.

Bailey pomachała, że wszystko w porządku. Kesnick skupił się na linie, wciągał powoli. Maggie obserwowała Liz, która została na dole. Weszła znowu na pokład, zniknęła w kabinie.

Kesnick mocował się z liną, aż kosz wsunął się przez drzwi. Cały czas jego uwaga skupiona była na mężczyźnie i psie. Maggie miała świadomość, że Kesnick jeszcze nie widział drugiego psa, którego Bailey właśnie wyprowadziła z kabiny. Przycisnęła go mocno do piersi i przypięła do pasa ratowniczego.

— Sukinsyn — rzucił Kesnick, chwytając linę.

— Co znowu? — spytał Wilson.

Maggie zerknęła na Wilsona, a potem na Kesnicka. Uratowany mężczyzna siadł pod ścianą, podtrzymując złamaną najpewniej rękę. Pies nie oddalał się od pana, piszczał i lizał go po dłoni.

— Jest drugi pies — przyznał w końcu Kesnick.

— Lepiej niech go tu nie sprowadza.

— Ona zamierza wwieźć go do góry.

— Nie chcę tu tego psa.

— Założyła mu pas ratowniczy. Trzyma go.

— Jasna cholera! Nie wciągaj jej, Kesnick. Nie wciągaj, dopóki nie zostawi tego psa. — Maggie spojrzała na twarz Kesnicka, a dokładnie tę część jego twarzy poniżej osłony oczu. Zdawało się jej, że dostrzegła cień uśmiechu. Wilson nie miał zielonego pojęcia, że mechanik już wciągnął Bailey do połowy wysokości. Zbliżała się do helikoptera.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Walter Bailey powiesił tabliczkę z napisem „Otwarte” na swojej Kantynie Coney Island. Zrobiło się już trochę późno. Niedziele to były dla niego dobre dni, ale obiecał Liz, że najpierw kupi benzynę. No to i kupił, i zawiózł dwa pięciogalonowe kanistry swojej drugiej córce, Trish. Tak jak przypuszczał, jego zięciowi nawet do głowy nie przyszło, żeby się w jakikolwiek sposób przygotować do huraganu. Trish, jak zwykle, stanęła w obronie męża.

— On jest z Michigan. Nie ma pojęcia, co znaczy huragan.

— Szybko się nauczy, bo huragan właśnie nadciąga.

Walter wciąż nie do końca w to wierzył, ale doprowadzało go do szału, że Scott wolał „oddać się pracy”, jak to określiła Trish, niż pomóc żonie w przygotowaniach. Oczywiście odezwał się w nim nadopiekuńczy ojciec, ale tak czy owak nie przepadał za zięciem. Czasami wymykało mu się coś na ten temat, a ostatnio nawet mówił to bez wyrzutów sumienia. Trish zasługiwała na kogoś lepszego. Co prawda wszyscy uważali, że ten czarujący, pracowity młody człowiek jest oddanym mężem. Walter twierdził, że to tylko pozory. Może złościła go profesja Scotta. W jego mniemaniu przedsiębiorcy pogrzebowi to jedynie nieco lepiej ubrani handlowcy.

Kiedy dotarł do plaży, wiatr się wzmógł, więc surferzy korzystali z wysokiej fali. Było tak gorąco, że, jak lubił mawiać Walter, „skwar lał się z nieba”, nigdzie nie znalazłoby się cienia ani chłodu.

Zanim pierwsze hot dogi były gotowe, ustawiła się kolejka, ale Walter lubił pogadać i potrafił zgrzanych i wygłodniałych klientów rozbawić, opowiadając rozmaite historie. Jego kariera jako pilota i komandora porucznika w marynarce dostarczała mu wielu tematów, a przy okazji przekonywał ludzi, że jego misja jest ich misją. Oni nie tylko kupowali w Kantynie Coney Island hot dogi i colę, oni składali hołd młodzieńczym latom Waltera. No dobrze, więc może sprzedawca w Walterze po prostu rozpoznał sprzedawcę z Scotcie.

W końcu został tylko młody mężczyzna, nie więcej niż trzydziestoletni. Porządny, krótko ostrzyżony, ubrany w szorty khaki, buty żeglarskie sperry i fioletowe polo — chociaż żona Waltera poprawiłaby go i powiedziała, że polo jest lawendowe. To żona nauczyła go, jak powinien się ubierać. Po trzydziestu pięciu latach noszenia munduru nie miał pojęcia, kim jest Ralph Lauren. Teraz już to wiedział i rozpoznał logo na lawendowej koszulce. Zauważył też inne detale, na przykład złotego roleksa i okulary RayBans, nie okazując, że zwrócił na nie uwagę. Ten mężczyzna raczej nie był turystą. Może biznesmenem. Nie wyglądał też na kogoś, kto ma pojęcie o łodziach, choć Walter spotkał już lepiej ubranych amatorów

schodzących w marinie z pokładu jachtów. To idiotyczne, jak ludzie się teraz stroją, nawet na wakacjach.

— Z czym mogę dostać hot doga? — spytał mężczyzna.

— Z czym tylko pan życzy.

— Z zielonym pieprzem?

— Nie ma sprawy. Zielony pieprz, cebula, kiszona kapusta. — Walterowi zdawało się, że już kiedyś widział tego gościa, ale za nic sobie nie mógł przypomnieć, przy jakiej okazji mogłoby to być.

— Fantastycznie. Proszę dodać trochę musztardy i tej przyprawy zaostrzającej smak. Skąd nazwa Coney Island? Pochodzi pan z New Jersey?

— Nie, z Pensylwanii, ale ojciec zabierał nas na Coney Island ze dwa razy podczas wakacji. To były piękne dni. Był pan tam?

— Nie, ale mój ojciec opowiadał mi o tym miejscu. Skąd dokładnie w Pensylwanii?

— Upper Darby.

— Poważnie?

Walter zawiesił rękę z widelcem pełnym kiszonej kapusty i podniósł wzrok na klienta

— Zna pan Upper Darby?

— Mój ojciec wychował się w Pensylwanii. Opowiadał

— Upper Darby.

— Może być? — Walter skończył, owinął hot doga serwetką, położył go na papierowym talerzu i podał klientowi. — A nuż go znam? Do której szkoły chodził?

— Wie pan, nie jestem pewien. Zmarł kilka lat temu. Na raka. Nazywał się Phillip Norris. Nie został w Pensylwanii, zaciągnął się do marynarki.

— Ja też byłem w marynarce — rzekł Walter, stukając się kciukiem w pierś.

— Żartuje pan? — Ugryzł kęs hot doga, kiwnął głową i uśmiechnął się. — Dobry.

— Prawdziwa wołowina.

— Cześć, panie B — przerwał im wychudzony chłopak.

— Cześć, Danny. To co zawsze?

— Tak, proszę pana.

— Danny to prawdziwy przedsiębiorca. — Walter zawsze starał się poznać z sobą swoich klientów.

— Naprawdę?

— Pracuje z brygadą, która sprząta plażę i mieszka w swoim samochodzie, żeby zaoszczędzić pieniądze.

— I surfować — dodał Danny.

— Jego deska jest warta więcej niż wóz.

Danny z uśmiechem wzruszył ramionami. Walter wiedział, że chłopak lubi, jak ktoś się nim interesuje. Tak naprawdę nie znał jego życiorysu. Wyglądał na piętnaście lat, ale Walter widział jego prawo jazdy, gdzie było napisane, że skończył osiemnaście i pochodzi z Kansas. Może naprawdę zależało mu tylko na surfowaniu.

Chłopak miał stały rozkład dnia. Wieczorami do około jedenastej sprzątał plażę. Spał w swoim samochodzie, cały dzień surfował, korzystał z mieszczących się na plaży pryszniców i publicznych toalet. Żywił się hot dogami z musztardą, cebulą i kiszoną kapustą, które popijał colą. Walter przypuszczał, że to niezgorsze życie.

Podał mu hot doga i nalał mu ekstra dużą colę, po czym przyjął dwa dolary. Taką mieli umowę. Walter domyślał się, że to był jedyny prawdziwy posiłek Danny'ego w ciągu dnia, więc dawał mu rabat.

Tymczasem zaczęła się tworzyć nowa kolejka. Młodzież z college'u popychała się i przepychała.

Podając Walterowi banknot dziesięciodolarowy, Norris patrzył na Danny'ego, który wsiadł do wyblakłej czerwonej impali. Może chłopak przypominał mu jego samego sprzed lat.

— Ja stawiam — rzekł Walter.

Norris natychmiast wrócił do niego wzrokiem.

— Nie mogę na to pozwolić. — Sprawiał wrażenie tak osłupiałego, jakby nigdy w życiu nie usłyszał od nikogo takich słów. — Poza tym stać mnie na to i wiele więcej. — Odwrócił znów głowę w stronę Danny'ego.

— Wiem, że pana stać. Niech pan przyjdzie jutro i coś kupi. Ten jest ode mnie. Dla pana taty, od jednego weterana dla drugiego. Smacznego. Wstrzymuje pan kolejkę.

Norris odszedł na bok, zerkając na stojących za nim ludzi. Wciąż trzymał w dłoni dziesięciodolarowy banknot, jakby nie wiedział, co z nim począć. Pomyślał, że pewnie uraził tego sprzedawcę. Może pokręci się po okolicy i raz jeszcze spróbuje mu zapłacić.

Walter żałował, że nie przypomina sobie, gdzie widział tego mężczyznę, chociaż samo nazwisko Phillip Norris nie budziło w nim żadnych skojarzeń. Zdał sobie sprawę, że powinien zapytać, gdzie stacjonował jego ojciec, ale kiedy podniósł wzrok, nietypowy klient zniknął.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Scott Larsen zignorował dzwonek komórki. Była to albo rodzina w żałobie, która chciała go ponaglić, albo Trish, a on na żadną z tych rozmów nie miał ochoty. Zerknął na wyświetlacz i ruszył dalej hotelowym holem. Więc jednak żona. Złościła

się, że znowu wyszedł z domu, nawet jeśli chodziło o interesy. Szalała ze zdenerwowania z powodu tego cholernego huraganu. Miał już serdecznie dość wszystkich tych ludzi, którzy zamartwiają się wiatrem, kiedy na niebie nie widać ani jednej chmurki.

Trish zapewne przypomniała sobie, że jeszcze za coś nie zmyła mu głowy. Za coś, w czym zamiast męża pomógł jej ukochany tatuś.

— Tatuś kupił dla nas benzynę, dwa kanistry — oznajmiła mu wcześniej.

— No, no. Wydał chyba cały swój tygodniowy zarobek za te hot dogi.

— Jesteś niegrzeczny, a on zrobił nam uprzejmość.

— Zadbał o swoją małą córeczkę.

— Może uznał, że musi to zrobić, ponieważ jej mąż jest w tym kiepski.

— Wychodzę z domu, żeby zarobić na życie. Żeby było czym opłacić rachunki.

— Nie rozumiesz? Jak uderzy huragan, to wszystko będzie bez znaczenia.

W tym momencie w jej oczach zabłysły łzy, na co Scott automatycznie wszedł w swoją rolę zawodowego pocieszyciela. Otoczył Trish ramieniem, poklepał po ręce i wyszeptał całą serię kojących słów i fraz.

Kiedy znowu się odezwała, mówiła już spokojnie:

— Musimy mieć nadzieję, że ubezpieczenie pokryje wszystkie ewentualne straty.

Na te słowa Scott zamarł. W żaden sposób nie mógł się przyznać, że nie ubezpieczył nowego, wymarzonego domu, którego budowa znacznie przekroczyła planowany budżet i który byłby już prawie skończony, gdyby żona przestała wprowadzać ciągłe zmiany.

— Tatuś mówi, że w czasie huraganu możemy u niego zamieszkać. Nie powinniśmy zostawać nad zatoką. U tatusia będziemy bezpieczni.

W tym momencie Scott słyszał już tylko kluczowe słowa, które go irytowały. Słowa takie jak „tatuś”. Dziewczyny z Południa kochały swoich tatusiów. Scott nie mógł się przyzwyczaić do tego zdrobnienia, zwłaszcza że padało z ust dorosłej kobiety. To pięciolatki tak nazywają swoich ojców.

Trish trochę się dąsała, kiedy się przebierał, ale niewiele już mówiła. Jego etyka zawodowa rodem ze Środkowego Zachodu była jedną z tych cech, które po randkach z rozmaitymi próżniakami zrobiły na niej największe wrażenie. Poza tym obiecał, że rano pomoże jej zabić deskami drzwi na patio w nowym domu, o ile skończą do południa. Musi przesunąć termin ceremonii pogrzebowej jednego ze sztywniaków, który czeka w lodówce. Krewni wstępnie zaplanowali pogrzeb na środę, ale przestraszyli się huraganu i chcieli pochować wujka Mela, zanim uderzy sztorm.

Obietnica pomocy przy zabezpieczeniu domu wydawała się satysfakcjonować Trish, więc może nie dzwoniła tylko po to, żeby go pogonić. Usiadł przy hotelowym

barze na tarasie i wyjął telefon komórkowy. Właśnie zamierzał odsłuchać wiadomość Trish, kiedy pojawiła się przed nim jasnowłosa barmanka.

— Pański przyjaciel już tu jest — powiedziała z uśmiechem. — Mam panu przekazać, że czeka w restauracji. Zaprasza pana na kolację.

— Naprawdę? — Scott był bardziej pod wrażeniem barmanki, która poświeciła mu swoją uwagę, niż zaproszenia na kolację.

— Może wpadniecie potem na drinka — dodała, a następnie pośpieszyła do innego klienta.

Przez ten jej uśmiech zapomniał, po co wyciągnął telefon. Wsunął go z powrotem do kieszeni. Ruszając do restauracji, przysiągł sobie, że odreaguje stres całego dnia. Odreaguje. Tak, to odpowiednie słowo, takie, którego użyłby Joe Black. Scott postanowił, że znajdzie jakiś sposób, by wpleść je do rozmowy.

ROZDZIAŁ DZWUDZIESTY CZWARTY

Maggie ledwie trzymała się na nogach. W uszach jej szumiało, a gdyby spojrzała na swoje dłonie, przekonałaby się, że drżą. Z ulgą stanęła znów na twardym gruncie, z dala od huku śmigieł i wykańczających nerwowo wibracji.

Joshua Clayton, szeryf hrabstwa Escambia, już na nią czekał. Wszystko w jego wysokiej szczupłej postaci — od niespokojnego przytupywania do nieskoordynowanych gestów — mówiło Maggie, że nie był zadowolony. Przyobiecał Charliemu Wurthowi, że Departament Bezpieczeństwa Krajowego i FBI uzyskają pełny dostęp do materiałów dowodowych, ale Clayton raczej nie z tym miał problem. Jego problemem był brak czasu, zresztą w pewnym momencie burknął:

— Nie mam na to czasu. Na Boga, nadchodzi huragan.

Maggie ledwie zdążyła zdjąć lotniczy kombinezon. Podziękowała załodze helikoptera, a oni przyjęli jej zaproszenie na drinka. Clayton cały ten czas stał u jej boku i przesadnie wykręcał nadgarstek, żeby sprawdzić godzinę. Teraz, siedząc w radiowozie, z niecierpliwością postukiwał palcami w kierownicę.

Gdy odwiedzili jego biuro, podał formularz do podpisania, a potem zaprowadził Maggie do małego pomieszczenia na końcu korytarza. Ściany były gołe, znajdowały się tam jedynie stół i dwa składane krzesła stojące na wysłużonym, ale czystym linoleum. Na stole zobaczyła sfatygowaną białą rybacką lodówkę.

— Zawartość została sfotografowana i zapakowana — oznajmił Clayton. — Wszystko znajduje się w biurze koronera. Jeszcze nie zajmowaliśmy się lodówką. — Podał jej lateksowe rękawiczki. — Zdejmiemy odciski palców, ale skoro wyłowiono ją z wody, pewnie wiele nie znajdziemy.

Zadzwoniła komórka Claytona. Ściągnął brwi.

— Muszę odebrać. Pozwoli pani?

— Proszę.

Szybko wyszedł na zewnątrz. Pomimo zmarszczki na czole Maggie zauważyła, że ucieszył się z pretekstu do ucieczki. Jego głos oddalał się. No i dobrze. Wolała przyjrzeć się lodówce bez sterczącego za plecami Claytona.

Zaczęła unosić wieko, ale gdy tylko poczuła zjełczały smród, zatrzasnęła je z powrotem. Przygotowała się, odetchnęła głęboko i spróbowała po raz kolejny. Nic dziwnego, że jeszcze nie zajmowali się lodówką. Na dnie było jakieś pięć centymetrów różowego płynu, pozostałość rozpuszczonego lodu i co najmniej jednego przeciekającego pakunku.

Zostawiła wieko otwarte. Na początku smród był najgorszy, ale jak trochę wymiesza się z powietrzem, powinien osłabnąć. Odsunęła się od stołu i wyjęła przypięty do paska smartphone. Nacisnęła kilka przycisków i aktywowała aparat fotograficzny.

Lodówka była spora, nierdzewną stal pomalowano na biało. Była to popularna marka, którą nawet Maggie rozpoznała, widząc nazwę na bocznej ścianie. Wewnętrzna strona pokrywy była dość charakterystyczna, widniał tam bowiem wizerunek sporej ryby oraz miarka. Uwagę Maggie przyciągnęła natychmiast lina zawiązana na uchwycie wieka.

Zrobiła kilka zbliżeń niebiesko-żółtej liny z syntetycznej przędzy, gładkiej, prawdopodobnie czymś powleczonej. Jeden z końców był postrzępiony. Zrobiła jeszcze parę zdjęć. Przyglądając się bliżej, stwierdziła, że końcówka została przecięta, a nie urwana. Wszystkie włókna, chociaż postrzępione, były jednakowej długości.

Obejrzała się na drzwi. Ani śladu szeryfa Claytona. Na wszelki wypadek zamiast zadzwonić, wysłała do byłego partnera R. J. Tully'ego SMS-a:

Hej Tully wysyłam zdjęcia możesz sprawdzić bazę danych?

Niecałą minutę zajęło jej przesyłanie bliskich ujęć liny. Tully zeskanuje zdjęcia i przepuści informację przez bazę danych FBI. Może szczęście im dopisze i zdołają zidentyfikować producenta liny.

Przypomniała sobie podobną sprawę z lat osiemdziesiątych. Pewien lotnik, John Joubert, został aresztowany za zamordowanie dwóch małych chłopców. Na jednym z miejsc zbrodni władze znalazły charakterystyczny sznur. Związano nim ręce jednej z ofiar. W tamtych czasach nie robiono jeszcze analizy DNA, więc charakterystyczny sznur był kluczowym dowodem w sprawie. Podczas przeszukania w mieszkaniu Jouberta trafiono na spory zapas tego sznura.

Zanim przesłała ostatnie zdjęcie, otrzymała SMS-a od Tully'ego:

Nie ma sprawy

Skończywszy zajmować się liną, zmieniła miejsce i obfotografowała lodówkę oraz miarkę na wewnętrznej stronie wieka. Zgadzała się z szeryfem Claytonem co do odcisków palców. Jeśli będą mieć szczęście, uzyskają przynajmniej te z wewnętrznej strony wieka, bo słona woda zapewne wymyła wszystko na zewnątrz.

Zrobiła ostatnie zdjęcie otwartej lodówki. Smród nie był już tak dokuczliwy. I wtedy zauważyła coś w płynie na dnie. Wstrzymała oddech i pochyliła się, żeby przyjrzeć się temu bliżej. Był to mały kawałek białego papieru, nie większy niż pięć na siedem centymetrów, przyklejony z boku, parę centymetrów od dna. Papier częściowo zanurzył się w płynie, gdyż jeden z rogów odkleił się na skutek wilgoci. Gdyby nie unosił się na powierzchni, Maggie w ogóle by go nie spostrzegła. Zapewne podwładni szeryfa Claytona z tego samego powodu też go nie zauważyli.

Zerknęła przez ramię. Kiedy schowała smartphone'a, rozejrzała się po pokoju. W szafce za drzwiami znalazła pudełko zamykanych foliowych torebek. Wyjęła jedną i włożyła lateksowe rękawiczki, które wcześniej dostała od Claytona. Potem ostrożnie odkleiła papier od ściany lodówki, starając się nie dotykać zamoczonego rogu.

Trzymała kawałek papieru dwoma palcami. Musi uzbroić się w cierpliwość i zaczekać, aż wyschnie, nim wsunie go do foliowej torebki. Przyjrzała mu się z drugiej strony. Rogi były zaokrąglone jak w niektórych naklejkach. Ta część, która odstawała, była pusta, w przeciwieństwie do tej przyklejonej do ściany lodówki. Atrament się rozmył, pozostał tylko ślad ręcznego pisma. Mimo to Maggie zdołała odczytać litery i cyfry, które przypominały jakiś kod:

NTSM

DESTIN: 082509

850900029

Zajrzała znów do wnętrza lodówki. Nic więcej tam nie było. Może ten kawałek papieru nie ma żadnego związku z podejrzanymi pakunkami. Może to pozostałość po poprzednim użytkowniku lodówki. Może wpadł tutaj przez przypadek.

Albo, i Maggie liczyła, że tak właśnie jest, była to naklejka z jednego z pakunków.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Benjamin Platt oparł łokcie o stół, pochylił się nad mikroskopem i powiększył obraz. Od czasu do czasu zerkał na probówki, które sobie przygotował, czekając na rezultaty. Krew Ronniego Towersa została już przebadana na wiele chorób. Plattowi zaczynało brakować pomysłów.

Małe laboratorium, poza silnym zapachem środków odkażających, odpowiadało mu. Było dobrze wyposażone i ciche, o wiele lepsze niż te, do których przywykł, będąc w trasie i pracując w rozmaitych warunkach. Już dawno nauczył się podróżować z kasetką, w której woził to wszystko, co jest niezbędne do przeprowadzenia testów laboratoryjnych w strefie działań wojennych, w miejscu, gdzie wybuchła groźna epidemia czy w namiocie w Sierra Leone.

Usiadł na stołku i patrzył na probówki. Bez zmian. To dobry znak, choć z drugiej strony cholernie frustrujący. Proteza nogi młodego mężczyzny leżała obok niego na blacie. Ostrożnie zdrapał z niej trochę kostnego cementu podanego podczas operacji. Rozmazał go na szkiełku, a potem przygotował drugie szkiełko z próbką tkanki pobraną od Ronniego Towersa.

Jak dotąd znalazł coś, co zidentyfikował jako szczep *Clostridia,* rodzinę bakterii powodujących liczne infekcje, a najczęściej tężec. Następna w kolejności występowania była sepsa prowadząca do zespołu wstrząsu toksycznego. Tyle że to, co Platt widział pod mikroskopem, było o wiele bardziej skomplikowane.

Włączył laptopa i wszedł do bazy danych, którą tworzył przez wiele lat. Na ekranie wyświetliło się zbliżenie rodziny bakterii *Clostridia.* Musi chwilę zaczekać, aż wszystkie pliki się załadują, zanim zacznie klikać na zdjęcia w bazie. Liczył na to, że znajdzie dokładny odpowiednik tego, co widział pod mikroskopem.

Wyjął telefon komórkowy. Z pewnością może uzyskać podstawowe informacje, nie łamiąc złożonej kapitanowi Ganzowi obietnicy, że dochowa tajemnicy.

Wybrał numer, obawiając się, że usłyszy automatyczną sekretarkę szefa Centrum Zapobiegania i Zwalczania Chorób, jednak ze zdziwieniem usłyszał w słuchawce niski głos z południowym akcentem.

— Bix, słucham.

— Roger, mówi Benjamin Platt.

— Pułkowniku, co mogę dla pana zrobić?

— Nie spodziewałem się, że usłyszę pana w niedzielę.

— To robota dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. — Zaśmiał się. — Wątpię, żeby dzwonił pan do mnie z pola golfowego. Co się dzieje?

— Ciekaw jestem, czy ostatnio otrzymał pan jakiś raport o śmiertelnie groźnych infekcjach związanych z... powiedzmy przeszczepionymi organami czy kośćmi?

— Choroby się zdarzają, i owszem, ale śmiertelne? Nie, jeśli żadna z pańskich definicji „ostatnio” nie oznacza dwudziestu czterech godzin. Muszę to sprawdzić dla pewności. Chce pan zgłosić coś takiego?

Platt zapomniał już, jak bezpośredni i rzeczowy jest Bix. To nie taka zła cecha. Kiedy poprzednio pracowali razem, mieli do czynienia z dwoma niezależnymi od siebie epidemiami wirusa eboli.

— Potrzebuję tylko informacji — odparł Platt. — Gdyby doszło do zakażenia w banku tkanek czy w szpitalu, wiedziałby pan o tym?

— Zależy, co nazywa pan zakażeniem. Banki tkanek mają obowiązek dokładnie zbadać dawców na obecność wirusa HIV, zapalenie wątroby typu B i C i inne przenoszone z krwią wirusy.

— A co z bakteriami?

— Jakim rodzajem bakterii?

— Nie wiem. — Platt wzruszył ramionami, patrząc na ekran komputera. — Bakteriami powodującymi infekcje.

— Agencja do spraw Żywności i Leków wymaga od nas, żebyśmy badali dawców tylko pod względem wirusów przenoszonych przez krew. Wiele uznanych oficjalnych banków tkanki też się do tego ogranicza. Infekcje należą do rzadkości. Nie twierdzę, że nie występują. Pamiętam kilka lat temu trzy zgony w Minnesocie. To były rutynowe operacje kolana przy użyciu chrząstki pobranej od zmarłego dawcy. Dziwna sprawa, bo nawet nasze śledztwo nie stwierdziło, czy dawca był już zainfekowany, czy też tkanka została zainfekowana podczas operacji. Bank organów oskarżył agencję, która im to przekazała, a ta obwiniała przewoźnika. Pułkowniku, to szalony biznes.

— Biznes?

— Jasne, bo to jest biznes. Jeśli chodzi o organy do transplantacji obowiązują sztywne regulacje. W danym regionie może istnieć tylko jedna zajmująca się tym organizacja. Musi to być organizacja non profit, więc istnieje rządowy nadzór. Ale ma pan tkankę, kości, wiązadła, rogówkę, żyły, a popyt jest większy niż podaż. Całe zwłoki kosztują od pięciu do dziesięciu tysięcy dolarów, ale poćwiartowane, proszę o wybaczenie, i sprzedawane po kawałku? Wartość takich zwłok wzrasta do dwudziestu pięciu, a nawet czterdziestu tysięcy.

— Myślałem, że sprzedaż zwłok i części ludzkiego ciała jest nielegalna?

— Ben, bez obrazy, ale musi pan częściej wychodzić z laboratorium. Sprzedaż ludzkich zwłok może i jest nielegalna, ale usługa polegająca na tym, że ktoś się o nie wystara, pokawałkuje i przetransportuje, już niekoniecznie. Mówiąc prawdę, wiele z tego dobrego. Niektóre technologie są zdumiewające. Podobno jeden dawca, jeśli wykorzysta się jego kości, tkanki, wiązadła, skórę, może pomóc pięćdziesięciu żywym.

— Aż tyłu? — Platt zmartwiał.

Jeden dawca może zarazić pięćdziesiąt osób?

— Ben, mam nadzieję, że nie pracuje pan przy kolejnym fiasku, które wojsko stara się wyciszyć?

— Nie, oczywiście, że nie.

Platt cieszył się, że Roger Bix nie zna go tak dobrze, bo inaczej wyczułby po jego głosie, że straszny z niego kłamca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Scott wypił Johnniego Walkera duszkiem — tym razem była to czysta whisky — starając się dotrzymać kroku Blackowi. Może z czasem przywyknie do tego palenia w gardle, kłopot w tym, że już zaczęło mu się kręcić w głowie. Z drugiej jednak strony, nie było to niemiłe, a tak prawdę mówiąc, całkiem przyjemne. Nie przeszkadzało mu nawet, kiedy Joe przekroił krwisty befsztyk i wypłynęły z niego czerwone soki, rozlewając się strużkami po białym porcelanowym talerzu i zalewając pieczone ziemniaki.

Joe zamówił butelkę wina do befsztyków z polędwicy. Scott zauważył, że jest do tyłu z winem. Joe nalał sobie drugi kieliszek i dopełnił kieliszek Scotta. Przez cały ten czas Scott nie mógł zapomnieć o kopercie, którą wręczył mu Joe, gdy tylko usiedli przy stoliku. Byłoby niegrzecznie od razu wyciągać pieniądze, ale zerkając do środka, zobaczył, że koperta zawiera banknoty studolarowe. I z pewnością było ich więcej niż pięć, na które się umówili.

— Twoja zapłata za przybłędę — skomentował Joe z uśmiechem. — I coś ekstra za możliwość korzystania z powierzchni magazynowej. Zdaje się, że konferencja została przełożona. Mam trochę zamrożonych kawałków, które będę musiał tutaj przewieźć. Więc w porządku?

— Tak, absolutnie. Poza tym, co już załadowaliśmy, mam tylko jednego gościa, a rodzina chce, żeby pogrzeb odbył się we wtorek rano. Bez otwartej trumny. Chcą pochować starego głupca przed nadejściem sztormu.

— A masz generatory prądu na wszelki wypadek?

— Tak, jestem przygotowany. — Zapisał sobie w pamięci, chociaż już nieźle miał w czubie, żeby to sprawdzić.

— Jutro rano spodziewam się przesyłki — wyjawił Joe. — Prosiłem, żeby ją dostarczyli do zakładu pogrzebowego. Będziesz tam koło dziesiątej?

— Jasne, nie ma problemu.

— Ile lat miał ten stary?

— Słucham?

— Ten stary głupiec?

— A, ten. Siedemdziesiąt... nie, sześćdziesiąt dziewięć. Kawaler. Mieszkał sam.

— Otyły?

Scott przestał jeść. Choć alkohol zamroczył go już całkiem nieźle, to pytanie wydało mu się dziwaczne.

Joe zauważył jego wahanie.

— Tak tylko pytam. — Wypił łyk wina. — Wiesz, jak to jest, skrzywienie zawodowe. — Posłał jeden z tych swoich ujmujących uśmiechów, na co Scott wyraźnie poluzował, uspokoił się. — Szkoda, że nie słyszysz tych telefonów, które wciąż odbieram. Wydzwaniają do mnie niezależni brokerzy, producenci sprzętu medycznego, nawet chirurdzy. A już najgorsi są organizatorzy konferencji. Powinieneś ich posłuchać. „Cześć, Joe, za dwa tygodnie potrzebuję sześć torsów, pięć ramion i dwanaście kolan".

Wychylił duszkiem resztę wina, sięgnął po butelkę i napełnił swój kieliszek, po czym po raz kolejny dolał Scottowi.

— Koniecznie powinieneś zobaczyć taką konferencję. — Odsunął talerz i oparł łokieć na stoliku. — Pięciogwiazdkowe kurorty, zazwyczaj z plażą i polem golfowym. Lot pierwszą klasą, apartament z najwyższej półki, kolacje, koktajle. Dla chirurgów to wszystko jest za darmo.

Scott także odsunął talerz i przyjął identyczną pozycję jak Joe, sącząc wino. Naprawdę nie powinien więcej pić, bo już mu nieźle wirowało przed oczami, ale teraz tylko słuchał i kiwał głową, zadowolony, że nie musi nic mówić, bo nie mógł ufać swoim słowom.

— A dla takich gości jak my, Scott? Możliwości są praktycznie nieograniczone. Nie zrozum mnie źle. Szanuję zasady swojej profesji. Nie moja wina, że jest ich tak niewiele. Tak długo, jak długo zajmuję się transportem na terenie Florydy, nie muszę nawet przejmować się regulacjami przewozowymi.

Scott uczepił się słów: „Gości takich ja my". Podobało mu się, że Joe wreszcie uznał go za członka swojej sieci, za swojaka.

— Czy mogę panom podać jakiś deser?

Niespodziewane nadejście kelnerki przestraszyło Scotta.

— Tak — odparł gładko Joe, jakby nie wlał w siebie kilku szkockich i pół butelki wina. — Co powiesz na płonące wiśnie? — spytał Scotta.

— O tak, super — wydusił z trudem, zdziwiony, że mówi tak składnie.

— Doskonały wybór. — Kelnerka nagrodziła Joego uśmiechem.

— Aha, dla mnie jeszcze cheeseburger na wynos, średnio wypieczony — poprosił Joe.

— Frytki?

— Byłoby świetnie.

Kiedy kelnerka oddaliła się, Scott spojrzał na Joego pytająco.

— Jeszcze jesteś głodny?

— Nie pytaj. Obiecałem komuś.

— Jasne. — Jednak natychmiast zauważył, że coś zmieniło się w zachowaniu Joego.

— To jest styl życia, Scott. — Usiadł prosto, machnął ręką nad stołem. — Nadzwyczaj obiecujący. Nie mogę nadążyć z realizacją zamówień. Bardzo mi pomaga, że współpracuje ze mną paru wybranych przedsiębiorców pogrzebowych. Wiesz, że to wy jesteście prawdziwymi podporami amerykańskiego programu dawców. Macie tak przeogromny wpływ na to, czy rodzina zrozumie wartość daru, jaki jej drogi krewny może przekazać przyszłym pokoleniom.

Usłyszał w jego głosie zmianę tonu i poczuł się zawiedziony. Joe znowu powiedział „wy", a przecież zanim przerwała im kelnerka, mówił: „Goście tacy jak my". Miał wtedy wrażenie, że zaczął się przed nim otwierać i tak naprawdę są już kumplami, a nie tylko sprzedawcami śmierci, którzy wzmacniają szeregi.

Po raz kolejny Scott zastanowił się, kim naprawdę jest Joe Black.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Kiedy Maggie zaprosiła załogę helikoptera na drinka, nie sądziła, że się pojawią. Było już późno. Pomyślała, że może powinna im postawić kolację, ale po drugim lądowaniu w szpitalu baptystów, gdzie zawieźli rannego właściciela łodzi i jego dwa psy, jedzenie było na samym końcu jej listy życzeń. Tymczasem teraz, choć właśnie oglądała śmierdzącą lodówkę, poczuła głód.

Sprawdziła wiadomości w komórce. Koroner hrabstwa Escambia napisał, że nazajutrz o dziewiątej rano zajmie się częściami ludzkiego ciała znalezionymi w rybackiej lodówce. Poinstruował Maggie, jak ma do niego dotrzeć.

Wysłała SMS-a do Wurtha, prosząc, żeby dołączył do nich na drinka i w ogóle ją wspierał, ale szybko odpisał:

Racz niemoż Rano snd?

Maggie nie znosiła odcyfrowywać wiadomości tekstowych. Nadal nie dostała żadnej odpowiedzi od Tully'ego. W końcu uprzytomniła sobie, że jest niedziela. Zidentyfikowanie jakiegoś sznurka nie było sprawą życia i śmierci. To była tylko jedna z tych rzeczy, które nie dawały jej spokoju. Kiedy pojawiła się załoga helikoptera, usiedli przy stoliku po obu stronach Maggie, jakby szykowali się do przesłuchania.

— Tylko jedno pytanie — powiedziała zaraz po przywitaniu. — Obiecuję. Czy ktokolwiek z was widział już taką linę w jakiejś rybackiej lodówce?

— Zawodowi rybacy używają mocowania z nierdzewnej stali — odparł Tommy Ellis. — Jeden jego koniec jest przyczepiony do lodówki, drugi do pokładu. Na środku jest specjalna śruba, która naciąga linę mocującą. Zauważyłem, że ta lodówka ma nawet otwór na coś takiego. Profesjonalista użyłby metalowej liny, bo jest o wiele bezpieczniejsza i z pewnością bardziej nowoczesna niż sznurek, nawet

oryginalny sznurek. — Kiedy skończył, zauważył, że wszyscy patrzą na niego, jakby wyjawił długo skrywaną tajemnicę. — Co? — Wzruszył ramionami. — Mój wuj łowi krewetki.

Po jednym drinku Kesnick się z nimi pożegnał. Musiał jechać do domu, do żony i dzieci. Piloci Wilson i Ellis wypili jeszcze po jednym, a następnie przenieśli się do baru na plaży.

— Zaraz wrócimy — powiedzieli, dostrzegając kogoś znajomego.

Maggie nie spodziewała się, że szybko wrócą. Zresztą wcale jej na tym nie zależało. Liz Bailey wyraźnie poczuła się swobodniej, kiedy faceci zniknęli. Widać było, że wzięła prysznic, a krótkie włosy, wciąż mokre w wilgotnym upale, gdzieniegdzie przyklejały się do głowy. Miała na sobie szorty khaki i białą koszulę bez rękawów. Maggie nie mogła się oprzeć wrażeniu, że dopasowany strój Liz miał przypomnieć załodze helikoptera, że tak naprawdę nie jest jedną z nich. Przywołała w pamięci rozmowę na pokładzie. Mężczyźni rozważali, jak uratować tonącego, nie pytając o zdanie najważniejszej osoby, czyli ratowniczki.

— To twoja nowa załoga — powiedziała Maggie.

— Tak bardzo widać?

— Nie, tylko drobne symptomy. — Zdała sobie sprawę, że jej słowa mogły zabrzmieć arogancko. Wytarła skroploną parę z butelki piwa, którą trzymała przez ostatnie pól godziny. Miała ochotę wypić duszkiem. Powietrze było parne, choć słońce już dawno zaszło. — Płacą mi sporo kasy za to, żebym potrafiła odgadnąć takie rzeczy.

Z zadowoleniem zobaczyła, że Liz Bailey się uśmiechnęła, zresztą po raz pierwszy, odkąd się poznały.

— Czego można się spodziewać, kiedy wsadza się do helikoptera cztery osobowości typu Alfa? Zresztą mnie to nie przeszkadza. — Liz wypiła łyk piwa. — Już się przyzwyczaiłam, że wciąż muszę udowadniać swoją wartość.

— Cokolwiek to znaczy, naprawdę się o panią martwili.

— Tak?

— Tak, naprawdę.

— I jak mnie nazywali, kiedy tak się o mnie martwili?

— To znaczy?

— Czy mówili: „Jak tam Bailey?”. Czy może pytali: „Co tam z ratowniczką?”.

— Tak — odparła Maggie. — Chcieli wiedzieć, czy z ratowniczką wszystko w porządku.

— Tak właśnie myślałam. — Wypiła po męsku duży łyk z butelki, podczas gdy Maggie czekała na jakieś wyjaśnienie. W końcu rzekła: — Jest pani psychologiem. Nawet po dzisiejszej akcji nadal mówią o mnie: „ta ratowniczka”, a nie „nasza ratowniczka”. O czym to świadczy? — Siliła się na żart, by ukryć rozczarowanie.

Maggie wyłapała to bezbłędnie i odparła natychmiast:

— O tym, że są mężczyznami.

Tym razem Liz się zaśmiała i na znak zgody stuknęła się z Maggie butelką.

— Święta racja.

— Nie chcę uciekać od tego tematu — zaczęła znów Maggie, chociaż to właśnie temat koleżeństwa między kobietami a mężczyznami nasunął jej to pytanie. — Ale co mi pani podrzuciła przed startem? Te kapsułki?

— Pomogły?

— Tak, a proszę mi wierzyć, że wszystkiego próbowałam.

— To sproszkowany imbir.

— Imbir? Żartuje pani?

— Świetnie łagodzi nudności niezależnie od tego, co je wywołuje. A u pani?

— Słucham?

— Co wywołuje u pani nudności? — Spojrzała Maggie w oczy i przytrzymała jej spojrzenie. — Jest pani agentką FBI. Nosi pani broń. Ktoś powiedział, że jest pani ekspertką od morderców. Wyobrażam sobie, że widziała pani takie rzeczy, na widok których wielu twardzielom robiłoby się niedobrze. Ale tam, w powietrzu, chodzi o coś innego?

Złapała się na tym, że wzrusza ramionami, a potem poczuła się trochę głupio, bo nagle została poddana psychoanalizie. Jednak Liz bezbłędnie wyczuła, że dręczy ją jakiś problem, chociaż Maggie była przekonana, że świetnie go ukrywa.

— Hej, to nie mój interes. Tak tylko pytam dla podtrzymania rozmowy — powiedziała Liz i odwróciła wzrok, jakby sprawa była zupełnie bez znaczenia.

A jednak po wspólnych przeżyciach w helikopterze, nie wspominając już o podrzuceniu kapsułek, Maggie, która prawie wszystkie nowo poznane osoby trzymała na dystans, czuła, że Liz zasługuje na odpowiedź.

— Wiem, że to się wydaje dziwne — rzekła. — Ma pani rację. Byłam świadkiem wielu koszmarów, widziałam fragmenty ludzkiego ciała wciśnięte do pojemników na jedzenie na wynos, pocięte ciała małych chłopców. Właśnie wczoraj zostałam zbryzgana mózgiem mordercy i musiałam go sobie wyciągać z włosów. — Spojrzała na Liz i ze zdziwieniem zobaczyła, że to wszystko jej nie speszyło. Potem Maggie przypomniała sobie, że mężczyźni rozmawiali o Bailey w kontekście huraganu Katrina. — Pani też pewnie się napatrzyła.

Kolejny uśmiech pojawił się na twarzy Liz, choć tym razem zupełnie nieoczekiwany, do tego okraszony komentarzem:

— Jest pani naprawdę dobrym psychologiem.

Maggie skrzywiła się. Nie zamierzała uchylać się od odpowiedzi.

— To chyba nie jest taka wielka tajemnica — powiedziała w końcu. — Nie radzę sobie w sytuacjach, kiedy tracę kontrolę.

— Zawsze panuje pani nad sytuacją, stając twarzą w twarz z mordercą?

— Oczywiście. Noszę przy sobie broń. — Wróciła do zwięzłości i humoru. Musi zachować lekki ironiczny ton. Kiedy ktoś za bardzo się do ciebie zbliża, trzeba szukać ratunku w żarcie.

— A może dopiero w powietrzu, kiedy czuje się pani tak bezbronna, w pełni uświadamia sobie pani ryzyko, które codziennie podejmuje na ziemi. — Maggie nagle poczuła się kompletnie rozbrojona. W milczeniu patrzyła na Liz, która podniosła się, wskazując na oświetlony księżycem piasek. — Chodźmy się przejść. Jeśli Isaac uderzy, to może być ostatnia okazja, by nacieszyć się plażą.

W chwili gdy Maggie odsuwała swoje krzesło, jakiś mężczyzna przykuśtykał do ich stolika, chwycił się jego brzegu i zastukał pustymi butelkami po piwie.

— Cześć, E...li...za...beth. — Celowo sylabizował i rozciągał jej imię, czy nawet wyśpiewał w alkoholowym upojeniu.

— Scott?

— O, cześć... — rzucił do Maggie, którą dopiero teraz zauważył. — Przepraszam. — Uśmiechnął się, przenosząc wzrok z Maggie na Liz i z powrotem. — Nie wiedziałem, że masz randkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

— Stryker to firma z rocznym dochodem trzy przecinek dziewięćdziesiąt sześć miliarda dolarów — rzekł kapitan Ganz.

— Ładny grosz... — Platt nie spuszczał wzroku z protezy nogi i manipulował stawami.

— Większość ludzi zna tę nazwę ze scen autopsji w filmach z trupem w roli głównej czy z tych wszystkich seriali o kryminalnych zagadkach z różnych miast Stanów, na przykład te ich jakże fotogeniczne piły do kości. Ale to tylko medialny smaczek, bo tak naprawdę firma jest gigantem technologicznym i od lat wprowadza nowatorskie rozwiązania. Większość łóżek na szpitalnych oddziałach chirurgicznych jest produkowana przez Strykera.

— A to? — Platt wskazał kilka śrub leżących obok niego na stole. — Nigdy takich nie widziałem.

— Ta technologia nie jest wcale taka nowa. Korzystamy w firmy o nazwie BIOMedics z Jacksonville. Ich spece potrafią wyszlifować z kości śruby, zdaje się, że nazywają to pracami precyzyjnymi. Zresztą nie ograniczają się do śrub, robią również kliny, kołki, kotwy. Organizm ludzki o wiele lepiej akceptuje kości niż plastik, tak samo jak przy wymianie zastawek lepiej przyjmują się te z tkanki

zwierzęcej niż sztuczne implanty. BIOMedics produkuje też pastę z kości, której używamy.

— Pastę? Wspominał pan wcześniej o cemencie z kości.

— Tak. Cement, pasta, to prawie to samo. Cementem przymocowujemy protezę, natomiast pastą wypełniamy szczeliny czy perforacje, które mogą wystąpić w kości, na przykład pozostawione przez szrapnel. Jak wypełni pan ubytki, bakteria nie ma wiele miejsca, gdzie mogłaby zaatakować.

— Takie medyczne szczeliwo?

Ganz zaśmiał się.

— Przypuszczam, że to uprawnione porównanie. — Pił już trzecią filiżankę kawy, odkąd znaleźli się w jego biurze. — I cement, i pasta często ratowały ludziom życie. Mówiłem już panu, że redukują ryzyko wystąpienia infekcji. Wstrzykujemy do nich antybiotyk. Pozwala nam to podać lekarstwo bezpośrednio we właściwe miejsce, a pacjent nie musi połykać antybiotyków, które wpływają na cały organizm i obniżają odporność.

— Jakie jest prawdopodobieństwo, żeby to zostało zainfekowane?

— Pasta kostna?

— Cement, pasta, śruby. Może oryginalne kości, z których są zrobione? — Platt podniósł jedną ze śrub, by przyjrzeć jej się z bliska.

— Nie, powiedziałbym, że to prawie niemożliwe. — Ganz energicznie potrząsnął głową. — Korzystamy z naszych zapasów.

— Co to znaczy?

— Mamy własne zapasy kości i tkanki.

— Nie wiedziałem. — Platt nawet nie próbował ukryć zdziwienia.

— Marynarka jako pierwsza wykorzystywała zamrożone kości do transplantacji. Już w latach czterdziestych w Centrum Medycznym Marynarki w Marylandzie chirurg ortopeda doktor Hyatt zaczął zamrażać i magazynować kości, które uzyskiwał podczas zabiegów amputacji. Zamiast wyrzucać, zamrażał, przechowywał, a potem wykorzystywał to, co się dało, podczas operacji innych pacjentów. — Ganz przerwał na moment. — Przepraszam, panie pułkowniku, nie chciałem robić historycznego wykładu.

— Ależ chętnie posłucham, proszę mówić dalej.

— Hyatt odniósł taki sukces, że zapoczątkować jeden z pierwszych programów dawców. Tak zaczęła się historia Banku Tkanki Marynarki. Już wtedy potrafili odzyskać nie tylko kości, ale również tkankę, żyły, skórę, rogówkę, chociaż jeszcze nie wiedzieli, co z tym wszystkim robić. Zaoferowali chirurgom wolny dostęp do banku, prosząc jedynie o to, by dzielili się z nimi swoimi rezultatami, żeby Hyatt i jego koledzy mogli prowadzić bazę danych. Początkowo pracowano w dużym stopniu metodę prób i błędów, ale Hyatt wynalazł sposób na odkażanie i testowanie

tkanki, a nawet metodę zamrażania jej na sucho do transportu. Dzisiaj nasze działania są bardziej ograniczone, z naszych zapasów korzystają wyłącznie chirurdzy wojskowi.

— Gdzie kości i tkanka ulegają obróbce?

— W Jacksonville. Sam zarekomendowałem doktora McCleary'ego, patologa. Zrezygnował z emerytury, żeby się tym zająć. Robi świetną robotę z pomocą jednego tylko asystenta.

— Więc wysyłacie mu wasze... kości? Pozostałości...?

Ganz z uśmiechem skinął głową, gdy Plattowi zabrakło słów.

— To część programu, który tutaj zainicjowałem.

— Dlaczego nie wykonujecie wszystkiego na miejscu?

— Jacksonville ma świetnie wyposażony obiekt, który na dodatek znajduje się blisko firmy BIOMedics, która wykonuje wszystkie te precyzyjne prace.

— A kto zajmuje się testowaniem i odkażaniem?

— Doktor McCleary z pomocą BIOMedics. Wiem, co pan myśli, ale już rozważałem możliwość zanieczyszczenia. Sprawdzaliśmy to wielokrotnie. Nigdy dotąd nie występowały takie problemy.

— A badał pan którąś z tych śrub czy innych produktów kostnych wziętych od zmarłego żołnierza?

Wahanie Ganza odpowiedziało Plattowi na pytanie.

— Nie — rzekł w końcu kapitan. — Nie przypominam sobie, żebyśmy wyjmowali coś z ciała.

Platt skinął głową, wciąż patrząc na protezę, którą odłożył na stół obok śrub z kości. Objął kubek z kawą, potem podniósł wzrok na kapitana Ganza.

— Po autopsji badałem wycinek tkanki Ronniego Towersa.

— Ronniego Towersa?

— To ten żołnierz, który właśnie zmarł. Zbadałem też pastę kostną zastosowaną w jego protezie. Znalazłem tam ślady bakterii, *Clostridium sordelli.* Wie pan, o czym mówię?

Ganz podrapał się w brodę.

— Zdaje się, że można ją znaleźć w ziemi?

— Tak, a również w odchodach i w jelitach.

— To nie ma sensu.

— Pański pacjent miał objawy przypominające sepsę albo ostry zespół wstrząsu toksycznego, co może być następstwem infekcji wywołanej przez *Clostridium sordelli.* Jedyny problem polega na tym, że nie mam pojęcia, skąd wzięła się ta bakteria. Zazwyczaj mamy z nią do czynienia u jednego szczególnego typu pacjentów.

— To znaczy?

— U kobiet w ciąży.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Danny Delveccio wrzucił ostatnie torby ze śmieciami na tył furgonetki zakładu oczyszczania miasta Santa Rosa, po czym klepnął w boczne drzwi, dając znać kierowcy, że już skończył.

— Do jutra, Andy.

— Tylko wcześnie, dupku. Potem będą zajebiste fale.

— O siódmej?

W odpowiedzi kierowca uniósł kciuki.

Danny ruszył do swojego samochodu. Po całym dniu surfowania zakończonym zbieraniem śmieci na plaży bolały go mięśnie nóg. Trudno było przyzwyczaić się do chodzenia po piasku, dokuczało uczucie pieczenia w łydkach. Pamiętał pierwszy tydzień, kiedy nie był nawet w stanie utrzymać się na desce. Kto by pomyślał, że zbieranie odpadów innych ludzi jest tak wyczerpujące.

Otworzył bagażnik impali. Przechowywał tam cały swój majątek. Nie martwił się, że go ktoś okradnie. Dla złodzieja jego auto nie stanowiło żadnej wartości. Opony były gołe, silnik chronicznie kaszlał, karoseria wymagała odmalowania. Ale to był jego środek transportu, jego dom i jego ostatnia deska ratunku. Sięgnął po czysty ręcznik leżący wśród rzeczy, które właśnie wyprał w pralni samoobsługowej. Weźmie prysznic, kupi w automacie coś do przegryzienia, a potem się prześpi. Andy słyszał, że huragan dotarł już do Zatoki Meksykańskiej, a jako stały mieszkaniec tej okolicy znał się na rzeczy. Zapewniał, że rano fale będą już budziły grozę.

Dopiero kiedy zamknął bagażnik, zauważył stojącego obok mężczyznę. Przestraszył się nie na żarty. Aż się wzdrygnął, ale nic nie powiedział.

— Przepraszam — odezwał się mężczyzna. — Nie chciałem cię przestraszyć. Pan B. powiedział, że o tej porze kończysz pracę. Pomyślałem, że jesteś głodny.

— Pan B.? Z Kantyny Coney Island?

Mężczyzna wyciągnął do niego rękę, w której trzymał pojemnik nieziemsko pachnący topionym serem, cebulą i frytkami.

— Tak, spotkaliśmy się tam dzisiaj, pamiętasz? Jestem handlowcem, a pan B. wspomniał, że dorabiasz sobie, wynajmując się do różnych prac.

Danny zmrużył oczy, ale twarz mężczyzny pozostawała częściowo w cieniu. Tak, zdawało mu się, że już go widział, ale jak ma być tego pewien, skoro na plaży codziennie widuje setki twarzy? Chociaż jeżeli to znajomy pana B., to chyba jest w porządku.

— Zastanawiałem się, czy nie zechciałbyś mi pomóc załadować parę skrzynek do furgonetki. — Kiedy Danny nadal się wahał, znowu wyciągnął w jego stronę pojemnik z jedzeniem. — Cheeseburger i frytki plus jeden Andrew Jackson. To zajmie ci najwyżej kwadrans.

Danny'emu ślinka napłynęła do ust. Zdał sobie sprawę, jak bardzo jest głodny. To żarcie było o niebo lepsze niż wszystko, co kupował w automacie.

— Mogę najpierw zjeść?

— Oczywiście.

Przyjął pojemnik i otworzył go. Od tygodni nie jadł burgera i frytek, zwłaszcza takiego burgera. A dwadzieścia dolarów za piętnaście minut pracy? Danny nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

Poniedziałek

24 sierpnia

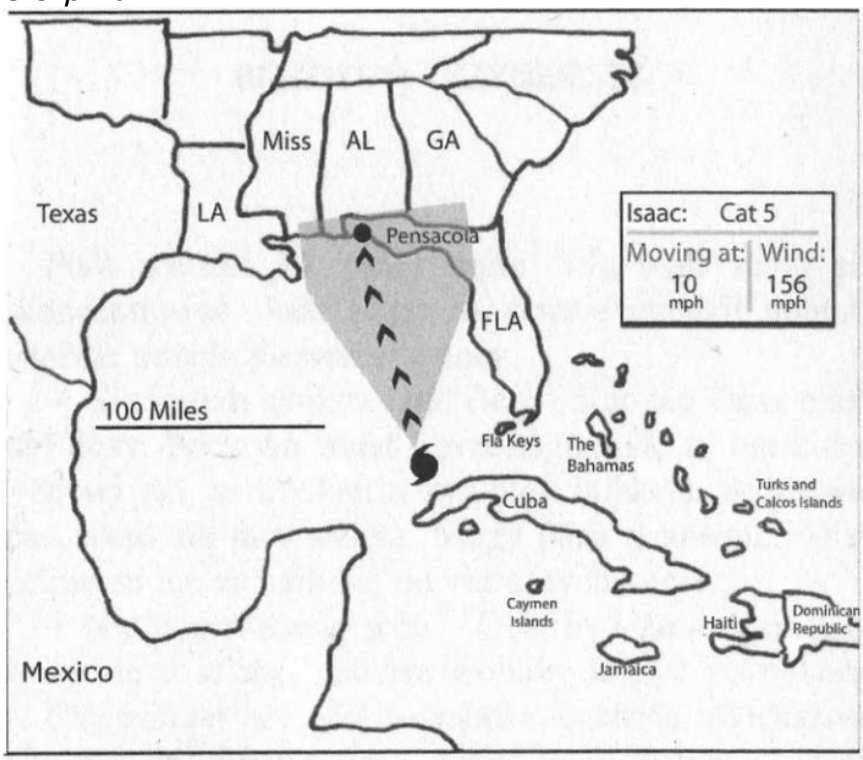

Isaac kat 5
Prędkość huraganu: 16 kilometrów na godzinę
Prędkość wiatru: 250 kilometrów na godzinę

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Platt widział jak przez mgłę. Siłą woli starał się skoncentrować. Jeśli zegar na ścianie chodził dobrze, właśnie minęła pierwsza w nocy.

— Nie jestem naukowcem, Ben. — Kapitan Ganz przetarł oczy. Po czym wstał i przeciągnął się za biurkiem.

— Mówi pan, że ta bakteria wywołuje infekcję, ale nie wie pan, skąd się tam wzięła. Mogę pana zapewnić, że ci żołnierze nie zarazili się do ciężarnych kobiet.

— Nie, nie rozumie pan. — Obaj byli zmęczeni. Platt oparł się o ścianę, chociaż wolałby krążyć po pokoju.

— *Clostridium sordelli* to rzadka bakteria. Większość przypadków śmiertelnych, jakie znam, miało związek z infekcjami ginekologicznymi po porodzie albo aborcji.

Ale sprawdziłem to raz jeszcze. Występowały również śmiertelne przypadki, które nie miały nic wspólnego z porodem.

— Na przykład?

Platt powściągnął ziewnięcie. Nie przyzna się Ganzowi, że rozmawiał z Biksem z Centrum Zapobiegania i Zwalczania Chorób, ale może podzielić się z nim usłyszanymi od Biksa informacjami.

— Odnotowano taki przypadek w Minnesocie. Rutynowa operacja kolana z pomocą tkanki od dawcy.

Ganz potrząsnął głową.

— Nasi dawcy, a także ich tkanki są dokładnie sprawdzane.

— Testujecie ich na HIV, zapalenie wątroby typu B i C i pewnie inne wirusy przenoszone przez krew. A co z zakażeniami bakteryjnymi?

Ganz wyciągnął rękę, wymacał za sobą krzesło i opadł na nie.

— Tylko część tych pacjentów otrzymała tkanki od dawcy.

— Ale zapewne wszyscy mieli w jakiejś formie przeszczepione kości?

— Nie, nieprawda.

— A pasta kostna? Cement?

— Chwileczkę. Fakt, że znalazł pan tę bakterię u jednego pacjenta, jeszcze nie znaczy, że wszyscy ją mają.

Platt wyjął z kieszeni koszuli zmiętą kartkę papieru, na której zanotował coś, co znalazł w internecie.

— Czy to panu coś przypomina? Dwa do siedmiu dni po zabiegu operacyjnym albo porodzie pacjent skarży się na ostry ból brzucha i nudności, wymiotuje, ale nie ma gorączki ani nadciśnienia. Kiedy pojawiają się wszystkie objawy, już wdała się sepsa. Pacjent dostaje zespołu wstrząsu toksycznego. Siedemdziesiąt do osiemdziesięciu procent pacjentów umiera w ciągu dwóch do sześciu dni od rozwoju zakażenia.

Ganz nadal kręcił głową.

— Czy ta infekcja jest zakaźna?

— Nie do końca wiadomo, jak i czy przenosi się z człowieka na człowieka albo z otoczenia na człowieka, ale moja logika podpowiada mi, z czym mamy do czynienia w tym wypadku. — Czekał, aż kapitan poświęci mu całą uwagę.

— Proszę mówić dalej, oczywiście.

Platt usiadł, żeby ich oczy znajdowały się na tym samym poziomie. Nie skrzyżował ramion ani nóg. Splótł dłonie, żeby ich nie wykręcać ani nie stukać palcami po stole.

— Proszę sobie przez chwilę wyobrazić, że ciało dawcy z jakiegoś powodu przez dwanaście godzin po śmierci nie zostało zamrożone czy też właściwie się nim nie zajęto.

— Osiemnaście godzin.

— Słucham?

— Limit czasu to osiemnaście godzin. Nasze regulacje mówią, że po osiemnastu godzinach ciało nie nadaje się do wykorzystania.

— Okej, niech będzie osiemnaście. Wie pan równie dobrze jak ja, że moment zatrzymania krążenia oznacza rozpoczęcie procesu rozkładu, zależnie od stanu, w jakim znajduje się ciało. Może nawet rozpocząć się niemal natychmiast. Zgaduję, że ta bakteria nie pochodzi z zakażonych narzędzi używanych do odzyskania tkanki czy podczas zabiegu operacyjnego. Uważam, że bakteria pochodzi z ciała zmarłego dawcy, ciała, które zaczęło się rozkładać. Tkanki i kości dawcy wykorzystywane są między innymi do produkcji śrub i pasty. Gdy tylko trafiają do ciepłego ludzkiego ciała, przeniesiona wraz z nimi bakteria robi to, co lubi najbardziej. Rośnie, mnoży się i rozprzestrzenia.

Cisza. Ganz patrzył na niego. Platt zdawał sobie sprawę, że ta kwestia wymaga przemyślenia, ale nigdy nie przewidziałby słów, które usłyszał od kapitana:

— Doceniam pańską opinię oraz to, że pofatygował się pan do nas tak szybko. To jasne, że powinien pan teraz odpocząć. — Znowu wstał, i tym razem Platt podniósł na niego wzrok. Czy to możliwe, że kapitan go odprawia, dyskwalifikuje jego teorię?

— Wezwę mojego kierowcę, odwiezie pana.

Z tymi słowy wyszedł z pokoju, zostawiając osłupiałego Platta samego. Ganz nie tylko odrzucił jego teorię, on go wysyłał do domu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

— Proszę mnie źle nie zrozumieć, O'Dell, ale wygląda pani jak siedem nieszczęść.

Maggie nie chciała wyznać Charliemu Wurthowi, że tak się w zasadzie czuje. Tej nocy nie przespała ani minuty.

Po przygodzie z helikopterem powinna paść na łóżko i zasnąć kamiennym snem, tymczasem od północy do drugiej spacerowała, podziwiając fale przy pełni księżyca. Liz uprzedziła ją, że samotne przebywanie na plaży nocą jest niebezpieczne, ale Maggie uznała, że to ostrzeżenie nie dotyczy kogoś, kto ma przy sobie smitha&wessona kaliber 38 przypiętego do pasa.

— Nie mogłam spać — powiedziała zwięźle Wurthowi. Nie było sensu opowiadać o przeciekających szufladkach w jej podświadomości i duchach dawnych spraw o morderstwo, które nie pozwalały jej zasnąć.

Wurth obiecał jej prawdziwe śniadanie. Teraz, kiedy puścił ją przodem w drzwiach do kawiarni, Maggie zrozumiała, że nie powinna się dziwić, widząc zupełnie obcych ludzi, którzy do nich machali i wołali „dzień dobry” i „cześć”. Wystarczyło, że Charlie Wurth spędził w tym mieście niespełna dwadzieścia cztery godziny, a już nie tylko znał wszystkich obecnych, ale wiedział, gdzie serwują najlepsze śniadania.

W Coffee Cup w centrum Pensacoli panował tłok. Niektórzy z klientów, ci w koszulach i pod krawatem, wlepiali wzrok w komputery kieszonkowe BlackBerry. Inni, w wysokich butach i dżinsach, siedzieli nad lokalnymi gazetami rozłożonymi na stolikach.

Pomimo stukotu naczyń, skwierczenia bekonu i pokrzykiwania kelnerek, które przekazywały kucharzom zamówienia, kilku klientów natychmiast rozpoznało Wurtha. Biznesmen zajmujący miejsce przy oknie pomachał do niego, a znów inny, przy bufecie, podniósł wzrok i kiwnął mu głową. Wysoka chuda kelnerka zwracała się do Wurtha „skarbie”, jakby byli starymi przyjaciółmi, i zaprowadziła ich do stolika, który właśnie sprzątano. Gdy tylko usiedli, podała menu.

— Dwie kawy? — spytała, energicznie stawiając przed nimi kamionkowe kubki.

— Dla mnie czarna, Rita, a dla mojej towarzyszki dietetyczna pepsi.

— Dietetyczna cola, okej, skarbie? — Kelnerka spytała Wurta, nie Maggie, zabierając jeden z kubków równie szybko, jak go postawiła.

Wurth spojrzał na Maggie i czekał na jej odpowiedź, więc Rita też przeniosła na nią wzrok. Maggie to doceniła. O ileż prościej byłoby mu rzucić: „Może być”, ale Charlie Wurth bardzo dbał o to, by otaczający go ludzie nigdy nie czuli się lekceważeni.

— Może być dietetyczna cola — odparła Maggie.

Rozglądając się po kawiarni, zaczekała, aż kelnerka się oddali, potem nachyliła się nad stolikiem.

— Jakim cudem zdążył pan poznać ich wszystkich?

— Piłem tu wczoraj kawę. Spotka pani wszystkich ważnych ludzi danej społeczności, jeśli trafi pani do właściwej knajpy. — Pomachał do dwóch wchodzących kobiet. — I niech mi pani wierzy — dodał z uśmiechem — kiedy zbliża się huragan, facet z rządowej agencji, który obiecuje sprowadzić na pomoc kawalerię, jest o wiele bardziej popularny niż Jim Cantore z kanału meteo. Przekona się pani, że pojawiło się już kilka znaków, które mówią, żeby lepiej trzymał się z daleka.

— Kto to jest Jim Cantore?

Wurth przekrzywił głowę, jakby chciał sprawdzić, czy Maggie pyta poważnie.

— Zapomniałem, że z pani huraganowa neofitka. Otóż ostatnio gdziekolwiek pojawiał się Cantore, tam uderzał huragan. Facet albo posiada niesamowitą

zdolność przepowiadania pogody, albo ma pecha. Tak czy owak, nikt nie chce go tu widzieć.

— On tutaj jest?

— Jeśli go jeszcze nie ma, to będzie. Wygląda na to, że Panhandle jest samym środkiem tarczy dla Isaaca.

Oparł znów plecy, kiedy zobaczył kelnerkę zbliżającą się do ich stolika. Przyniosła Maggie dietetyczną colę i parujący dzbanek z kawą, którą nalała Wurthowi.

— I co państwu podać? — Tym razem zwróciła się do nich obojga.

— Dla mnie omlet z serem i pieczarkami — odparła Maggie.

Kelnerka patrzyła na nią, jakby czekała na dalszy ciąg. W końcu spytała:

— To wszystko, skarbie?

— Musi pani wziąć do tego jakieś płatki — rzekł Wurth. — Przynieś je pani, Rita. Dla mnie jajecznica z dwóch jaj, kiełbaski, grzanka, starte ziemniaki smażone i płatki Nassau. — Gdy tylko kelnerka odwróciła się, Maggie uniosła brwi, na co Wurth zaczął się tłumaczyć:

— No co? Nadchodzi huragan. Może przez jakiś czas nie zjem gorącego posiłku. — Rozejrzał się wokół i pochylił nad stolikiem. — Nie wygląda to dobrze. Przeleciał przez Kubę, powodując spustoszenia. Ląd zwykle trochę hamuje huragan, działa jak próg zwalniający ruch na jezdni, niestety Isaac wkracza nad Zatokę Meksykańską jako huragan kategorii piątej, z ciągłym wiatrem o prędkości dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Po drodze nie ma nic, co by go spowolniło. Kolejny dzień nad tymi ciepłymi wodami i bestia może nabrać jeszcze więcej pary. Jeśli uderzy w ląd jako kategoria piąta, to będzie brutalne. Już nie po prostu zniszczenia, tylko katastrofalne zniszczenia.

Maggie potoczyła wzrokiem dokoła, opierając łokcie na stoliku i ściskając zaparowany plastikowy kubek.

— To dziwne, ale nie zauważam wielkiej paniki czy nawet niepokoju.

— Och, jest niepokój. Wczoraj ludzie ustawiali się w długich kolejkach. Sklepy wyprzedały wszystkie generatory i płyty ze sklejki, a półki w spożywczych świecą pustkami. Nie znajdzie pani nigdzie lodu ani wody w butelkach, a na większości stacji benzynowych nie kupi już pani paliwa. Ale ci ludzie — dyskretnie wskazał brodą — troszczą się o siebie i swoich sąsiadów. Wiedzą, co należy robić. Panhandle przeżyło już w tym roku dwa tropikalne sztormy, a trzy huragany uderzyły w wybrzeża Florydy. Oni są świadomi niebezpieczeństwa.

— To dobrze...

— Mówię o miejscowych, żyjących tu od zawsze. Są jeszcze tacy, którzy niedawno się tu przeprowadzili, a jest ich sporo. To ich muszę przekonać, żeby się ewakuowali, przenieśli do schronu, poszukali bezpieczniejszego miejsca. Dzisiaj w

późniejszych godzinach rannych lokalne władze ogłoszą stan zagrożenia. Zobaczy pani, jak do ludzi dotrze, że huragan jednak uderzy, ten stłumiony niepokój zamieni się w piekło. Atmosfera zrobi się gorąca, cierpliwość się wyczerpie, zaczną się przepychanki.

Rita znowu się pojawiła, tym razem z dwoma talerzami. Maggie musiała przyznać, że wszystko pachniało smakowicie, co przypomniało jej, że wczoraj nie jadła kolacji. Po przygodzie w helikopterze zupełnie straciła apetyt.

Odkroiła widelcem kawałek omletu. Roztopiony ser ciągnął się. Wurth posypał płatkami jajecznicę i za pomocą kawałka grzanki zaczął zjadać tę dziwną mieszankę.

— Nie do końca wiem, co mam z panią zrobić — rzekł między kęsami.

— Podrzuci mnie pan do kostnicy. Potem jakoś sama trafię do hotelu.

Potrząsnął głową, soląc i pieprząc smażone ziemniaki.

— Nie, nie, odbiorę panią i zawiozę do hotelu. Nie wiem, co z panią zrobić podczas huraganu. Nie możemy zostać na plaży. Większość gości hotelowych wyprowadza się dzisiaj rano. Kierownik robi przysługę, pozwalając nam zostać, dopóki sam nie otrzyma polecenia wyjazdu, co stanie się zapewne jutro, zależnie od tego, jak szybko znajdziemy się w strefie peryferycznej huraganu.

— Polecenie wyjazdu?

— Obowiązkowa ewakuacja plaży i przyległych terenów. Ludzie szeryfa chodzą od drzwi do drzwi. Każdy, kto nie chce wyjechać, musi podpisać, że zostaje na własne ryzyko i uwalnia władze od wszelkich dalszych zobowiązań.

— Gdzie pan będzie podczas sztormu?

— Pewnie będę pracował w jednym ze schronów.

— W takim razie ja też będę pracować w jednym ze schronów.

— Nie mam prawa pani o to prosić, Maggie.

— Nie prosi mnie pan. Zgłaszam się na ochotnika.

Odłożył widelec, wyprostował się i spojrzał na nią.

— Nie wiem, o czym ja myślałem, prosząc, żeby pani tutaj ze mną przyjechała. Podczas trzech huraganów w tym sezonie moja obecność działała odwrotnie niż pojawienie się Jima Cantore’a, bo gdziekolwiek mnie wysyłano, sztorm się odwracał i ruszał w przeciwną stronę. Ale powinienem wiedzieć, że szczęście też w końcu ode mnie się odwróci. Przywiozłem panią w samo oko cyklonu, który zapowiada się naprawdę fatalnie.

— Charlie, dam sobie radę. To tylko huragan. Nie może być taki straszny.

Wurth spojrzał na nią tak, iż zrozumiała, że nie ma o tym zielonego pojęcia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Scott Larsen wstał dość wcześnie, żeby wyjść z domu, zanim Trish się obudzi. Czuł się tak, jakby wcale nie spał. Powieki mu opadały, w głowie pulsowało, a w ustach i gardle miał tak sucho, jakby połknął watę. Kiedy się czesał, zdawało mu się, że nawet włosy go bolą. Już nigdy nie wypije takiej ilości alkoholu. Prawdę mówiąc, nie miałby nic przeciwko temu, żeby nie przełknąć już ani kropli żadnego trunku.

Na domiar złego zauważył, że Joe wrócił wczoraj do zakładu pogrzebowego. Wystarczyło przyciśnięcie jednego guzika i system alarmowy powiedział Scottowi, że ktoś posłużył się jego kluczem i kodem, i wchodził tutaj dziesięć po trzeciej w nocy, po czym wyszedł o czwartej. Co, do diabła, robił tutaj Joe?

Miał nadzieję, iż nie pożałuje, że podał Joemu swój kod. Podchodząc do tylnego wejścia, złapał się na tym, że wykrzywia twarz. Pulsujący ból przeniósł się za gałki oczne. Z przerażeniem pomyślał, że w pomieszczeniu do balsamowania zwłok mógłby znowu zastać jatkę. Już czuł ostrą woń środków czyszczących połączoną z... Co to było? No tak, mentol.

Zatrzymał się w drzwiach. Czysto, dzięki Bogu. Więc zapach pozostał z poprzedniego dnia. Może Joe dołożył coś do chłodni? Scott właśnie zamierzał to sprawdzić, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Zerknął na zegarek. Facet z zakładu energetycznego, którego wcześniej wezwał, zjawił się punktualnie. No i dobrze, bo słono każą sobie płacić za to tylko, że pokażą, jak podłączyć generator.

— Pan Larsen? — Mężczyzna górował nad Scottem. A może to masywny pas, który miał zapięty w talii, i buty robocze rozmiar 46 sprawiały, że wydawał się prawdziwym wielkoludem. Na kieszeni koszuli miał wyhaftowane swoje imię: Ted.

— Tak, zgadza się. — Scott poprawił krawat. To był nerwowy nawyk, więc szybko opuścił ręce. Głupio myśleć, że musi pokazać temu facetowi, kto tu rządzi. — Cała elektryka jest na zewnątrz, na tyłach budynku.

Scott prowadził. Czuł pot spływający po plecach, aż przylepiła się do nich świeżo wyprasowana koszula. Na szczęście trzymał w biurze czyste koszule. Nikt nie zaufałby spoconemu przedsiębiorcy pogrzebowemu.

Niebo było ciemne i ponure, ale chmury nie powstrzymywały lejącego się z góry skwaru, co najwyżej zwiększały wilgotność powietrza. Scott zauważył, że wiatr się wzmógł. Jasna cholera, ten huragan może rzeczywiście uderzyć.

— Tutaj proszę. — Wskazał metalowe pudełka z wychodzącymi górą i dołem przewodami.

Ted otworzył drzwiczki.

— Tak, ma pan wszystko dobrze ustawione.

Scott powściągnął westchnienie ulgi. Oczywiście, że miał wszystko dobrze ustawione, chciał tylko wiedzieć, jak podłączyć pieprzony generator.

— Wciska pan ten guzik — pokazał Ted. — A potem ten. W tej kolejności, okej? — Mówił tak, jakby klient chodził do podstawówki.

— Jasne. Rozumiem — odparł Scott, na końcu języka mając: „Ty dupku".

— A potem pociągnie pan za tę dźwignię.

— Dobrze, no to chyba już wszystko wiem. — Odwrócił się, gotowy odprowadzić gościa do wyjścia.

— Chwileczkę. Co to jest? — Ted otworzył kolejne pudełko.

— Dodałem to, jak kupiłem ten zakład. Dobudowałem przejście łączące oba budynki. Mam nowiutką chłodnię i dwie spore zamrażarki. Poprzednie były za małe i staroświeckie.

— Ale wie pan, że ten obwód nie jest podłączony?

— O czym pan mówi?

— Generator nie zasili panu żadnego z tych nowych urządzeń.

— Ależ nie, myli się pan.

— To nie jest podłączone. — Ted wskazał na miejsce pod skrzynkami.

— Ile czasu zabrałoby panu zrobienie podłączenia?

Ted zaśmiał się, zaraz jednak zobaczył panikę na twarzy Scotta.

— Człowieku, nawet gdybym potrafił to podłączyć, twój generator jest za słaby, żeby to wszystko zasilić.

— Więc co mam, do diabła, zrobić?

— Jeśli ma pan drugi generator, może go pan podpiąć bezpośrednio, proszę się tylko upewnić, że ma pan podwójnie izolowany przewód. Sama chłodnia potrzebuje jakieś pięć i pół tysiąca mocy.

— Mam pójść do sklepu i kupić generator o mocy pięciu i pół tysiąca wat? Nie ma sprawy.

— Pójść i kupić? Chce pan powiedzieć, że nie ma pan tutaj drugiego generatora?

— Nie.

— Niech pan użyje domowego.

— Nie mam w domu generatora. Więc każe mi pan jechać do Home Depot albo Lowesa, żeby go kupić?

Ted znowu się zaśmiał.

Wątpię, żeby pan dostał generator, w każdym razie nie w Pensacoli. Moim zdaniem już wszystkie wykupili.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Liz przyniosła „Pensacola News Journal” i podała ojcu gazetę, idąc do kuchni.

— Dziękuję, kochanie.

— Tato, nie zgadniesz, na kogo wpadłam wczoraj wieczorem na plaży.

— Na kogo?

— Na Scotta.

— Na Scotta?

— Scotta Larsena, twojego zięcia.

— Scott? Na plaży? Scott nigdy tam nie chodzi.

— Wczoraj wieczorem tam był, i to pijany.

— Pijany? Scott? Przecież on nie pije.

— Zalany w trupa.

— Może od czasu do czasu strzeli sobie piwko. Nigdy nie widziałem, żeby pił coś więcej. Co robisz? — Poszedł za Liz i stanął obok niej, bardziej zainteresowany kuchenką niż tym, co mówiła.

— Szykuję śniadanie.

— Jajka na bekonie?

— Jajka maczanki. — Ojciec je tak nazywał, ponieważ lubił moczyć grzankę w żółtku. Kiedy nic na to nie powiedział, Liz dodała: — Żółtkiem do góry, tak? Czy zmieniłeś upodobania?

— Nie, tak jest dobrze. — Stał i patrzył. — Potrafisz gotować?

— Tato, od ośmiu lat mieszkam sama. Myślisz, że cały czas jem na mieście?

— Trish mówiła, że nie umiesz gotować.

— Domyślam się.

— A co na to Trish?

— Na co?

— Na to, że Scott był pijany?

— Nie mówiłam jej o tym.

— Nie była z nim?

— Sądzisz, że upiłby się, gdyby z nim była?

— Straszne dziwadło. Ze mną nawet piwa nie wypije.

Walter potrząsnął głową. Stojąc obok lodówki, nalał

sok pomarańczowy do dwóch szklanek. Potem zrobił coś takiego, że Liz zbaraniała na moment, a mianowicie zaczął nakrywać do stołu. Postawił talerze, filiżanki do. kawy, cukier i śmietankę, położył sztućce, a nawet serwetki i podkładki. Liz powstrzymała się od komentarza. Trish z pewnością poprawiłaby coś, upewniła

się, że ojciec położył widelec z odpowiedniej strony talerza albo złożył serwetki jak należy, lecz ona tylko włożyła pieczywo do tostera.

— Mam dzisiaj wolne do południa — oznajmiła. — Może ci w czymś pomóc?

— W kantynie?

— Nie, tato. Tutaj, w domu. Mówię o przygotowaniach do huraganu. Masz wszystko, co potrzeba? Półki sklepowe są pewnie wymiecione.

W Apple Market dawali zniżki na wszystkie mrożonki. Mielona wołowina po dwadzieścia pięć centów za pół kilo.

— Lodówki masz chyba pełne?

— Może wezmę grilla i zrobię kilka burgerów prócz hot dogów.

— Naprawdę chcesz dzisiaj otworzyć kantynę? Na plaży?

— Na kilka godzin, w porze lunchu.

— Ludzie się pakują. Wszystko się zamyka.

— No właśnie, ci ludzie będą chcieli coś zjeść.

Nałożyła jajka na talerze i tym razem także powstrzymała się od komentarza. Ten bar uratował ojca. Liz rozumiała to doskonale, choć Trish nie chciała uznać tej prawdy. Po śmierci ich matki ojciec miał przynajmniej zajęcie. Nie robił tego dla pieniędzy. Dom był spłacony, wojskowa emerytura starczała mu ze sporym naddatkiem. Tyle że potrzebował zajęcia, a Kantyna Coney Island na nowo uporządkowała jego życie. Co ważniejsze, dzięki niej ojciec przebywał wśród ludzi. Wszyscy na plaży znali tego gościa od hot dogów, a ci, którzy znali go dobrze, nazywali go Panem B.

— Więc co każą ci dzisiaj robić? — spytał, maczając w żółtku róg grzanki.

— Pewnie wszystko po trochu: patrolować wody, ostrzegać łodzie, przynajmniej dopóki wiatr nie każe im się ewakuować. Wtedy będę pomagać w ewakuacji.

— Znasz Danny'ego? Pracuje w ekipie, która sprząta plażę. Taki nieduży. Zbzikował na punkcie pływania na desce. — Liz patrzyła na ojca kątem oka. Dosłownie pożerał przygotowane przez nią śniadanie. Miała ochotę się uśmiechnąć. To był największy komplement, jaki mogła otrzymać od Waltera Baileya.

— Widywałam go.

— Mieszka w aucie, w starym czerwonym chevrolecie impali.

— Mieszka w tym samochodzie?

— Sprawdź, czy się ewakuował, dobrze? On jest z Kansas, gdzie ścigają się z tornadem. Chcę mieć pewność, że mu się nie wydaje, że tak samo da się zrobić z huraganem.

— Dobrze, poszukam go.

— Powiedz no mi, co się stało z tą rybacką lodówką?

Zanim Liz odpowiedziała, rozległo się stukanie do drzwi, następnie usłyszeli klucz w zamku, a zaraz potem:

— Cześć, cześć! — Trish wparowała do kuchni. Nawet nie zauważyła, że zakłóciła im posiłek. — Zabiję tego mojego męża! — zaczęła natychmiast.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Maggie patrzyła na męski tors leżący na stole z nierdzewnej stali i nie mogła uciec od myśli, że wygląda jak kawał mięsa.

— Ciało było przechowywane w lodówce, prawdopodobnie zamrożone — rzekł doktor Tomich, koroner, do bezprzewodowego mikrofonu przyczepionego do ochronnego ubrania. Komentarz nie był przeznaczony dla widzów. Nagrywał go na własny użytek. — Cięcia precyzyjne, wykonane sprawnie, chociaż nie są chirurgiczne.

— Co to znaczy? — spytał Clayton, szeryf hrabstwa Escambia, który przystanął w kącie pomieszczenia, gdzie dokonywano autopsji. Tego ranka niecierpliwie odmierzał krokami długość ściany. — Nie chcę przeszkadzać — oznajmił wcześniej. Ale nie chciał też, by cokolwiek mu umknęło.

Formalnie rzecz biorąc, zawartość rybackiej lodówki podlegała kompetencji szeryfa. Kiedy znajduje się części ludzkiego ciała — w tym wypadku cały tors — zwykle sprawa podlega jurysdykcji hrabstwa. Maggie była świadkiem wielu sporów między agencjami ochrony porządku publicznego, dotyczących tego, kto za co odpowiada. Ten szeryf robił wszystko, byle zrzucić z siebie odpowiedzialność. Na jego obronę Maggie mogła powiedzieć, że był zajęty przygotowaniami do huraganu. Musiał się upewnić, czy ludzie są bezpieczni i gotowi na sztorm, to było o wiele pilniejsze niż jakieś ciało, które nie wiadomo jak długo było zamrożone.

— To znaczy, że ktoś, kto zrobił te cięcia, potrafi to robić fachowo, choć nie musi to być chirurg czy w ogóle lekarz.

— Skąd ma pan tę pewność?

Pochylony nad stołem Tomich wyprostował plecy. Kojarzył się Maggie ze Spencerem Tracym — srebrnosiwe włosy, czarne prostokątne oprawki, błyszczące niebieskie oczy, które przeszywają i czarują. Wschodnioeuropejski akcent — rosyjski, może polski — trochę psuł ten wizerunek. Kiedy się odwrócił, by spojrzeć na Claytona, przypominał Maggie z kolei jej nauczyciela historii z liceum, który także potrafił uciszyć uczniów przeszywającym wzrokiem.

— Pytam tylko... — szeryf się nie zniechęcił — gdzie można się nauczyć tak potraktować ludzkie ciało, jeśli nie na studiach medycznych?

— Może to kwestia praktyki? — wtrąciła Maggie, a szeryf i koroner niemal równocześnie ściągnęli brwi. — Seryjni mordercy często metodą prób i błędów doprowadzają swoje rzemiosło do perfekcji.

— Zakłada pani, że ten ktoś robił to nie po raz pierwszy? — spytał karcącym tonem Tomich.

— Może pan stwierdzić z jakąkolwiek pewnością, że tak nie jest?

Tym razem koroner wyglądał raczej na zmieszanego niż zirytowanego.

— Powiem inaczej. Pani domniemywa, że to przestępstwo, jednak w tej chwili nie znam jeszcze powodu śmierci. I nie widzę żadnych śladów morderstwa.

— Niech pan da spokój, doktorze — rzekł Clayton. — Jakim cudem fragmenty ludzkiego ciała wylądowałyby w rybackiej lodówce w Zatoce Meksykańskiej, gdyby najpierw nie doszło do przestępstwa? — Maggie była ciekawa odpowiedzi, ale szeryf, zamiast na nią poczekać, spytał: — Co to za zapach? — Wciągnął powietrze, ale nie odważył się podejść bliżej stołu. — Mentol?

— Maść VapoRub — odparła z przekonaniem Maggie.

— Dziwne. — Szeryf nadal wciągał powietrze nosem.

— Niekoniecznie — zapewniła go Maggie. — Jeśli chce się zabić zapach rozkładającego się ciała.

— Mimo wszystko to nie stanowi dowodu morderstwa — upierał się koroner.

Mężczyzna w niebieskim fartuchu wszedł bocznymi drzwiami, pchając wózek z nierdzewnej stali. Z początku Maggie pomyślała, że to drugi lekarz albo patolog, dopóki nie odezwał się do Tomicha:

— Tutaj są pozostałe części.

— Dziękuję, Matthew.

— Klisze są na półce. Będę obok, gdyby mnie pan potrzebował.

— Obok? Będziesz gotował moje kości?

— Tak, proszę pana.

Tomich spojrzał na Maggie, a potem na Claytona, z przyjemnością zauważając ich zdumienie.

— Ktoś znalazł pogrzebane kości. Wątpię, by były ludzkie, ale sprawdzimy to. Matthew to mój wierny asystent. On ma najlepszą zabawę.

— Tak, najlepszą. — Matthew uśmiechnął się, jakby to był ich prywatny żart. Najwyraźniej wcale mu nie przeszkadzało, że musi obgotowywać kości, podczas gdy, prawdę mówiąc, większość asystentów, których poznała Maggie, równie fachowo wykonywało sekcje, co ich szefowie.

Matthew wyszedł, a Tomich zsunął na nos okulary ochronne, po czym wziął do ręki elektryczną piłę do cięcia kości. Maggie spostrzegła, że szeryf pobladł jak ściana.

— No, muszę zadzwonić w kilka miejsc. — Wskazał kciukiem wyjście, ze wszystkich sił starając się nie okazać paniki.

Koroner odprowadził go wzrokiem i zaczekał, aż drzwi się za nim zamkną. Potem odwrócił się do stołu z narzędziem w dłoni. Nie patrząc na Maggie, potrząsnął głową i rzekł:

— Politycy. Powinienem im zabronić wstępu podczas autopsji. — Nagle na nią zerknął. — Pozwoli pani, że zacznę?

— Proszę bardzo.

Włączył piłę i już po chwili przeciął wzdłuż klatkę piersiową. Odłożył piłę. Wsadził w nacięcie długie palce w rękawiczkach i rozsunął na boki żebra, odsłaniając serce i płuca. Niemal natychmiast coś zwróciło jego uwagę.

— Co tam jest? — chciała wiedzieć Maggie.

— Chyba mamy szczęście. Powiem pani dokładnie, kim jest nasza ofiara. — Chwycił kleszcze i skalpel i zaczął znów ciąć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Scott przeglądał książkę telefoniczną. Jak to możliwe, że w całym mieście nie można kupić ani jednego generatora? Dzwonił nawet do Mobile i Tallahassee. Na koniec zadzwonił do Home Depot, a gdy przedstawił swoją prośbę, kierownik, porzuciwszy zawodową uprzejmość, po prostu go wykpił. Był tak rozbawiony, że nie mógł opanować śmiechu. W końcu Scott rozłączył się z tym dupkiem.

Tego dnia jego pracownicy mieli się pojawić dopiero po lunchu. Jeszcze nawet nie zaczął szykować się do ceremonii pogrzebowej. Już on dopilnuje, żeby jego ludzie zasłużyli dzisiaj na swój zarobek. Dzięki Bogu nie musi balsamować ciała. Rodzina nie zdecydowała się na otwarcie trumny. Nigdy się nie dowiedzą, że w środku nie ma drogiego wujka Mela. To wina sztormu, nie jego. Jeśli elektryczność wysiądzie, a on nie będzie miał generatora, który podłączy do chłodni, nie weźmie przecież tych wszystkich części ciała z sobą do domu.

Już sobie wyobrażał, jak powie do żony:

— Aha, Trish, mam kilka pakuneczków do schowania w zamrażarce.

Chociaż i tam brakowało miejsca. Nie posiadał, jak Walter Bailey, dwóch dodatkowych chłodziarek w garażu. Teść miał także więcej niż jeden generator, czego Scott był pewien. Prawdę mówiąc, kiedy ostatnio straszyli huraganem, Walter chwalił się, że ma dwa czy nawet trzy generatory. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Po prostu pożyczy generator. Nie, teść nigdy się na to nie zgodzi. A może jednak? Nie, raczej nie. Teść strasznie się cacka ze wszystkim, co do niego należy, włączając w to jego córkę.

Inne wyjście było tylko takie, by przenieść wszystko z chłodni do osobnych zamrażarek. Ale to złe wyjście.

Znowu odezwał się dzwonek u drzwi. Scott omal nie podskoczył. Tym razem był to kurier z FedEksu.

Wyładował już dwa pudła i postawił na nich trzecie, a następnie podał podkładkę do podpisu elektronicznego.

— Tu nie jest nigdzie zaznaczone, że w środku są płyny — powiedział kurier. — Cokolwiek tam jest — wskazał na ostatnią paczkę i wyciekającą z niej różową ciecz. — To na, pewno jest wbrew przepisom.

— Nie ja to wysłałem. — Scott uniósł ręce.

Facet nic nie powiedział, tylko rzucił oskarżające spojrzenie. Gdy tylko ruszył z powrotem do furgonetki, Scott zaczął przenosić pudla do środka, żeby nie stały na widoku i w upale. To pewnie przesyłki, o których wspominał Joe. Kiepsko je zapakował. Co on sobie myśli?

Podniósł felerną paczkę, chwycił ręcznik, owinął go wokół przeciekającego brzegu i ruszył do chłodni. Postanowił zostawić tam wszystkie przesyłki, żeby Joe się nimi zajął. Kiedy wszedł do pomieszczenia, stanął jak wryty i omal nie upuścił pudła. Na wózku na samym środku leżało nagie ciało chłopca. Przyglądając się bliżej, Scott przekonał się, że tak naprawdę to niewysoki drobny młody mężczyzna.

Joe nie wspominał o całych nieboszczykach, tylko o fragmentach. Czy zamierzał pociąć te zwłoki, zanim nadejdzie huragan? I właściwie jak i skąd przywiózł to ciało w niedzielę w środku nocy?

Scott domyślał się, że Joe prawdopodobnie odebrał je z innego zakładu pogrzebowego, z którym współpracował. Podczas pierwszego spotkania powiedział Scottowi, że otrzymuje ciała z uniwersyteckiego programu dawców oraz należących do hrabstw kostnic i krematoriów. Tak pewnie było i w tym wypadku. Jakaś instytucja opróżnia magazyny przed sztormem.

Och, co to... Tym razem pudło wypadło z rąk Scotta.

Albo zaczynał wariować, albo te zwłoki właśnie się poruszyły.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Maggie nie rozpoznała przedmiotu, który doktor Tomich wyjął z torsu, ale domyślała się, co to może znaczyć. Szeryf Clayton już wrócił. Stał przy zlewie, spoglądając przez pochylone prawe ramię koronera.

— To defibrylator — oświadczył Tomich, kiedy polał go wodą, po czym sięgnął w bok, odsuwając szeryfa łokciem, i nacisnął interkom. — Matthew, chodź tutaj. Chcę, żebyś sprawdził numer seryjny.

— To się wydaje zbyt proste — rzekł Clayton. — Mówi mi pan, że na tym aparacie jest jakiś numer i po nim dojdziemy do tego, do kogo należy tors?

— Właśnie to miałem na myśli.

— Sir. — Matthew pojawił się tak nagle i bezszelestnie, że nikt nie zauważył jego wejścia.

Maggie złapała się na tym, że zerka na jego buty. Podobnie jak oni wszyscy miał na nogach papierowe ochraniacze.

Doktor Tomich odłożył defibrylator na tacę z nierdzewnej stali i przekazał ją Matthew.

— Sprawdź to, proszę. I podaj mi nazwisko pacjenta oraz lekarza.

— Tak, proszę pana.

Kiedy koroner nachylił się znów nad torsem, zauważył, że Maggie patrzy na wózek, gdzie leżały stopa i ręce.

— Widzę, że to panią intryguje.

Dosyć dziwne sformułowanie, pomyślała.

— Skrzywienie zawodowe — odparła lakonicznie.

Tomich kiwnął głową. Pochylił się, jakby składał hołd, a potem zrobił coś, co zaskoczyło Maggie. Wziął do ręki odciętą stopę i położył ją na drugim stole z nierdzewnej stali.

— Przyjrzymy się jej. — Jedną ręką przesunął na nos ochronne okulary, a drugą machnął w stronę torsu. — Ten dżentelmen nie będzie miał nic przeciw temu, żebyśmy zaczekali, aż Matthew powie nam, jak się nazywa.

To była nieoczekiwana i rzadka uprzejmość. Maggie wiedziała, że nie zdołała ukryć zaskoczenia, ale doktor Tomich niczego nie zauważył. Właśnie otwierał kolejne pudełko z narzędziami i szykował się do nagrania. Szeryf Clayton, który brzydził się spojrzeć na tors, bez problemu podszedł bliżej, żeby popatrzeć na odciętą stopę.

— Próbuje pani dopasować to do którejś ze swoich spraw?

Maggie dopiero po paru sekundach zorientowała się, że Tomich mówi do niej, a nie do bezprzewodowego mikrofonu.

— Nie, tym razem nie. Z iloma ofiarami mamy do czynienia pańskim zdaniem?

— Co najmniej z dwiema. — Tomich pochylił się nad stołem i rozpoczął badanie. — Ale może i pięcioma. Powiedziałbym to pani szybko po prostym badaniu krwi, drogą eliminacji, choć jeśli wszystkie części mają krew tej samej grupy, musimy zaczekać na testy DNA.

— Jeżeli ręce nie należą do tego torsu — rzekł szeryf Clayton — możemy nie dowiedzieć się, do kogo należały. Odciski palców niewiele nam dadzą, jeśli nie znajdziemy ich w bazie danych.

— To ciekawe. — Doktor Tomich wskazał na kostkę. — Coś jest pod skórą.

Wziął skalpel i przewrócił stopę na bok, kostką do góry. Naciął i zaczął wyjmować coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na kawałek metalu. Kolejne medyczne ustrojstwo? Klamerka czy zacisk przedzierający się na zewnątrz?

Tomich podniósł mały przedmiot do światła, trzymając go szczypcami.

— To fragment kuli? — spytał szeryf Clayton.

Koroner upuścił przedmiot do miski z nierdzewnej stali, po czym powiedział:

— Jest tego więcej. — Wyciągnął i wrzucił do miski jeszcze cztery kawałki metalu, znajdujące się głęboko w stopie.

— Postrzał? — spytał znów szeryf.

Zanim koroner podjął decyzję, dołączył do nich Matthew. Tym razem szeryf aż podskoczył, ale odchrząknął i przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, jakby tylko chciał zmienić pozycję.

— Sir, mam informacje, o które pan prosił.

— Na temat tego pacjenta z defibrylatorem? Tak szybko?

— Tak, sir. To numer Vince'a Cofflanda z Port Saint Lucie na Florydzie.

— Port Saint Lucie? — wtrącił szeryf Clayton. — To prawie tysiąc kilometrów stąd, nad Atlantykiem. Jak, do diabła, znalazł się w pływającej w Zatoce Meksykańskiej lodówce?

— Dowiedziałeś się może, co stało się z panem Cofflandem? — spytał Tomich swojego pomocnika.

— Zaginął dziesiątego lipca po huraganie Gaston.

— Zaginął?

— Zniknął bez śladu.

— No to się — mruknął Tomich, patrząc na agentkę O'Dell

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Czasami zwłoki się poruszają. Scott wiedział, że nikt nie lubi o tym mówić, chyba że na konferencjach po paru głębszych. Zresztą nigdy dotąd się z tym nie zetknął. Słyszał różne opowieści od tych, którzy doświadczyli czegoś, co nazywali spontanicznym ruchem zmarłego. Noga albo ręka wykonywała nagły krótki ruch. Nie pamiętał dokładnie, co go powodowało, jakaś biochemiczna reakcja. Zwykle zdarza się to w ciągu pierwszych dziesięciu do dwunastu godzin po śmierci. Może i tym razem tak było. Kiedy jednak Scott zadzwonił do Joego, popadł w przesadę.

— Ten sztywniak, którego zostawiłeś w mojej chłodni, wciąż żyje.

— O czym ty mówisz?

— Poruszył się.

Cisza wystarczająco długa, by Scott przemyślał swoją reakcję. Czy Joe uzna go za histeryka? Pomyśli, że nie potrafi sobie radzić z dodatkową pracą?

— Posłuchaj — rzekł w końcu Joe ze zwykłym spokojem. — Zdawało ci się, to tylko twoja wyobraźnia. — Potem dodał, jak kumpel do kumpla: — Stary, wczoraj wieczorem sporo wyżłopałeś.

Było coś takiego w jego głosie — i w tym, że go nazwał „starym” — co uspokoiło Scotta... przynajmniej trochę.

Kiedy pół godziny później zjawił się Joe, Scott już niemal przekonał sam siebie, że faktycznie ma bujną wyobraźnię. W głowie nadal mu pulsowało, a wcześniej widział jak przez mgłę. Nie zaglądał więcej do chłodni, a teraz czuł się trochę głupio.

Próbował się skoncentrować, wynajdując zajęcia podwładnym i przygotowując się do ceremonii pogrzebowej wujka Mela, kawalera samotnika, którego rodzina chciała pochować przed uderzeniem huraganu. Zabronił pracownikom wchodzić do pomieszczeń na tyłach pod pretekstem odkażania przejścia między budynkami. Nawet w jego uszach brzmiało to absurdalnie. Po co cokolwiek odkażać przed huraganem? A jednak nikt nie kwestionował jego wyjaśnień, co tylko potwierdzało, że jest zawodowcem. Do diabła, był dobry. Nawet w sytuacji kryzysowej, w stresie potrafił wiarygodnie kłamać.

Zostawił Joego w chłodni jedynie na dwadzieścia minut. Gdy tylko mógł, ruszył tam, wychodząc na zewnątrz i unikając przejścia między budynkami. Joe akurat zamykał chłodnię.

— Hej, Scott — powiedział. — Muszę ci powiedzieć, bracie, szkoda, że nie słyszałeś swojego głosu. „Sztywniak się poruszył”. — Zaśmiał się, klepiąc go między łopatki.

— Tak, pewnie za dużo szkockiej.

— Albo za mało. — Joe wyciągnął portfel i zaczął z niego wyjmować banknoty studolarowe. — Przed sztormem będę musiał jeszcze co nieco tu dołożyć, jeśli nie masz nic przeciwko. — Położył banknoty na rogu biurka.

— Aha... dzięki. — Scott nie był w stanie jednocześnie liczyć i słuchać.

— Wrócę jutro wieczorem. Spróbuję pociąć i spakować, ile się da. Dzięki temu zajmę ci mniej miejsca.

— Jasne, nie ma sprawy. — Wysiłkiem woli odwracał wzrok od pliku studolarówek.

— Zaprosiłbym cię znów na kolację, ale chyba powinieneś odpocząć — stwierdził Joe z uśmiechem, takim uśmiechem, jaki towarzyszy określeniom w rodzaju „bracie”. — To na razie.

Scott także się uśmiechnął i kiwnął głową, od razu poczuł się lepiej, przypominając sobie, że zrobił świetny interes i że naprawdę lubi Joego Blacka.

Westchnął głęboko. Ale kiedy odprowadzał Joego wzrokiem, spostrzegł coś na nogawce jego szortów. Już chciał zwrócić mu na to uwagę, kiedy się zorientował, że wygląda to na krew. Jasnoczerwoną, nie różową. Czerwona plama z krwi. Zwłoki nie chlapią taką krwią.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Gdyby Isaac nie kierował się dokładnie na Panhandle, Liz Bailey miałaby wolny dzień. Według najnowszych prognoz huragan miał uderzyć wcześniej, niż przewidywano. Wiatr i fale sugerowały, że nowe prognozy są uzasadnione.

Na Liz silny wiatr nie robił wrażenia. Zastanawiała się, jak czuje się przy takiej pogodzie porucznik komandor Wilson. Ściskał ster z całej siły i walczył z każdym porywem wiatru. Zdawało jej się, jakby jechała samochodem z kierowcą, który stale na przemian przyśpiesza i hamuje, a do tego od czasu do czasu szarpie.

Kesnick spojrzał na nią. Siedząc bezpiecznie plecami do Wilsona i Ellisa, przewrócił oczami. Liz powściągnęła uśmiech.

Z góry widzieli wioślarzy, którzy wracali wcześniej do domu, słuchając rad meteorologów. Wszystkie mariny były zapełnione, a stały jeszcze kolejki łodzi, które chciały zacumować. Nie było pewniejszego zabezpieczenia niż wyciągnięcie łodzi z wody czy zmiana kursu tak daleko na północ, jak to tylko możliwe. Niektórzy próbowali płynąć w górę rzek i tam zapłacić za możliwość zacumowania łodzi z dala od huraganu.

Widzieli także pierwsze oznaki sztormu. Fale już uderzały o wały i rozbijały się na plaży, sięgając nawet wydm. Nieliczni surferzy korzystali jeszcze z pogody, z góry wyglądali jak barwne plamy kołyszące się na falach, podskakujące i znikające z widoku.

Liz uważnie wszystkiemu się przyglądała, próbując zapamiętać, jak to wygląda przed uderzeniem Isaaca. W dwa tysiące czwartym roku huragan Ivan zdziesiątkował tę okolicę, burząc i młócąc wszystko po drodze. Na Panhandle sosny rosły obok palm. Parki narodowe, które pokrywają wiele hektarów ziemi, zamieniły się w cmentarzysko połamanych patyków. Czteropasmowe autostrady wyglądały tak, jakby jakiś olbrzym wygryzł kęs asfaltu, przeżuł go i wypluł. Potężne dęby, liczące sobie setki lat, które rosły wzdłuż cieśniny Santa Rosa, zostały poprzewracane, a splątane korzenie sterczały na wysokość dwóch pięter.

Plaża Pensacola liczy sobie około trzynastu kilometrów długości i tylko czterysta metrów szerokości w najszerszym miejscu. Z jednej strony znajduje się półwysep z cieśniną Santa Rosa, a z drugiej Zatoka Meksykańska. Podczas

huraganu Ivan te dwie masy wody wymieszały się, zlały się w jedno, spotykając się na samym środku.

Liz pamiętała, że segregacja i uprzątnięcie śmieci z piasku na plaży zajęło całe lata. Nabrzeże okupowały pokaźne maszyny, dźwigi na długo wrosły w linię horyzontu. W całej okolicy widać było dachy z niebieskiego brezentu. Huragany wszystkich traktują jednakowo. Liczący sobie około pięciu kilometrów długości most I-10 między hrabstwem Escambia a hrabstwem Santa Rosa odbudowywano trzy lata. To była wielka niedogodność dla społeczności połączonej mostami, kiedy cztery najważniejsze zostały w ten czy inny sposób uszkodzone przez groźny atak sztormu.

Liz nie było tutaj podczas huraganu Ivan, bo właśnie skończyła szkolenie w Elizabeth City. Z jakiegoś powodu zawsze żałowała, że nie widziała tamtego huraganu. To głupie, przecież i tak jej obecność wiele by nie zmieniła. Pewnie było to podświadome poczucie winy. Może tym razem uda jej się coś zmienić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Walter Bailey postanowił już zamknąć interes, chociaż tego dnia klientów nie brakowało. Nie podobało mu się, jak wiatr kołysze kantyną. Trzy lata temu kupił ten bar na kółkach od Intendentury Marynarki. W zasadzie nie szukał pracy, tylko jakiegoś zajęcia, które wypełniłoby mu czas. Wraz z żoną Emilie niecierpliwie wyczekiwał wczesnej wojskowej emerytury. Po wszystkich tych latach sześciomiesięcznych rejsów i rozstań mieli długą listę tego wszystkiego, czego w przerwach między jego wyjazdami nie zdążyli zrobić. Emilie zmarła, zanim się do tego zabrali.

W pierwszym roku po jej śmierci Walter zdał sobie sprawę, że jego nowe hobby przez innych nazywane są uzależnieniami. Musiał pogodzić się z faktem, że niczym nie zabije bólu. Są takie straty, takie braki, których nie da się wypełnić i zastąpić.

Wówczas stwierdził, że musi znaleźć sobie jakieś zajęcie. Wtedy właśnie narodził się pomysł Kantyny Coney Island. Bar na kółkach, choć z nierdzewnej stali, był w kiepskim stanie, kiedy Walter go kupił. Zniszczony i zardzewiały, nadal jednak działał. Wyczyścił kantynę porządnie, w środku wypolerował nierdzewną stal, z zewnątrz pomalował na czerwono, biało i niebiesko. Powiesił zasłonki w paski i gwiazdy, jak narodowa flaga, i nadał kantynie nazwę jednego z ulubionych miejsc w dzieciństwie. Nigdy nie chodziło mu o zarobek. Najważniejsze, że miał co z sobą zrobić i przebywał wśród ludzi, dzięki czemu nie myślał wciąż o pustce, o tym pustym miejscu w swoim sercu.

— Pakujesz się, Walter?

Wystawił głowę na zewnątrz przez boczne drzwi i zobaczył Charlotte Mills w charakterystycznym kapeluszu z opadającym rondem i kocich okularach. Kapelusz był zbyt duży, a okulary zbyt jaskrawe jak na tę drobną, łagodną osóbkę. Podwinęła nogawki spodni. Na obcisły top włożyła długą białą bawełnianą koszulę. Żółte klapki podkreślały jaskrawoczerwone paznokcie. Kieszenie miała pełne muszli. Zanim Scott ją poznał, nazywał ją plażową wdową, ale tylko po cichu.

— Zostały mi jeszcze dwa ciepłe hot dogi, jeśli masz ochotę.

— Tylko jeżeli masz czas. Wszyscy się dzisiaj tak śpieszą.

— A ty się stąd nie zwijasz?

— E tam. — Machnęła rączką, taką ptasią łapką. — Przeżyłam już gorsze rzeczy niż ten nadciągający huragan. Ostatnim razem wyjechałam, a potem przez wiele tygodni nie wpuszczali nas na plażę.

— Jeśli mnie pamięć nie myli, most się zawalił.

— Tak w każdym razie mówili.

Lata temu mąż Charlotte zginął w katastrofie lotniczej, kilka dni przed terminem, kiedy miał zeznawać w sprawie przeciwko senatorowi z tego stanu. Nigdy nie dowiedziono, że było to coś więcej niż zwykły nieszczęśliwy wypadek, ale Charlotte miała na ten temat własne zdanie. Walter zastanawiał się, czy zawsze wyznawała teorię spiskową, gdyż wszędzie dopatrywała się jakiegoś spisku.

— To będzie silny sztorm. — Podniósł szybę okienka i zaczął przygotowywać hot doga. Postanowił sam też zjeść. — Jeśli nie masz gdzie się ukryć, zapraszam do mnie. Mój dom stoi sporo nad poziomem wody i jest jakieś czterysta metrów od zatoki Escambia. Prócz mnie będzie tam tylko moja córka, może też zięć.

— To miło z twojej strony, Walterze, ale zostanę tutaj. Zabiłam już okna płytami ze sklejki. Mam mnóstwo baterii i generator gotowy do pracy w garażu.

— Charlotte, a pamiętasz, jak Ivan zalał większość tych domów na plaży i zasypał je piachem?

— Mój jest z pustaków. Przetrwał Ivana, to i teraz przetrzyma.

— Cześć, panie B.

— No, no, czy to nie syn Phillipa Norrisa?

Walter omal nie pożałował, że pamięta, jak nazywał się ojciec tego młodego człowieka. Na twarzy Norrisa malowało się zdumienie połączone z zażenowaniem. Było oczywiste, że nie chciał, by Walter to pamiętał.

Przedstawił mu Charlotte, dając sposobność, by sam się przedstawił, jeśli zechce oczywiście. Norris z zadowoleniem wyciągnął rękę i powiedział:

— Joe Black.

— Właśnie staram się przekonać Charlotte, że powinna wynieść się z plaży na czas sztormu.

— Mam ładny piętrowy dom z pustaków, daleko od wody. Nic mi nie grozi.

— Ludzie znikają podczas huraganów — stwierdził Joe, na co Walter i Charlotte spojrzeli na niego, zaskoczeni taką obcesowością. — Po huraganie Ike, który uderzył w Galveston w Teksasie, zaginęło trzysta osób. Mówię tylko, że to się zdarza. Naprawdę niech pani lepiej to przemyśli.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Maggie spędziła resztę popołudnia w pokoju hotelowym. Na parkingach ludzie pakowali dobytek i szykowali się do ewakuacji z plaży. Zamknięto większość sklepów, właściciele zabili okna i drzwi deskami. Tylko surferzy mknęli jeszcze po falach. Niektóre restauracje były wciąż otwarte. Tiki Bar oferował darmowe drinki aż do wyczerpania.

Kierownik hotelu oznajmił, że będzie na miejscu, aż władze zamkną most, dodał przy tym, że Maggie i Wurth też mogą zostać do tej pory. Prawie wszyscy pozostali goście już się wymeldowali. Na podstawie kompletnej ciszy Maggie przypuszczała, że jest jedyną osobą na całym piętrze.

Szeryf Clayton okazał się na tyle uprzejmy, że odwiózł ją na plażę Pensacola po zakończeniu autopsji.

— Przepraszam, nie na wiele się przydałem — powiedział. — Skontaktuję się z rodziną Vince'a Cofflanda, ale wszystkie inne sprawy muszą poczekać, aż przejdzie huragan.

Poprosiła go o numer telefonu komórkowego wdowy po Cofflandzie. Jeśli zechce rozmawiać o szczegółach zniknięcia męża, Maggie chętnie by jej wysłuchała. Clayton nie miał nic przeciwko.

Teraz popijała dietetyczną pepsi i czekała, aż laptop się załaduje. Zerknęła przy tym na komórkę. Żadnych nieodebranych połączeń. Żadnych wiadomości... od nikogo. Włączyła telewizor na kanał meteo, ale ściszyła głos. Od czasu do czasu podnosiła wzrok na przedstawioną na ekranie trasę przesuwającego się Isaaca. Zauważyła, że jeden z reporterów, przystojny, z ogoloną głową, o świetnej sylwetce, stał na brzegu zatoki z wysokimi szmaragdowo zielonymi falami. Przeczytała przesuwający się na dole napis:

Jim Cantore donosi z Pensacoli — Och, Charlie, on tu jest. — Uśmiechnęła się i zaczęła notować to, co było warte zapamiętania.

Clayton miał rację co do odciętych rąk i odcisków palców. Nie znaleźli odcisków w bazie danych, więc będą musieli poczekać na wyniki testu DNA, żeby sprawdzić, czy któraś z rąk należała do Vince'a Cofflanda. Proste badanie krwi już wykazało, że

stopa należała do kogoś innego. Vince Coffland miał grupę krwi typu B, krew pobrana ze stopy była krwią grupy O. W hotelowym notesie Maggie zapisała:

Coffland zaginął 10 lipca

Port Saint Lucie znajduje się prawie tysiąc kilometrów stąd.

Stopa: fragmenty metalu, należy to innej ofiary Plastikowa folia: gruba warstwa (użytek komercyjny?) Rybacka lodówka: dlaczego?

Lina mocująca: mocna syntetyczna lina ręcznej roboty, niebieskie i żółte włókna.

Gdyby stopa należała do Vince'a Cofflanda, Maggie miałaby wyjaśnienie. Słyszała, że w ciałach ofiar sztormu — ofiar, które przebywały akurat na zewnątrz — czasami znajdowano różne dziwne rzeczy, na przykład kawałki izolacji, azbestu, winylu i odłamki szkła.

Spytała doktora Tomicha, czy mogłaby pożyczyć jeden z fragmentów metalu. Trzymała go teraz w dłoni, w plastikowym woreczku. Położyła go przed sobą na biurku. To na pewno był metal, zagnieciony i zniszczony. Ale skąd pochodził?

Może to kawałek czegoś, co zostało zerwane i porwane siłą wiatru? Jeśli stopa nie należy do Cofflanda, czy wolno domniemywać, że należy do innej osoby, która także zaginęła podczas huraganu Gaston?

Dopisała do listy:

Sprawdzić inne ofiary zaginione podczas HG

Przekazała szeryfowi Claytonowi naklejkę — czy też to, co uważała za naklejkę — znalezioną wewnątrz lodówki. Zapisała sobie jednak to, co na niej przeczytała. Wyjęła kartkę i położyła ją na biurku obok kawałka metalu.

NTSM

DESTIN: 082509

8509000029

Uważała, że w drugiej linijce znajduje się data, którą odczytała jako 25 sierpnia 2009 roku. Nie miała pojęcia, co oznacza NTSM. To pewnie jakiś skrót, podobnie jak DESTIN, ale czego? Ostatnia linijka mogła przedstawiać numer seryjny, nie odpowiadał jednak numerowi seryjnemu defibrylatora.

Zerknęła na ekran telewizora. Jim Cantore pokazywał właśnie mapę Panhandle na Florydzie. Nagle coś przyciągnęło jej uwagę. Na prawo od Pensacoli znajdowała się miejscowość Destin. Czy to możliwe, że druga linijka na naklejce oznacza Destin w stanie Floryda? Sięgnęła po hotelowy aparat, żeby sprawdzić zamieszczone na nim instrukcje, a także numer telefonu hotelu. No jasne, 850 to był kierunkowy. A zatem trzecia linijka to nie numer seryjny, tylko numer telefonu.

Co jej szkodzi sprawdzić? Wybrała numer w komórce, nacisnęła „Połącz" i czekała. Słyszała sygnał, więc gdzieś tam telefon dzwonił. Skupiła się, zwolniła oddech. Wytarła wilgotną od potu dłoń i przeniosła telefon do drugiej ręki. Trzy

sygnały. Czy osoba po drugiej stronie linii oczekuje któregoś z pakunków ukrytych w rybackiej lodówce?

Odezwał się kobiecy głos:

— Nowoczesne Technologie w Służbie Medycyny, słucham?

Maggie natychmiast przeniosła wzrok na kartkę papieru. NTSM.

— Chciałabym rozmawiać z kimś na temat pewnej przesyłki.

— Ma pani dla nas przesyłkę? Czy może na jedną z naszych konferencji?

— Tak, tak sądzę.

— To powinna pani rozmawiać z Lawrence'em Piperem. Nie ma go dzisiaj. Czy mam poprosić, żeby do pani oddzwonił?

Maggie podała swoje nazwisko i numer telefonu. Ledwie się rozłączyła, jej telefon już dzwonił.

— Maggie O'Dell.

— Cześć, mówi Tully. Chyba wreszcie znalazłem tę twoją linę.

— I co to jest?

— Lina o wysokiej wytrzymałości, odporna na działanie promieni słonecznych, związków chemicznych, powlekana modyfikowaną żywicą.

— Chwileczkę. Potrafisz to wszystko powiedzieć na podstawie moich zdjęć?

— Splot jest unikalny. Zeskanowałem kilka bliskich ujęć i trafiłem.

Maggie miała nadzieję, że lina doprowadzi ich do zabójcy.

— Więc znalazłeś producenta?

— Ningbosa Materiał Company. Specjalizują się w produkcji powłok kuloodpornych, odpornych na dziurawienie tkanin i tym podobne.

— To gdzieś w pobliżu?

— W Zhejijan w Chinach.

— Żartujesz?

— Nie wiem, czy dobrze to wymawiam. Mój chiński wymaga pracy.

— W sumie nie powinnam się dziwić. Dzisiaj wszystko produkuje się w Chinach, prawda?

— Jest coś jeszcze. Ta kombinacja kolorów wykonana została na zamówienie.

— Świetnie. Kto je zamówił?

— Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych.

Zanim Maggie odpowiedziała, usłyszała sygnał, że czeka drugi rozmówca. Czy to możliwe, żeby Lawrence Piper tak szybko oddzwonił?

— Mam drugi telefon — powiedziała do Tully'ego.

— Odezwij się, gdybyś czegoś potrzebowała.

— Dzięki. — Przełączyła się. — Maggie O'Dell.

— Muzyka dla moich uszu.

— Pułkownik Benjamin Platt. — Starała się ukryć radość. Długo się nie widzieli, nawet nie rozmawiali z sobą, i czy chciała się do tego przyznać, czy też nie, tęskniła za nim. — Jak tam twoja tajna misja?

— Właśnie mnie odesłano do domu. Czy mogę ci jutro postawić kolację?

— Nie jestem w domu i nie będzie mnie jeszcze kilka dni.

— Och. — Był rozczarowany, a także bardzo zmęczony.

— To długa historia. W każdym razie wybrałam się z Charliem Wurthem samochodem do Pensacoli na Florydzie, a teraz tu utknęłam z powodu huraganu.

— Mówisz serio? Gdzie jesteś w tej chwili?

— W Hiltonie na plaży. Właśnie patrzę na szmaragdowe wody Zatoki Meksykańskiej. Jest przepiękna. Trudno sobie wyobrazić, że zbliża się huragan.

— Wyjdź na balkon.

— Słucham?

— Na którym piętrze jesteś?

— Platt, przysięgam, że jeśli mnie spytasz, co mam na sobie, rozłączę się.

— Wyjdź na balkon.

Zawahała się. Świat za oknem kusił. Chciała posłuchać szumu fal. Wyszła na niewielki balkon.

— A teraz spójrz na plażę — rzekł Platt, który stał na dole i machał do niej. — Postawię ci drinka w Tiki Barze.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

— Maggie, mówiłem ci już, jak się cieszę, że cię widzę? — spytał Platt.

— Trzy razy — odparła znudzonym tonem.

Za bardzo znudzonym, do tego uśmiechnęła się, więc pomyślał, że nie plecie jak jakiś namolny nastolatek, czego się obawiał. Maggie miała na sobie żółtą dzianinową bluzkę, która podkreślała złote plamki w brązowych oczach. Była też ubrana w szorty — prawdziwe szorty, nie takie szerokie sportowe. Na nogach miała klapki. Nigdy dotąd nie widział jej w butach bez palców. Cały ten zestaw działał na niego jak diabli.

Udało im się zdobyć stolik z widokiem na zatokę. Platt słyszał, że większość turystów opuściła plażę Pensacola, ale restauracje i bary — te, które wciąż działały — były pełne mieszkańców zmęczonych całodniowym pakowaniem.

Tiki Bar oferował trzy drinki. Kelnerka oznajmiła, że nadal mogą zamówić przekąski, jeśli zgodzą się na to, co wybierze kucharz. Innymi słowy na to, co zostało. Kiedy przyniosła duży talerz, Maggie i Platt wymienili spojrzenia, jakby wygrali los na loterii. Przed nimi leżały sajgonki z grzybami, grillowane krewetki z

pikantnym sosem pomidorowym, żeberka wieprzowe z polewą ananasową. Od samego zapachu ślinka napłynęła Plattowi do ust.

— Nadal nie możesz mi nic zdradzić na temat swojej tajnej misji? — spytała Maggie, z apetytem jedząc sajgonkę.

— Raczej nie. To nieważne. — Wytarł polewę z brody. Usiadł wygodnie i popijał mai tai. To był już jego drugi drink i rum zaczął go relaksować, chociaż wciąż nie mógł zapomnieć nagłej zmiany w zachowaniu Ganza. Postukiwał palcem w żółtą papierową parasolkę i plasterek cytryny na brzegu szklanki. — Podzieliłem się z nimi moją opinią. Nie spodobała im się i odsyłają mnie do domu.

— Hm. — Maggie wzięła krewetkę. — To brzmi jak misja rządowa. Czy byłeś w jednej z tutejszych baz wojskowych?

— Skąd wiesz? — spytał, zanim zdał sobie sprawę, że właśnie przyznał jej rację.

— Posłuchaj, naprawdę nie musisz nic mówić. Przecież rozumiem.

— A twoja sprawa?

— Straż Wybrzeża znalazła w zatoce rybacką lodówkę.

— Z ludzkim ciałem?

Skinęła głową, bo usta miała pełne. Siedzieli naprzeciw siebie, ale dość blisko, żeby Platt wyciągnął rękę i wytarł kącik jej warg serwetką.

— Przepraszam — powiedziała, biorąc swoją serwetkę i wycierając oba kąciki warg. Platt natychmiast pożałował instynktownego gestu. — Z częściami ciała co najmniej jednej ofiary. Mężczyzny, który zaginął po huraganie Gaston.

— Gaston? Ten, który uderzył po stronie Atlantyku?

— Tak.

— Sądzisz, że masz do czynienia z mordercą, który poluje na ofiary huraganu?

— Nie wiem. Niewykluczone. Ludzie czasami znikają bez śladu.

— Podczas huraganu panuje straszny chaos, teraz sama tego doświadczysz.

— Pewnie już wiesz, że ty także. — Wzruszyła ramionami.

— Zaproponowano mi podróż do Jacksonville C-130.

— Wojskowy samolot transportowy? No, no. Jacy hojni.

Teraz Platt wzruszył ramionami. Znowu poczuł ukłucie bólu na myśl, że Ganz go tak odprawił.

— Spytam z czystej ciekawości. Jakie to były części ciała?

— Tors, jedna stopa, trzy ręce. Nie jesteś już głodny? Bo zamierzam to wszystko sprzątnąć.

Uśmiechnął się i sięgnął po sajgonkę. Był głodny, ale jednocześnie zbyt wyczerpany, żeby jeść. Nie pamiętał, kiedy ostatnio spał.

— Trzy ręce? Więc co najmniej dwie ofiary.

— Dwie, może nawet pięć. Badanie grupy krwi już wykazało, że stopa i tors pochodzą od różnych osób.

— Więc morderca to albo wielki bałaganiarz, albo jest cholernie inteligentny. Myślisz, że chciał pozbyć się szczątków, topiąc je w morzu?

Platt widział, że Maggie się zastanawia, ale potem pokręciła głową.

— Te części ciała były zapakowane w grubą folię, każda osobno, zupełnie jakby chciał je przechować, a nie pozbyć się ich. — Wypiła do dna drugą dietetyczną pepsi. — Co gorsza, w stopie, głęboko pod skórą, znajdowały się kawałki metalu.

— Dlaczego Kunze wpuścił cię w te maliny? I w oko cyklonu?

— Długa historia. — Machnęła ręką w stronę mijającej ich kelnerki i wskazała na pustą szklankę. — Gdzie się zatrzymałeś?

— Mój worek marynarski jest w siedzibie władz Santa Rosa. Powiedzieli mi, że na plaży nie ma szatni. I że nigdzie nie dostanę już pokoju.

— Mam apartament w Hiltonie. Przynajmniej do jutra.

— Hm. — Nie wiedział, czy ma to rozumieć jako zaproszenie. Tak często żartowali, że już naprawdę nie wiedział, kim jest dla Maggie.

— Dwa duże łóżka.

Aha, okej. Przyjacielska propozycja. Czyżby poczuł ulgę? A może rozczarowanie?

— Minibarek? — spytał.

— Jest.

— Telewizor z dużym ekranem?

— To pokój hotelowy, Platt, a nie bar, gdzie ogląda się zawody sportowe.

— Na pewno nie będę ci przeszkadzał? Jak jestem zmęczony, to podobno chrapię.

— Nie ma sprawy. Ja i tak nie śpię.

— Co to znaczy? W ogóle nie śpisz?

Miała taką minę, jakby do niej dotarło, że zbyt wiele wyznała.

— Fatalny przypadek bezsenności — odparła.

— Od dawna? — W końcu był lekarzem, więc nie mógł o to nie zapytać. Może właśnie dlatego mieli problem z przekroczeniem granicy przyjaźni. Poznali się, kiedy Maggie była jego pacjentką i przebywała na kwarantannie w USAMRIID.

— Od czasu do czasu przesypiam kilka godzin. — Zawahała się i dodała: — To trwa już parę miesięcy.

— No to mam coś, co ci pomoże.

— Posłuchaj, Ben, nie chcę przyzwyczajać się do żadnych prochów.

— Nie mówię o tabletkach. — Uniósł dłonie. — Moje ręce działają cuda.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Scott dwukrotnie mijał dom teścia. Nie było to łatwe, ponieważ teść mieszkał na skraju ślepej uliczki. Walter Bailey był jedyną znaną Scottowi osobą, która nie posiadała telefonu komórkowego i traktowała to jako powód do dumy.

Okna od frontu były ciemne, Scott nie widział nawet poświaty z telewizora. Samochód Waltera stał na podjeździe, ale nie było kantyny na kółkach. Czy to możliwe, że nadal jest na plaży?

Uderzył dłońmi w kierownicę. Świetnie, po prostu super. On potrzebuje generatora, a stary imprezuje na plaży.

Pojechał do pięciu różnych sklepów żelaznych ze zwitkiem banknotów, licząc na to, że ktoś sprzeda mu generator z zaplecza. W końcu każdego można kupić, prawda?

Zignorował ręcznie malowane tablice z napisem: „Brak sklejki, generatorów i baterii". W każdym ze sklepów pytał o kierownika. Dwaj z nich tylko pokręcili głowami. Dwaj inni się roześmieli. Jeden szeroko otworzył oczy na widok banknotów i zastanawiał się, czy nie odsprzedać Scottowi własnego generatora, ale w końcu rzekł:

— Do diabła, lepiej nie. Żona już by mi dała popalić. Wybacz, kolego.

— Może mi pan przynajmniej powiedzieć — Scott wyciągnął studolarowy banknot-jak daleko muszę pojechać, żeby dostać generator?

Kierownik zaczął coś sprawdzać w komputerze, chętny do pomocy za takie znaleźne. Stukał w klawisze, krzywił się i znowu stukał. Powtórzył to kilka razy, zanim w końcu odparł:

— No i mamy. Jest jeden generator w Athnes w stanie Georgia, mogę go dla pana zarezerwować.

— W Athens? Chyba wiem, gdzie to jest. Tuż za granicą Florydy i Georgii?

— Nie, to na wschód od Atlanty.

— Atlanty? To jakieś pięć albo sześć godzin jazdy.

— Może pan tam być jutro o siódmej rano, kiedy otwierają sklep. Chce pan, żebym panu zrobił tę rezerwację, czy nie?

Scott odparł, że chce. To był plan B, który kosztował go tylko sto dolarów. Im dłużej myślał o dwunastogodzinnej jeździe samochodem, tym bardziej się wściekał na swoich teściów.

Rodzina Baileyów nie przyjęła go tak, jak powinna, a przecież troszczył się o Trish. Do wakacji zamieszkają w nowiusieńkim domu zbudowanym według indywidualnego projektu, domu z widokiem na zatokę Penscola. Trish jeździła bmw. Pieprzonym 525i. Postarał się, żeby po ślubie nie musiała ani jednego dnia

pracować. Nawet dom, który wynajmowali, opływał w luksusy. Scott był szanowanym w mieście biznesmenem, zaproszono go do Klubu Rotariańskiego. Ale to wszystko im nie wystarczało. Baileyowie nadal nie traktowali go jak członka rodziny. Co gorsza, czuł, iż teść uważa, że on nie jest wart Trish. Walter z pewnością uznałby również, że Scott nie jest wart tego, by pożyczyć mu jeden ze swoich pieprzonych generatorów.

Zgasił światła i zatrzymał lexusa GX przy krawężniku, pół przecznicy od domu Waltera, skąd widział jego podjazd. Było już późno. Gdzie, do diabła, podział się ten stary? Scott przed ruszeniem w drogę dopił chłodne resztki latte. Dodał do niej kropelkę wódki, zresztą z zapasów dawnego właściciela zakładu pogrzebowego, bo uznał, że potrzebuje dodatkowego kopa, by przekonać Waltera. Ale i to przestało już działać.

Było pięćdziesiąt procent szansy na to, że boczne drzwi do garażu są otwarte. Po prostu teść miał taki zwyczaj. Walter i tak nie mógłby tam wstawić ani jednego samochodu, bo garaż był zagracony kupionymi okazyjnie zapasami do kantyny.

Scott otarł twarz. To był cholernie ciężki dzień. Najchętniej pojechałby do domu i padł na łóżko, choć to również miało swoje wady. Trish zostawiła mu kilka wiadomości nagranych bardzo zirytowanym głosem.

Spojrzał na zegarek i westchnął sfrustrowany. Za cholerę nie pojedzie tego wieczoru do Atlanty. Przekręcił kluczyk w stacyjce, ale nie włączył świateł. Tak cicho, jak tylko było to możliwe, zajechał na podjazd Waltera. Garaż stał na tyłach domu, więc nawet kiedy był otwarty, z ulicy niczego nie było widać. Zresztą sąsiedzi najpewniej rozpoznaliby jego samochód, więc nie wezwaliby policji z powodu przyjazdu męża Trish.

Boczne drzwi garażu rzeczywiście były otwarte. Scott zapalił latarkę, żeby odszukać generatory. Tak naprawdę nie wiedział, jak wyglądają, domyślał się tylko, że to takie duże silniki na kółkach. Dwie lodówki, stojące obok siebie, pomrukiwały cicho. Wzdłuż trzech ścian ciągnęły się załadowane półki. Trzeba było manewrować między pudłami a kartonami, skrzynkami z narzędziami a sprzętem ogrodowym, zapasowymi oponami, torbami z mierzwą, dużymi czerwonymi pojemnikami z paliwem, dwoma kosiarkami. A to wszystko zajmowało tylko jedną część podwójnego garażu.

Scott znalazł generator w rogu. Był przykryty zieloną plandeką. Wytargał go z trudem spomiędzy dwóch pólek. Już był gotowy otworzyć bramę garażu. Nacisnął przycisk. Przestraszyło go skrzypienie podnoszącej się bramy i jasne światło, które się równocześnie zapaliło. Sięgnął do wyłącznika i zgasił lampę. Hałas był wystarczająco denerwujący. Nie chciał, by ktoś zobaczył światło. Wyciągnął metalowe szyny, które Walter przechowywał razem z generatorem, domyślając się, że jeżeli je oprze o tylny zderzak lexusa, będzie mógł wtoczyć generator do

samochodu. Już prawie go wepchnął, kiedy dostrzegł wyłaniający się zza krzaków cień.

— Co ty, do diabła, robisz, Scott?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Liz nie wierzyła, że jej ojciec pożyczył Scottowi generator. Obchodził się jak z jajkiem ze wszystkim, co do niego należało, no i nie przepadał za zięciem. Ale końcu co ona tak naprawdę wiedziała o swoim ojcu? Ze zdumieniem przyglądała mu się, jak wypił duszkiem trzy darmowe martini, jedno po drugim, w Tiki Barze na plaży. Przypomniała sobie, że od kiedy został wdowcem, wiele się zmieniło, a jej nie było tutaj przez większość czasu. Jeśli ojciec nauczył się nakrywać do stołu i pić martini, niewykluczone, że zmienił się też pod innymi względami.

— Cześć, Liz — rzekł Scott zadyszany, ale nie wydawał się skrępowany i nie przerwał tego, co robił. — Wiesz może, gdzie się podziewa twój ojciec?

— Właśnie przywiozłam go do domu, a także jego kantynę. Na plaży serwują darmowe drinki.

— Dobrze się czuje?

— Śpi jak dziecko. Właściwie chciałam go zostawić w kantynie na noc. A ty co robisz?

— Wziąłem jeden z generatorów Waltera. — Zatrzasnął tylne drzwi suva. — Czekałem na niego od dwóch godzin.

— Pewnie zapomniał.

W cieniu nie widziała twarzy Scotta. Po ostatnim wieczorze, kiedy wpadli na siebie na plaży, zdała sobie sprawę, że o swoim szwagrze też tak naprawdę nic nie wie. Poza tym, iż on wyobraża sobie, że świetnie ją zna. Wyglądało na to, że Trish nareszcie zmusiła go do tego, by przygotował się na nawałnicę.

— Potrafisz go podłączyć i włączyć? — spytała.

Scott wzruszył ramionami.

— Nie do końca. Liczyłem, że Walter mi pokaże.

Odruchowo obejrzała się przez ramię. Nie widziała stąd kantyny, którą zaparkowała na ulicy.

— Wiesz co — zwróciła się od Scotta. — Ty mi pomożesz położyć ojca do łóżka, a ja ci pomogę z generatorem.

— Naprawdę? Zrobisz to? — Mówił jak mały chłopiec,’* który wietrzy, że ktoś chce go oszukać.

— Jasne. Jeśli pojedziesz ze mną na plażę, żebym mogła zabrać swój samochód.

Walter okazał się bardziej chętny do współpracy, niż się spodziewała. Chyba wziął zięcia za starego kumpla z marynarki. Mruczał pod nosem o dzieciaku jakiegoś Phillipa Norrisa, ale kiedy zaciągnęli go do sypialni, natychmiast się przestawił na inną nutę. Mówił coś do siebie, szurając nogami. Zdjął buty i schował je do szafy. Potem opróżnił kieszenie i położył wszystko na tacę na komodzie. Liz pocałowała go na dobranoc w policzek, a on machnął ręką, żeby już sobie poszła.

W zakładzie pogrzebowym Scott wytoczył generator z bagażnika suva, jakby robił to codziennie. Liz pomogła mu napełnić go benzyną. Scott za dużo mówił albo dlatego, że był zmęczony, albo czuł się skrępowany sam na sam z Liz. Lub też — nie podobało się jej, że tak od razu opiniuje — dlatego, że pił. Zresztą to bez znaczenia. Chciała jak najszybciej wrócić po samochód i choć trochę się przespać. Mówiono, że kiedy znajdą się w strefie peryferycznej huraganu, wiatr nabierze siły i nazajutrz po południu zaczną się ulewy.

Wyjaśniła podstawy, czyli jak podłączyć generator i jak obliczyć moc wszystkich urządzeń, które podłączy, a Scott cały czas nadawał o nowym klimatyzowanym przejściu, które zbudował między budynkami, i o wielkiej chłodni.

— Tyle się narobiłem i okazało się, że żadne z tych urządzeń nie jest podłączone do rezerwowego generatora. Wyobrażasz sobie, żeby nie mieć dodatkowego generatora dla chłodni? W zakładzie pogrzebowym?

Liz poinstruowała go szczegółowo, po czym pomogła przenieść maszynę do ukrytej za drzewami szopy, która mieściła się ze trzy metry od budynku.

Czekała w drzwiach, aż Scott przykryje generator plandeką i umocuje ją elastyczną liną. Wtedy zauważyła sfatygowaną białą lodówkę z nierdzewnej stali. Pokrywa była otwarta, oparta o ścianę, a na jej wewnętrznej stronie Liz dostrzegła miarkę do mierzenia ryb. Z uchwytu zwisał sznur spleciony z żółtych i niebieskich włókien.

Liz zrobiło się niedobrze. Ta lodówka była identyczna jak tamta, którą wyłowili z Zatoki Meksykańskiej.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

— O mój Boże, jak dobrze — westchnęła Maggie, kiedy Platt usiadł na skraju łóżka.

— Przestań mówić o tej sprawie, jeśli chcesz się naprawdę zrelaksować podczas masażu.

Nie mogła mu zdradzić, że po prostu musi bez przerwy mówić. Gdy tylko pomyślała o jego dłoniach na swoich plecach, ogarniało ją podniecenie.

— Tutaj jest takie specjalne miejsce. — Zsunął nisko dłonie. — To ci powinno pomóc zasnąć.

Maggie zamknęła oczy. Platt niczego się nie domyślał. A jeśli nawet coś zgadywał, ukrywał to znacznie lepiej niż ona.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — rzekła, ciekawa, czy głos jej nie zdradza. Miał rację, trudno jej było się skupić, wcale jednak nie dlatego, że robiła się senna.

— Po co tak szczelnie zawijać części ludzkiego ciała? — Platt nie przerywał masażu. — Może chciał je dołączyć do swojej kolekcji?

— Lodówka rybacka jest naprawdę spora. — Jego palce przyjemnie uciskały skórę. — Gdzie się coś takiego kupuje?

— W sklepach z artykułami sportowymi? Albo tam, gdzie sprzedają lodzie.

— Łodzie. To mi nie przyszło do głowy. On na pewno ma łódź.

— No i dlatego nie możesz spać. Nie pozwalasz swojemu umysłowi odpocząć. Bez przerwy usiłujesz znaleźć jakieś odpowiedzi.

— Podświadomość nieustannie stara się rozwikłać różne problemy, a potem znajduje...

Przycisnął kciuki na środku jej pleców, aż na moment odebrało jej dech.

— Tak lepiej — rzekł.

— Więc celowo... próbujesz... mnie uciszyć.

— Tak. Tylko na kilka minut, dobrze?

— W takim razie ty mów.

— Naprawdę? Nie lubisz ciszy?

Kiwnęła głową, w przynajmniej usiłowała to zrobić.

— Okej. Jeśli to pomoże ci się zrelaksować.

Zaczął jej opowiadać o miejscu, gdzie jego rodzina spędzała wakacje, kiedy był mały. O domu na wybrzeżu Karoliny Północnej. Z okien kuchni rozciągał się widok na plażę. Były tam jasnożółte zasłonki i taki sam obrus. Popołudniami, kiedy matka piekła, Ben siedział w domu. Prosiła go, żeby poszedł pobawić się w piasku, ale wolał być z nią, gdy wyjmowała z piekarnika cynamonowe bułeczki albo orzechowe ciastka posypane cukrem. Więc matka pozwalała mu pomagać w kuchni. Odmierzał składniki i mieszał je, a jednocześnie rozmawiali o książkach, które z sobą przywiózł, żeby je przeczytać podczas wakacji, a także o mocy czarowników, odnalezieniu wraku Titanica i o tym, czy morskie smoki rzeczywiście istnieją.

W pewnym momencie Maggie usłyszała szum fal.

Doleciał ją zapach słonej wody i przez sekundę miała wrażenie, że czuje smak cynamonu. Zdawało jej się nawet, że unosi się na wodzie. Oczami wyobraźni widziała fale z koronką białej piany. Czuła kropelki wody spryskujące jej twarz.

Otaczała ją tylko woda. I żadnego lądu w polu widzenia. Tylko delikatnie kołyszące się fale.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Liz siedziała w samochodzie na plaży. Scott podrzucił ją tutaj prawie pół godziny temu. Powinna pojechać do domu, wziąć prysznic i przespać się. Jutro będzie długi, ciężki dzień. Mimo to siedziała bez ruchu ze wzrokiem wlepionym w fale, a w jej głowie kłębiły się myśli. Przed wyjściem od szwagra spytała go o rybacką lodówkę, starając się mówić normalnym, obojętnym tonem.

— Znajomy ją tu zostawił. Na dzień czy dwa — odparł.

— Znajomy z twojej branży?

— Tak, czemu pytasz?

— Bez powodu. Tak tylko — zająknęła się, bo wciąż miała przed oczami zawinięte w folię części ludzkiego ciała. — Nigdy nie widziałam takiej lodówki z linijką do mierzenia ryb na wewnętrznej stronie wieka.

Podszedł do lodówki i zajrzał.

— A tak. Nawet nie zauważyłem. Założę się, że Joe też nie zwrócił na to uwagi. Nie trzyma w niej ryb.

— Naprawdę? A co?

W tym momencie przekroczyła granicę. Scott zamilkł, cień podejrzenia zastąpił potrzebę roztaczania uroku i wszechgadulstwa. W końcu wzruszył ramionami, jakby to nie było nic ciekawego.

— Nie wiem. To, co trzyma się w lodówce.

Potem wyprowadził ją z szopy.

Liz dzwoniła już do szeryfa Joshui Claytona, ale rozmawiała tylko z jednym z jego zastępców, który oznajmił, że nie jest to sprawa najwyższej wagi.

— Isaac się zbliża — rzekł. — Szeryf Clayton już powiedział, że zajmie się tą sprawą po huraganie.

Miał rację. Znalezienie rybackiej lodówki identycznej jak ta wypełniona ludzkimi szczątkami zapewne nie wymagało natychmiastowego zaangażowania się władz, jednak Liz nie dawał spokoju fakt, że zobaczyła ją na tyłach zakładu pogrzebowego.

Spojrzała na najwyższe piętro Hiltona, wyjęła komórkę i po chwili usłyszała:

— Recepcja hotelu Hilton na plaży Pensacola.

— Chciałabym rozmawiać z jednym z waszym gości, z panią Maggie O'Dell.

— Wszyscy nasi goście już się wymeldowali. A, chwileczkę, O'Dell. Chodzi o tę agentkę FBI, która przyjechała z panem Wurthem?

— Tak, właśnie tak.

— Jest tutaj do jutra do południa. — Recepcjonista zawahał się. — Czy to pilne?

Liz westchnęła. Przeczesała palcami włosy i zerknęła na zegarek na desce rozdzielczej. Dochodziła północ.

— Raczej tak...

— Wie pani, nie mamy zwyczaju łączyć z naszymi gośćmi po dwudziestej drugiej. Mogę panią przełączyć na sekretarkę automatyczną, wtedy na telefonie w jej pokoju zapali się czerwona lampka.

— Dobrze. — Czekając na połączenie, starała się ułożyć w myśli, co ma do powiedzenia. Może po prostu wpada w paranoję? Widzi więcej, niż jest w rzeczywistości? Wpadła w obsesję na tym punkcie? — Po usłyszeniu sygnału podała swoje nazwisko i numer telefonu komórkowego, a potem po prostu powiedziała, że ma pewne informacje. Miała świadomość, że to słaby argument, by Maggie oddzwoniła, ale tak było bezpieczniej. Może nazajutrz rano, kiedy znajdą się w strefie peryferycznej huraganu Isaac, Liz uzna, że druga taka sama rybacka lodówka to wyłącznie czysty przypadek. — Kiedy zajechała na Pensacola Beach Boulevard, na parkingu stało tylko parę samochodów, ale wśród nich wypatrzyła czerwoną impalę. Obiecała ojcu, że sprawdzi, co dzieje się z Dannym, maniakiem surfowania. Porozmawia z nim jutro. Zrobiło się już późno. Nie było sensu po nocy pukać w okno samochodu, żeby chłopaka śmiertelnie wystraszyć.

Wtorek 25 sierpnia

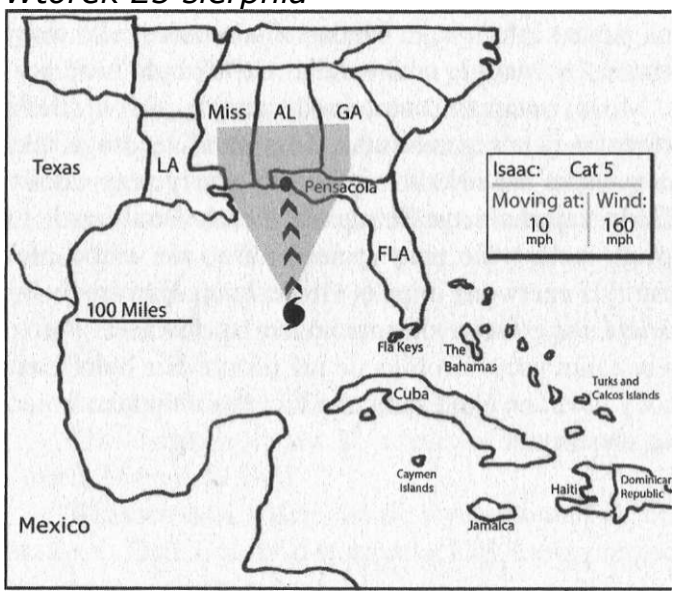

Isaac kat 5

Prędkość huraganu: 16 kilometrów na godzinę Prędkość wiatru: 256 kilometrów na godzinę

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Stukanie, które słyszał Platt, nie było wytworem jego wyobraźni. Tego akurat był pewien, chociaż czuł pulsujący ból z tyłu głowy. Otworzył oczy i dopiero po kilku sekundach uprzytomnił sobie, gdzie się znajduje.

Pokój hotelowy. Hotel Hilton. Za dużo darmowych mai tai. Po rumie zawsze potwornie bolała go głowa.

Z trudem dźwignął się z sofy i wtedy przypomniał sobie o Maggie. Natychmiast odwrócił się w kierunku sypialni. Już całkiem przebudzony zdał sobie wreszcie sprawę, że ktoś puka do drzwi apartamentu, a nie do drzwi sypialni.

Wziął z krzesła koszulę, ale nie chciało mu się wkładać butów. To pewnie ktoś z obsługi hotelowej. Zauważył, że w telefonie mruga czerwona lampka. Nie pamiętał, żeby telefon dzwonił, ale mógł to przeoczyć.

Kiedy otworzył drzwi, miał już na sobie koszulę, chociaż jej nie zapiął. Czarnoskóry mężczyzna w zielonym polo wyglądał na zaskoczonego.

— Tak? — spytał Platt.

Mężczyzna mu się przyglądał. Cofnął się i sprawdził numer pokoju na drzwiach, potem zajrzał Plattowi przez ramię, jednak niewiele zobaczył, gdyż był od niego niższy.

— Szukam Maggie O'Dell.

— Jest pan z obsługi hotelu?

— Nie, z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

— Chodzicie od drzwi do drzwi?

— Słucham?

— Czy mamy się już wyprowadzić?

— Zastałem Maggie?

— Charlie? — zawołała gdzieś z tyłu.

Platt obejrzał się. Maggie wychodziła z łazienki z mokrymi włosami. Miała na sobie biały hotelowy szlafrok. Świeży zapach mydła był bardzo pociągający, ale Platt nie mógł oderwać wzroku od Charliego, który szeroko otworzył oczy. Szczęka mu opadła. Klasyka gatunku.

— Przepraszam — rzekł Platt. — Pan jest Charlie Wurth. Kiedy usłyszałem Departament Bezpieczeństwa Krajowego, pomyślałem, że przyszedł pan nas ponaglić, byśmy już się stąd wynieśli. Jestem Benjamin Platt.

Wyciągnął rękę i czekał, aż Wurth przetrawi te informacje. Widać było, że wciąż usiłuje rozstrzygnąć, na jaką sytuację trafił.

— Niech pan wejdzie, Charlie. Proszę dotrzymać pułkownikowi Palttowi towarzystwa, a ja coś na siebie wrzucę — poprosiła Maggie. — Zaspałam. — Potem z uśmiechem zwróciła się do Bena: — Naprawdę spałam.

— Akurat.

Platt usłyszał, jak Wurth powiedział to pod nosem.

Maggie ruszyła z powrotem do łazienki, a Platt przysiągłby, że szła, podskakując.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Niebo było tak ciemne i ponure jak samopoczucie Scotta. Długo stał pod prysznicem, ponieważ z jakiegoś powodu wciąż czuł zapach rozkładającego się ludzkiego ciała, zupełnie jakby ktoś posmarował nim jego skórę. Włożył świeżo wyprasowane spodnie i koszulę. Tego dnia zrezygnował z krawata. Zjadł śniadanie z Trish. Przygotowała naleśniki z jagodami amerykańskimi i kiełbaski. Była w dobrym nastroju. I bądź tu mądry!

Gdy tylko wsiadł do lexusa, znowu poczuł tę woń. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że jest to smród rozkładających się zwłok.

Na pierwszym skrzyżowaniu zatrzymał się na poboczu, wysiadł i zaczął przeszukiwać samochód. Benzyna i olej pobrudziły folię, którą rozłożył z tyłu, zanim załadował tam generator, ale poza tym niczego nie znalazł. Utrzymywał swoje samochody w tak samo idealnym stanie jak zakład pogrzebowy.

Starał się zatem nie zwracać uwagi na ten dziwny zapach. Nie myśleć o nim. Włączył lokalną stację radiową.

— Isaac nadciąga, ludzie. Jim Cantore z kanału meteo dziś rano nadawał z naszej plaży Pensacola. Oko cyklonu jest jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów od nas. Wiatr wieje z prędkością ponad dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. To kategoria piąta, a wszystko dzieje się nad ciepłą otwartą wodą, gdzie nie ma nic, co by go spowolniło. Prawdę mówiąc, huragan zwiększył prędkość, pędzi teraz ponad dwadzieścia dwa kilometry na godzinę, zamiast szesnastu, jak dotychczas. To znaczy, że będzie tu prędzej niż później. Już koło południa dotrze do nas forpoczta, a wieczorem potwór zjawi się u nas. Władze Escambii i Santa Rosa ogłosiły stan wyjątkowy, a już od rana w obu hrabstwach będą otwierane schrony. Za chwilę podam wam ich lokalizację. Ludzie, ten huragan to nie przelewki. Coraz bardziej wygląda na to, że znajdziemy się w północno-zachodnim kwadrancie. Czyli będzie kiepsko. Naprawdę kiepsko.

Scott wyłączył radio. Do diabła, przynajmniej jest przygotowany. Ledwie żył ze zmęczenia, ale znowu nad wszystkim panował.

Wcześniej odebrał jeszcze jeden telefon od rodziny wujka Mela. Teraz woleli zaczekać z ceremonią, aż huragan się skończy.

— Czy to możliwe? Czy on może poczekać? — pytali, ale Scott czuł, że wujek Mel nie jest już dla nich najważniejszą sprawą. Muszą jakoś przetrwać tę nawałnicę. Zabawne, pomyślał, jak szybko zapominamy o zmarłych, kiedy martwimy się o własne życie.

Joe Black o nich nie zapominał. Scott i tym razem nie zauważył żadnego samochodu, ale patrząc na system alarmowy, wiedział, że Joe nadal przebywa w budynku. Gdzie on, do diabla, parkuje? Po drugiej stronie drzew znajdował się parking bloku mieszkalnego, ale musiałby się tam przedzierać przez wysoką trawę i krzewy, które rozdzielały posesje. I kiedy zaczął podrzucać swoje lodówki do szopy Scotta? Liza coś za bardzo się tym zainteresowała. Czy to właśnie w szopie po raz pierwszy poczuł smród rozkładającego się ciała? Czy Liz wyczuła coś minionej nocy?

Kiedy wszedł tylnymi drzwiami, zapach był jeszcze silniejszy. Złapał się na tym, że wzdrygnął się z obrzydzeniem. Jaką niespodziankę szykował mu tego dnia Joe?

— Cześć, stary. — Joe szedł właśnie przejściem z chłodni do głównego budynku zakładu pogrzebowego.

Scott zauważył, że miał puste ręce i był czysty. Powściągnął westchnienie ulgi i zajrzał do pomieszczenia, gdzie balsamowano zwłoki. Czysto. Więc co on cały czas czuje?

— Pewnie zobaczymy się dopiero po przejściu huraganu — odezwał się Joe, zarzucając na ramię plecak.

— Uciekasz przed nim?

— Można tak powiedzieć — odparł z uśmiechem. — Mam jeszcze jeden odbiór, a potem chcę zabezpieczyć moją łódź.

— Masz łódź?

— Mówiłem ci.

Scott był pewien, że dotąd o tym nie słyszał. Przecież by pamiętał.

— To bardzo wygodne i praktyczne — wyjaśnił Joe. — Łatwiej się poruszać, jak drogi i mosty są zalane. Ale muszę ją zacumować co najmniej sto kilkadziesiąt kilometrów stąd.

— W Biloxi? W Nowym Orleanie?

— Tak, gdzieś w tej okolicy.

— Właśnie mówili, że huragan zbliża się o wiele szybciej, niż przewidywano.

— No to muszę lecieć. Zobaczymy się za dwa dni.— Scott odprowadzał go wzrokiem, żałując, że Joe nie wziął go z sobą.

Potem zabrał się do poszukiwania źródła tego smrodu. W pewnym momencie rozpiął koszulę i zaczął się obwąchiwać. Sprawdził chłodnię, ale tam zapach nie był wcale silniejszy. Może kiedy weźmie się do pracy, uda mu się o nim zapomnieć.

Wyciągnął stół z nierdzewnej stali z tekturowym pudłem, w którym spoczywał wujek Mel. Jeszcze go nie zabalsamował. Równie dobrze może to zrobić przed sztormem. Sprzedał rodzinie kosztowną trumnę, chociaż nie chcieli jej otwierać podczas ceremonii. Zawsze łatwiej upchnąć drogą trumnę rodzinom, które nie życzą sobie tradycyjnego pożegnania. Pewnie czują się winni i w ten sposób zagłuszają sumienie.

Scott przygotował sobie wszystko, co było mu niezbędne do pracy. Włożył fartuch i otworzył kartonowe pudło.

— Sukinsyn. — Wuj Mel miał odcięte w kolanach nogi, brakowało też obu rąk.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Patrząc z balkonu sypialni, Maggie przekonała się, że przez noc sytuacja uległa drastycznej zmianie. Fale były o wiele bardziej wzburzone i wyższe, zalewały plażę. Niebo wisiało nad głową jak ciężki szary sufit, z kilkoma warstwami chmur, które przepływały dość nisko, a każda z tych warstw w swoim tempie. Jeszcze było daleko do południa, a upał zrobił się nie do zniesienia, na domiar złego towarzyszyła mu wysoka wilgotność powietrza. Maggie dopiero co wysuszyła suszarką włosy, a już były wilgotne. Bluzka przykleiła jej się do ciała.

Znalazła Platta i Wurtha w saloniku apartamentu. Jedli pączki przyniesione przez Wurtha. Któryś z nich zaparzył kawę, jej zapach wypełniał pokój. Zanim usiadła, Platt wstał i podał jej dietetyczną pepsi z minibarku, zaś Wurth odwinął z

papieru czekoladowego pączka i położył go przed nią. Powściągnęła uśmiech i w milczeniu patrzyła na usługujących jej mężczyzn.

— Może już po południu znajdziemy się w strefie peryferycznej huraganu — poinformował Wurth. — Uderzenie na ląd nastąpi wieczorem, prawdopodobnie po zapadnięciu zmierzchu.

— To chyba prędzej, niż przepowiadano? — spytała Maggie.

— Tak, Isaac trochę przyśpieszył. Po drodze nie ma żadnych wysp, które by go pohamowały.

Platt stał obok biurka, popijając kawę, ale nagle coś odwróciło jego uwagę. Maggie zobaczyła, że wziął do ręki foliową torebkę, którą zostawiła na stosie teczek z dokumentami. Dotykał przez folię znajdujący się w środku kawałek metalu.

— Koroner wyjął to z tej odciętej stopy — powiedziała, patrząc na pączka.

Uwielbiała czekoladowe pączki, ale nie jadła ich od około roku, kiedy to pewnego dnia do siedziby FBI w Quantico ktoś dostarczył pudełko z takimi właśnie pączkami i listem od terrorysty na dnie. Charlie Wurth nie miał zielonego pojęcia, że śniadanie, które jej przyniósł, groziło pęknięciem jednej z jej i tak już przeciekających szuflad, w których przechowywała niechciane wspomnienia. Przełamała pączek na pól i ugryzła.

— Aha, Maggie — rzekł Platt, wskazując hotelowy telefon. — Jest dla ciebie wiadomość.

Spojrzała na Wurtha.

— To nie ja. Mam numer pani komórki. Chociaż rozumiem, że tej nocy pewnie pani nie odbierała.

Miała ochotę zaśmiać się z jego insynuacji, ale on nie żartował. Nie podniósł brwi. Nie uśmiechał się znacząco. Czy to możliwe, żeby Charlie Wurth był zazdrosny? Odrzuciła tę myśl, ugryzła kolejny kęs pączka, zadowolona, że naprawdę jej smakuje. Potem podeszła do telefonu sprawdzić wiadomość.

— To Liz Bailey — oznajmiła. — Oddzwonię do niej z komórki. — Zostawiła mężczyzn i poszła do sypialni.

Minionej nocy nie słyszała dzwonka telefonu. Wyglądało na to, że naprawdę mocno spała.

Zanim wybrała numer, jej komórka zadzwoniła.

— Maggie O’Dell, słucham?

— Agentka O’Dell? — spytała z wahaniem jakaś kobieta.

— Tak.

— Dostałam pani numer od szeryfa hrabstwa Escambia.

— Pauza. — Chodzi o mojego męża. Przepraszam, nie przedstawiłam się. Nazywam się Irene Coffland.

Żona torsu, pomyślała Maggie mimo woli. Po chwili trudno jej było myśleć inaczej.

— Dziękuję, że pani do mnie dzwoni, pani Coffland.

— Nie wiem, jak mogłabym pomóc.

Maggie nie miała pojęcia, co szeryf Clayton powiedział wdowie, musiała jednak od niego usłyszeć, że posiadają tylko część ciała jej męża. Każdemu trudno byłoby się z tym pogodzić. Maggie podjęła delikatnie:

— Może mi pani powiedzieć, co pani pamięta z ostatnich kilku minut przed zniknięciem pani męża?

— Mówiłam już miejscowym władzom, a także pani szeryfowi.

— Przepraszam. Nie musi pani ze mną rozmawiać, rozumiem, że to nie jest łatwe. — Maggie wiedziała jednak, że gdyby pani Coffland nie chciała z nią rozmawiać, nie oddzwoniłaby. Czasami, kiedy mówi się komuś, że nie musi czegoś robić, nagle robi to z chęcią. Taka tania sztuczka psychologiczna.

— Wróciliśmy do domu po huraganie. Strasznie to wyglądało, martwiliśmy się, że szabrownicy już tam byli. — Westchnęła. — Jakbyśmy nie mieli większych zmartwień. Rzeczy to tylko rzeczy. Sprzątaliśmy, Vince włączył generator. Robiło się ciemno. Nasi sąsiedzi też wrócili i staliśmy wszyscy na podwórku, kiedy usłyszeliśmy łódź w zatoce.

— Łódź?

— Tak. Mężczyźni stwierdzili, że to szabrownicy. Vince kazał nam zostać na miejscu, wziął strzelbę i ruszył w stronę wody.

— Sam?

— Mój mąż był szefem policji, na emeryturę musiał przejść z powodu ataku serca. Nie było kwestii, czy da sobie sam radę. Chciał, żeby Henry został ze mną i z Katherine. Wokół panowała przerażająca cisza, tylko generator robił straszny hałas. Po chwili usłyszeliśmy jakieś krzyki, ale wzięliśmy je za powitanie, a już na pewno nie za scysję czy szarpaninę. Odetchnęliśmy trochę. Pomyśleliśmy, że pewnie wrócił kolejny sąsiad albo zjawił się ktoś z władz. Vince'a nie było dziesięć, piętnaście minut. Potem usłyszeliśmy, że silnik łodzi znowu zaczął pracować. Czekaliśmy na Vince'a. — Kolejna pauza. Maggie słyszała, jak Irene Coffland odchrząknęła. — Już nie wrócił. Szukaliśmy całą noc, dzwoniliśmy na policję, ale po sztormie mieli mnóstwo ważniejszych spraw. Mój mąż był po prostu jednym z dwunastu zaginionych.

— Dowiadywała się pani, czy lokalna policja albo inne służby w waszej okolicy posiadają łódź?

— Tak, powiedzieli, że nie mają łodzi. Ale powiem pani jedno, gdyby Vince uznał, że osoba znajdująca się na łodzi stanowi dla nas zagrożenie, walczyłby ze wszystkich sił.

— Chyba nie do końca rozumiem, pani Coffland.

— Wydawało nam się, że słyszymy słowa powitania, przyjazną wymianę zdań, więc albo Vince znał tego człowieka z łodzi, albo nie czuł się przez niego zagrożony.

Zakończywszy rozmowę, Maggie zastanowiła się nad tym, czego właśnie się dowiedziała. Morderca Vince'a Coffłanda posiadał łódź albo miał do niej dostęp. Pewnie była to mała łódź, którą można bez trudu przewieźć na specjalnej przyczepie. To by wyjaśniało, dlaczego Vince Coffland zaginął na wybrzeżu Atlantyku, a odnalazł się w Zatoce Meksykańskiej. Maggie stwierdziła, że sprawdzi marinę na plaży Pensacola, chociaż bez nazwy czy choćby opisu łodzi niewiele zdziała.

Kiedy zaczęła wybierać numer Liz Bailey, rozległ się dzwonek telefonu w drugim pokoju. Platt sięgnął po swoją komórkę w momencie, gdy w komórce Maggie odezwała się Liz.

— Słucham?

— Liz, mówi Maggie O'Dell. Proszę wybaczyć, że wcześniej nie oddzwoniłam.

— Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy to coś znaczy, ale widziałam taką samą lodówkę, jaką wyłowiliśmy z Zatoki Meksykańskiej.

— Czy to nie standardowy model? Zwłaszcza w tej okolicy?

— Nie chodzi tylko o lodówkę. Miała taką samą linę mocującą.

— Jest pani pewna?

— Wyglądała tak samo. Niebiesko-żółta, tej samej grubości.

Maggie zawahała się. Czy to może być przypadek? Jej dawny szef, zastępca dyrektora Cunningham, zwykł był mawiać, że przypadek nie istnieje. Istniało zatem duże prawdopodobieństwo, że właściciel tej lodówki jest również właścicielem tamtej, znalezionej w wodach zatoki.

Zanim Maggie odpowiedziała, Liz podjęła:

— Właściwie zwróciłam na nią uwagę ze względu na miejsce, gdzie ją zobaczyłam. Chodzi o zawartości tamtej lodówki.

— A gdzie ją pani widziała?

— W szopie na terenie zakładu pogrzebowego.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Ben odebrał telefon, wciąż wpatrzony w kawałek metalu w foliowej torebce.

— Pułkowniku Platt, mówi kapitan Ganz.

— Ach, kapitan Ganz... — Nie przyszło mu do głowy nic innego, co mógłby temu człowiekowi powiedzieć. Na szczęście nie musiał nic mówić.

— Jestem panu winien przeprosiny, pułkowniku. — Tylko tyle powiedział i zawiesił głos. Może chciał, żeby Platt to przetrawił?

— Znalazł pan coś?

— U dwóch żołnierzy, którzy zmarli w zeszłym tygodniu, wykryto ślady *Clostridium sordelli.* Zaczęliśmy badać pozostałych pacjentów i jak dotąd dziewięciu na dziesięciu ma tę bakterię. Nadal nie mamy pewności, gdzie ani jak dostała się do organizmu, ale chyba ma pan rację. Musiała się dostać za pośrednictwem pasty kostnej albo przeszczepionych kości. W tej chwili muszę przede wszystkim ratować życie tych żołnierzy.

Znowu cisza. Platt czekał, nie odzywał się.

— Ben, potraktowałem pana haniebnie. Jeśli nie wyjechał pan jeszcze z Pansacoli, czy byłby pan tak dobry i pomógł mi?

Platt nie wahał się ani chwili.

— Oczywiście.

— Ten huragan da nam się we znaki. Mamy generatory, ale nie tyle, ile trzeba.

— Rozumiem.

— I nie posiadamy niezbędnych antybiotyków.

— To nie jest bakteria, z którą zazwyczaj macie do czynienia.

— Proszę mi powiedzieć, gdzie pan jest. Wyślę po pana samochód.

— Jestem w Hiltonie. Jak kierowca przyjedzie, niech zadzwoni i wyłączy się po dwóch sygnałach, a ja zejdę do niego do holu. — Rozłączył się.

— Wracasz tam — powiedziała Maggie bez cienia zdziwienia, wchodząc znów do saloniku.

— Tak. Czasami człowiek wcale się nie cieszy, kiedy ma rację.

— Dobrze pan to ujął — rzekł Wurth, wstając, gotowy do wyjścia.

— Zostaję na plaży — powiedziała do niego Maggie.

— To nie jest dobry pomysł. — Wurth spojrzał na Platta. — Niech pan jej powie, że to zły pomysł.

Platt wzruszył ramionami.

— Skąd pan wie, że mnie posłucha?

— Zaraz zamkną most Boba Sykesa, a most Navarre o pierwszej. Nie ma innej drogi wyjazdu z plaży Pensacola.

— Nie szkodzi. Liz Bailey obiecała, że jakoś mnie stąd wydostanie.

— A czego takiego, jeśli wolno spytać, ma pani nadzieję dokonać?

— Niech pan da spokój, Charlie. Przywiózł mnie pan tutaj w konkretnej sprawie. Nie może pan mieć mi za złe, że chcę trochę pochodzić i powęszyć.

— A skoro mowa o chodzeniu. — Platt wskazał foliową torebkę z kawałkiem metalu. — Chyba wiem, co to jest. To szrapnel.

Maggie wzięła od niego torebkę i przyjrzała jej się.

— Mówisz o szrapnelu z materiału wybuchowego?

— Tak, oczywiście. Sporo tego usunąłem żołnierzom w Afganistanie. Patrzę na ten fragment od godziny, usiłując zgadnąć, skąd się wziął w odciętej stopie w Zatoce Meksykańskiej.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Liz wyszła z sypialni, a gdy po schodach dotarła do holu, rzuciła worek marynarski na podłogę. Zamierzała zapukać do sypialni ojca i pożegnać się z nim, kiedy usłyszała, że krzątą się w kuchni. Zobaczyła go, jak na kolanach przeszukiwał jedną z dolnych szafek. Wokół niego leżały porozrzucane torebki i pudełka z jedzeniem. Co dziwniejsze, miał na sobie wojskowy kombinezon, w którym pracował w kantynie.

— Tato, co robisz?

— O, witaj, kochanie. Nie obudziłem cię chyba?

— Nie, już wychodzę. Myślałam, że śpisz.

— Są. — Wyciągnął jakieś pudełko. Wstał i otrzepał kolana, po czym podał jej opakowanie energetycznych batoników. — Podobno są bardzo dobre. Mają dużo protein. Nie były tanie. Wrzuć sobie kilka do worka. Jak masz miejsce, weź wszystkie.

Wzięła pudełko i przyglądała się, jak ojciec upycha z powrotem do szafki pozostałe rzeczy.

— Przewróciłeś wszystko do góry nogami tylko po to, żeby je znaleźć?

— Wiem, że dadzą ci racje żywnościowe, ale te batoniki szybko się starzeją. Kupiłem je w zeszłym tygodniu, bo pomyślałem, że je lubisz.

Zastanawiała się, czy ojciec chce uniknąć rozmowy na temat minionego wieczoru. A może nic nie pamiętał? Nie będzie go wprawiać w zakłopotanie.

— Kiedy przywiozłaś swój samochód?

Więc jednak pamiętał.

— Wczoraj późnym wieczorem. Scott podrzucił mnie na plażę.

— Scott?

— Przyjechał po generator, który mu pożyczyłeś.

Walter patrzył na nią z uwagą.

— Wiem, że trochę wczoraj wypiłem, ale nie rozmawiałem ze Scottem ponad tydzień.

— Jesteś pewien? Może rozmawialiście, jak byłeś w Tiki Barze?

— Nie. On tam wpadł na drinka ze swoim znajomym, który nie jest stąd. — Zamknął szafkę i zaczął z kolei wyjmować rzeczy z lodówki. — Miły gość, ale jakiś

dziwny. Powiedział, że jego ojciec nazywał się Phillip Norris, ale on się przedstawił jako Joe Black. Dlaczego chłopak nie używa nazwiska swojego ojca?

— Może jego rodzice nie byli małżeństwem. Mówił ci, że jest przyjacielem Scotta?

— Nie, nie do końca. — Zaczął grzebać w kolejnej szafce, tym razem wyjął z niej nieduży blender. — Powiedział, że miło było pić z kimś, kogo polubił. Ze spędził dwa ostatnie wieczory na plaży ze swoim współpracownikiem, który jest... to nie moje słowa, on tak powiedział... no, że jest debilnym przedsiębiorcą pogrzebowym. Czy to nie brzmi, jakby miał na myśli Scotta? Sama widziałaś, jak Scott pił wieczorem na plaży. To musi być on.

Liz zastanawiała się, czy Joe Black to ten przyjaciel Scotta, który jest właścicielem rybackiej lodówki. O ile pamiętała, szwagier stwierdził, że lodówka należy do jego kumpla Joego.

Ojciec układał na blacie szafki rozmaite rzeczy: banana, słoik miodu, dzbanek soku pomarańczowego i karton mleka.

— Co robisz, tato?

— Och, nic takiego. Trochę mnie głowa boli.

— Masz kaca? — Gdy zmarszczył czoło, Liz zmieniła temat. — Chyba nie zamierzasz otwierać dzisiaj kantyny na plaży?

— Na godzinę czy dwie.

— Tato, o pierwszej zamykają most Boba Sykesa.

— Wtedy już mnie tam nie będzie, ale na plaży wciąż są głodni ludzie. No i muszę zajrzeć do paru znajomych, sprawdzić, co tam u nich.

— Obiecaj mi, że o dwunastej będziesz w domu.

— Obiecuję. Jak rozumiem, zobaczymy się dopiero po huraganie?

— Zadzwonię i dam ci znać, jak dotrzemy do Jacksonville. Będziemy szukać zaginionych i ratować ludzi, dopóki nie każą nam przenieść się w bezpieczne miejsce. Moim zdaniem to będzie dzisiaj po południu.

— Uważaj na siebie. I żadnego popisywania się.

— Ty też na siebie uważaj, sprzedawco hot dogów. — Gdy ojciec uśmiechnął się, pocałowała go w policzek. — Porozmawiamy później. — Patrząc, jak wlewa mleko i sok pomarańczowy do blendera, pomyślała, że ta mieszanka wygląda zbyt dobrze, żeby wyleczyć kaca.

— Nie do wiary, że Scott wziął sobie bez pytania jeden z moich generatorów.

— Wybacz, tato. Mówił tak, jakby to z tobą uzgodnił. — Sięgnęła po pudełko z batonami.

Idąc do drzwi, usłyszała jeszcze słowa ojca:

— To naprawdę jest dupek.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Maggie pomyślała, że Charlie Wurth jest trochę nadopiekuńczy, zarazem jednak rozumiała, że czuł się za nią odpowiedzialny, przecież przywiózł ją na Florydę w samym środku huraganu. Dlatego nie dziwiła się, gdy wychodząc z apartamentu, grzmiącym głosem starał się ją przekonać, by nie zostawała na plaży, a gdy dotarł do windy, nadal słyszała, jak burczał pod nosem.

Nie była za to kompletnie przygotowana na reakcję Platta.

— Naprawdę nie możesz zostać na plaży — rzekł, gdy tylko zamknęła za Wurthem drzwi.

— Będę ze Strażą Wybrzeża. — Gdy milczał, patrząc na nią z powagą, dodała: — Poważnie, nic mi się nie stanie.

— Czekają nas gwałtowne ulewy, pioruny, najpewniej też tornada. Przeżyłaś już kiedyś huragan?

— Nie, ale byłam z seryjnym mordercą w tunelu wykopanym pod cmentarzem.

— To nie jest zabawne.

— Nie zamierzałam być zabawna. — Cofnęła się i spojrzała na niego. Znała go już jako lekarza, który się nią opiekował, kiedy chorowała, ale teraz to było coś innego. — Potrafię się o siebie zatroszczyć.

— Wiem. — Westchnął głęboko i potarł brodę. Ten gest świadczył o tym, że był bardzo zmęczony. Dopiero w tej chwili dotarło do niej, że być może nie spał ostatniej nocy tak jak ona. Była zdziwiona, a nawet zawiedziona, gdy budząc się, nie zobaczyła go obok siebie w łóżku. — Martwię się o ciebie, Maggie.

Zaczęła unosić kąciki warg, dopóki nie zobaczyła wyrazu jego twarzy. Te słowa nie przyszły mu łatwo. Często flirtowali, przekomarzali się i żartowali, ale teraz to było na poważnie.

— Naprawdę daję sobie radę — powtórzyła.

— A mimo to jakimś cudem znajdujesz na drodze walizkę z ładunkiem wybuchowym i wirusa eboli, nie wspominając już o seryjnych mordercach.

— To ty wyjeżdżasz na tajne misje w nieznanym kierunku. — Nagła zmiana jej tonu zaskoczyła Maggie w równym stopniu co Platta.

Wreszcie uśmiechnął się.

— Więc ty też się o mnie martwisz? — Gdy tylko wzruszyła ramionami, dodał żartobliwie: — To wkurzające, co?

Oboje z tym lekkim tonem czuli się o wiele swobodniej.

Telefon Bena zadzwonił dwa razy i umilkł. Spojrzał na wyświetlacz.

— Przyjechali po mnie. — Nie ruszył się z miejsca.

— Zadzwoń do mnie albo wyślij SMS-a. Daj mi znać, że jesteś bezpieczna.

— Na pewno. A ty mnie.

Zarzucił worek marynarski na ramię i ruszył do drzwi, ale w połowie drogi zawrócił.

— O, do diabła — mruknął, trzema krokami znalazł się przy Maggie i zaczął ją całować, jedną ręką trzymając jej kark, drugą przytrzymując worek, żeby nie spadł z ramienia. — Uważaj na siebie, i to bardzo, O'Dell.

Z zadowoleniem usłyszała, że zabrakło mu tchu. Kiedy znowu odwrócił się do drzwi, zadzwonił kolejny cholerny telefon. Tym razem była to komórka Maggie. Chciała ją zignorować.

Platt uśmiechnął się, naciskając klamkę.

— Lepiej odbierz.

Pokręciła głową, ale potem uświadomiła sobie, że także się uśmiecha.

— Maggie O'Dell — powiedziała do słuchawki.

— Pani O'Dell, mówi Lawrence Piper. Miałem do pani oddzwonić.

— A tak... — Przez Platta zapomniała o sprawie, dopiero po kilku sekundach przypomniała sobie, kim jest Lawrence Piper i z jakiego powodu do niego dzwoniła.

— Chciała pani rozmawiać o przesyłce.

Jak powinna to rozegrać? Nie mogła przecież oznajmić facetowi, że znalazła numer jego telefonu na naklejce w lodówce z częściami ludzkiego ciała. A może mogła?

— Chodzi o Destin z dwudziestego piątego sierpnia — rzekła, uprzytomniwszy sobie równocześnie, że dwudziesty piąty był właśnie wczoraj.

— Nie rozumiem. Powiedziałem Joemu, że z powodu huraganu musimy odwołać Destin. — Mówił z powagą, jak o jakimś interesie. Maggie nie miała okazji sprawdzić, co kryje się za nazwą NTSM, ale z tonu Pipera nie wynikało, że to jakaś tajna czy niebezpieczna organizacja. Najlepsi spece, z jakimi Maggie pracowała, nauczyli ją, że im mniej mówi śledczy, tym więcej informacji uzyskuje. A zatem czekała w milczeniu. — Pracuje pani z Joem? — spytał Piper..

— Próbuję — odparła oględnie.

Piper zaśmiał się i dodał:

— Mówiłem mu, że potrzebuje asystenta. Posłuchaj, Maggie... pozwolisz, że będę mówił ci po imieniu?

Biznesmen, ale także handlowiec, stwierdziła.

— Nie ma sprawy.

— Obiecałem już Joemu, że mu to wynagrodzę. Po Święcie Pracy spodziewam się dwóch tuzinów chirurgów na konferencji w Tampie. Będę potrzebował co najmniej dwudziestu dwóch szyjnych odcinków kręgosłupa. Jeśli to możliwe, chciałbym również mózg z nietkniętą podstawą czaszki.

Pomyślała o częściach ciała znalezionych w lodówce, zawiniętych w folię, każda z osobna. Czy rozwiązanie może być takie proste? Czyżby chodziło o zwyczajną przesyłkę pośrednika handlowego? O ile się orientowała, to było legalne. Większość federalnych regulacji odnosiło się wyłącznie do ludzkich organów, tylko parę stanów dodało przepisy prawne obejmujące coś więcej.

— Nie chcę stracić Joego — podjął Piper, kiedy Maggie nie odpowiadała. Najwyraźniej jej milczenie go zaniepokoiło. — Możesz mu to przekazać? Nie zadzwonił i zmienił numer telefonu. Twój szef ma irytujące zwyczaje.

— Tak, wiem. On lubi sam dzwonić. — Nie była zdziwiona.

— Ciężko jest znaleźć kogoś, kto jest tak sprawny i systematyczny, a już zwłaszcza kogoś, kto sam wszystko przygotowuje i dostarcza. Zgadza się pani ze mną?

— Tak, oczywiście. — Kiedy nacisnęła „Rozłącz", zauważyła, że miała jeszcze jeden telefon, tym razem od doktora Tomicha.

Pośrednictwo w handlu częściami ludzkiego ciała. To miało sens. Wyjaśniało też obecność drugiej lodówki, którą widziała Liz Bailey w zakładzie pogrzebowym. Tyle że nie tłumaczyło to zniknięcia Vince'a Cofflanda.

Maggie nacisnęła przycisk „Oddzwoń".

— Tomich — warknął. Jego sposób mówienia sprawił, że nazwisko zabrzmiało jak przekleństwo.

— Doktorze Tomich, mówi Maggie O'Dell, dzwonił pan do mnie.

— A tak. Agentka O'Dell.

Zanim mu powiedziała, że znalezione części ciała mogą być przedmiotem handlu, Tomich zaskoczył ją, gdy oświadczył:

— Wydaje się, że miała pani rację.

— Słucham?

— Po wykonaniu zdjęcia rentgenowskiego odkryłem kulę w ciele Vince'a Cofflanda.

— Jest pan pewien, że to nie szrapnel? Moim zdaniem ten kawałek metalu w odciętej nodze to właśnie szrapnel.

— Nie, tu jest kula. Wyjąłem ją. Wygląda na kaliber dwadzieścia dwa, z krótkiej broni palnej. Tor kuli sugeruje, że weszła gdzieś między kością potyliczną a kręgami szyjnymi.

— Czyli został postrzelony w tył głowy.

— Mówiąc bardzo ogólnie. Rozumie pani, że tylko spekuluję. Nie mając głowy ani szyi, nie widzę, którędy kula dostała się do ciała, ale na podstawie miejsca ulokowania i śladów, które zostawiła w tkance, gdy się przemieszczała, zaryzykowałbym twierdzenie, że w momencie strzału ofiara była pochylona.

Jak podczas egzekucji? Maggie zatrzymała tę myśl dla siebie, podziękowała doktorowi Tomichowi i rozłączyła się.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Charlotte Mills spakowała ostatni plastikowy pojemnik i zatargała go na górę. Zabezpieczyła wszystkie ważne dokumenty, biżuterię i pamiątki, w tym albumy ze zdjęciami, albumy z wycinkami i kolekcję książek z autografami. Jeden z pojemników zawierał wszystkie artykuły z gazet i magazynów na temat „przedwczesnej śmierci" jej męża albo, jak nazywała to Charlotte, „mafijnego morderstwa jej męża".

Rząd federalny orzekł, że katastrofa samolotu to był wypadek, tragiczna awaria silnika w odrzutowcu, który przewoził jej męża do Tallahassee, gdzie ten miał zeznawać przed wielką ławą przysięgłych. Już kilka miesięcy wcześniej ostrzegała George'a, że zgoda na rolę świadka koronnego może doprowadzić do śmierci, jednak uparł się, że tak należy. Uznawał to za karę, na którą zasłużył, ponieważ pomógł temu „skorumpowanemu sukinsynowi" w wyborach, dzięki czemu sukinsyn utrzymał się na stołku.

Od tamtej chwili minęło piętnaście lat, lecz pomimo gorliwych starań Charlotte Mills nie dotarła do prawdy. Pięć lat temu poddała się, a przynajmniej tak to wyglądało. Po prostu Charlotte wyczerpała wszystkie swoje możliwości, a nie chciała przy okazji wyczerpać wszystkich zasobów finansowych. George byłby na nią wściekły, gdyby do tego doprowadziła. A zatem w końcu przyjęła pieniądze z ubezpieczenia, z polisy, w którą George zainwestował na kilka miesięcy przed obradami ławy przysięgłych.

Porzuciła pracę, żeby całkowicie poświęcić się śledztwu w sprawie morderstwa George'a. Okazało się, że zmarnowała zbyt wiele czasu. Kiedy nareszcie zaprzestała poszukiwań, kupiła dom na plaży, całymi dniami spacerowała wzdłuż brzegu i zbierała muszle, a wieczorami czytała wszystkie te wspaniałe powieści, na które wcześniej nie miała czasu. To było całkiem dobre życie i nie chciała pozwolić, by huragan je zniszczył.

Wzięła długi gorący prysznic, świadoma, że najpewniej będzie jej musiał wystarczyć na cały tydzień. Włożyła wygodne ubranie, związała siwe włosy w sterczący kucyk, sprawdziła listę rzeczy do zrobienia, wymieniła baterie w kilku latarkach. Napełniła wodą wannę, wszystkie zlewy i pralkę. Schowała w zamrażarce kolejne butelki z wodą. Nauczyła się tej sztuczki podczas ostatniej groźby huraganu. Dzięki temu miała i lód do schładzania, i wodę do picia.

Okna i drzwi na patio zabiła deskami, więc w domu panowała ciemność, przypominając Charlotte, że musi włożyć do foliowego woreczka świece i zapałki i położyć je w takim miejscu, żeby były pod ręką, kiedy wyłączą prąd. To samo dotyczyło zapasowych baterii.

Sypialnia była jedynym pomieszczeniem w wewnętrznej części domu, postanowiła zatem tam właśnie się schronić. Na blacie szafki poukładała najpotrzebniejsze rzeczy: radio na baterię, kilka latarek, telefon podłączony do linii naziemnej, turystyczną chłodziarkę z kanapkami, lekarstwa przepisane przez lekarza, a nawet kilof, zbyt duży i ciężki dla tak drobnej kobiety. Wszystko, co mogłoby jej się przydać, gdyby musiała przesiedzieć tu dziesięć do dwunastu godzin.

Właśnie zamierzała wejść po schodach na górę, kiedy stukanie do drzwi zatrzymało ją w pół kroku. Przedstawiciele szeryfa już ją odwiedzili. Sąsiedzi wyjechali. Zajrzała przez judasza. Zobaczyła naszywkę na rękawie i głośno stęknęła. Czyżby ktoś z hrabstwa lub z organów federalnych znów miał zamiar ją przekonywać, żeby się wyniosła?

— Już powiedziałam zastępcy szeryfa, że zostaję — oznajmiła stanowczo, uchylając drzwi, ale nie zdejmując łańcucha.

— Witam, pani Mills — odparł z uśmiechem młody mężczyzna. — Poznaliśmy się wczoraj u pana B. Jestem Joe. Joe Black.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Walter zaparkował kantynę na kółkach tak blisko mariny, jak tylko było to możliwe. Tego ranka to tutaj panował największy ruch. Uprzedzili go w punkcie pobierania opłat, że most zostanie zamknięty o pierwszej. Jadące w przeciwną stronę samochody stały w długim korku, zderzak przy zderzaku. Walter zdał sobie sprawę, że powinien był jednak zostać w domu, znaleźć sobie jakieś zajęcie, choć przecież już wszystko przygotował. Nie miał ochoty tkwić w czterech ścianach i czekać na huragan. Kiedy sztorm zacznie szaleć, i tak będzie musiał tkwić w czterech ścianach.

W marinie kręciło się pełno ludzi, którzy w ostatniej chwili starali się uwiązać swoje łodzie, duże i małe, możliwie jak najlepiej. Niektórzy ładowali je na przyczepy. Kilku śmiałków — albo głupców, jak stwierdził Walter — wyruszyło po wzburzonych wodach zatoki, żeby zacumować w bezpieczniejszym miejscu.

Atmosfera była napięta, w powietrzu unosił się zapach spalin. Wymiana słów o mały włos nie zamieniała się w wymianę ciosów. Trwające już kilka dni oczekiwanie zakończyło się świadomością, że Isaac nieuchronnie dąży w ich kierunku. Nadszedł

kres przewidywań. Zgasła nadzieja na to, że w ostatniej chwili huragan zmieni kurs. Nie było już ucieczki, pozostało jedynie przygotować się na ten ciężki czas najlepiej, jak to tylko możliwe.

Walter zatrzymał się w rogu parkingu mariny, gdzie właściciele łodzi mogli go widzieć, on zaś mógł z nimi porozmawiać. Howard Johnson, właściciel przystani i sklepu ze sprzętem rybackim, zaprosił kiedyś Waltera, żeby tam parkował, kiedy tylko zechce. W zamian Walter trzymał specjalną butelkę koniaku. Pod koniec ciężkiego dnia siadali sobie razem i sącząc zacny trunek, dzielili się opowieściami.

Walter stwierdził, że tego dnia popracuje tylko godzinę. Za darmo rozda to, co ma, aż jedzenie się skończy albo godzina minie.

Z początku nie zwracał uwagi na furgonetkę, która zaparkowała przy krawężniku chodnika prowadzącego na nabrzeże. Potem zauważył, że jej właściciel walczy z wielkim workiem, wywleka go z furgonetki, a później ciągnie za sobą. W tym miejscu nie był to nadzwyczajny widok. Walter oglądał już takie „worki na tuńczyki", jak je nazywano. Rybacy przechowywali w nich ryby, kiedy złowili więcej, niż mogła pomieścić lodówka. Worki były grube, mocne, wodoszczelne, około dwóch metrów na metr. Wyglądały jak gigantyczne torby na zakupy, z podszewką, którą można zdjąć i wyprać.

Walterowi wydało się jednak trochę dziwne, że ktoś ciągnie ryby na łódź. Zwykle odbywa się to na odwrót. Mężczyzna miał na sobie niebieską czapkę bejsbolówkaę, krótkie spodnie, buty żeglarskie i koszulę khaki, zapinaną na guziki, opuszczoną na spodnie. Walter dojrzał naszywkę na rękawie. Skąd, u diabła, wziął się tutaj jakiś mat w mundurze i dlaczego targa worek z rybami? Raptem rozpoznał tego mężczyznę.

— Hej, Joe!

W marinie panował jednak zbyt duży hałas, żeby Joe go usłyszał.

Worek sprawiał wrażenie strasznie ciężkiego.

Walter rozejrzał się po kantynie. Jeszcze nie włączył żadnych urządzeń. Zostawił na wierzchu tacę z hot dogami i przyprawami. Zaraz wróci. Zamknął wszystkie drzwi i ruszył w stronę chodnika, żeby pomóc Joemu.

— Hej, Norris!

Tym razem Joe obejrzał się przez ramię, z początku niepewnie. Miał czerwoną twarz i ociekał potem. Nerwowo rzucił wzrokiem dokoła, jakby nie spodziewał się, że go tu ktoś pozna.

— Pomogę ci — rzekł Walter, chwytając jeden koniec worka.

— Nie, nie trzeba, panie B. Dam sobie radę.

Joe próbował odciągnąć worek, ale Walter nie puścił swojego końca, tylko spytał:

— Masz tutaj łódź?

Tak naprawdę chciał zapytać Joego, dlaczego włożył jedną ze starych koszul swojego ojca. Nawet na czapce bejsbolówce wyhaftowane były insygnia marynarki. Walter zaczekał, aż Joe się podda i pozwoli sobie pomóc.

— Motorową z kabiną. — Wskazał głową drugą łódź na prawo.

Walter gwizdnął.

— Piękna. — Uśmiechnął się na tę ekstrawagancję ortograficzną, widząc wypisaną drukowanymi czarnymi literami nazwę na dziobie: Niespokojny Duh.

— Ojciec mi ją zostawił. Pomyślałem, że popłynę i zacumuję ją w Biloxi.

— Teraz? Chyba nie mówisz poważnie, co?

— Oko huraganu prawdopodobnie trafi w Pensacolę, może lekko skręci na wschód. Porywiste wiatry wieją na przestrzeni jakichś stu sześćdziesięciu kilometrów od oka.

Joe nie był nawet zdyszany. Walter przeciwnie. Przyłapał się na myśli, że ten chłopak jest w dobrej formie.

— Fale mają już gdzieś tak ze trzy metry — powiedział Walter, starając się nie sapać jak stary człowiek.

— Pływałem w gorszych warunkach. Północno-wschodni kwadrant oberwie najgorzej. Płynąc na zachód, oddalę się od niego. Trochę jestem spóźniony. Zamierzałem wyruszyć wcześniej.

Pomógł Joemu załadować worek na pokład. Kombinezon Waltera był już przemoczony na piersiach i plecach. Pot spływał z czoła i skapywał z nosa, ale potrzebował obu rąk, żeby unieść worek i zejść po schodkach do kabiny.

Gdy Joe upuścił ładunek, coś w środku jęknęło i poruszyło się. Walter natychmiast spojrzał Joemu w oczy. Wciąż trzymał swój koniec, kiedy Joe przyłożył mu rewolwer do brzucha i powiedział:

— Co za niespodzianka. Pojedzie pan ze mną na tę wycieczkę, panie B.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Maggie wiedziała, że jeśli będzie czekać z pytaniami do zakończenia huraganu, nikt już nie będzie pamiętał białej rybackiej lodówki z nierdzewnej stali z żółto-niebieskim sznurem ani jej właściciela, mężczyzny o imieniu Joe, który być może jest także właścicielem jednej z łodzi zacumowanych w marinie. Pamięć o tym, co działo się przed huraganem, zostanie zepchnięta na drugi plan przez chaos, który nastąpi po jego przejściu. Poza tym obiecała Liz Bailey, że spotkają się w marinie. Czekając na nią, może trochę popytać.

Stan, w jakim były części ludzkiego ciała znalezione w lodówce, sugerował, że nie leżały tam zbyt długo. Proces rozkładu dopiero się zaczynał. Z doświadczenia —

niestety miała przykrość poznać takie szczegóły — wiedziała, że przeciętnych rozmiarów zamrożony ludzki tors rozmraża się cztery do pięciu godzin. W lodówce, kiedy ją wyłowiono, nie było już lodu. Biorąc pod uwagę, że woda w Zatoce Meksykańskiej jest ciepła i świeciło słońce, Maggie zakładała, że pakunki znajdowały się w lodówce dwa dni. Najwyżej trzy.

Nawet jeżeli były przeznaczone na konferencję chirurgów organizowaną przez niejakiego Lawrence'a Pipera, nie wyjaśniało to, jak Vince Coffland stał się mimowolnym dawcą.

Zanim opuściła wygodny pokój w hotelu, poszukała w internecie informacji na temat firmy Nowoczesne Technologie w Służbie Medycyny. Firma organizowała edukacyjne seminaria w wielu kurortach na Florydzie, dając sposobność rozmaitym producentom sprzętu medycznego do zaprezentowania chirurgom z całego kraju swoich najnowszych technologii. Obiecywali lekarzom możliwość zdobycia praktycznego doświadczenia, zapewniając jednocześnie dyskrecję dawcom. Nie ujawniali sposobu ich pozyskiwania.

Obejrzawszy strony konkurencyjnych biznesów, Maggie zdała sobie sprawę, że NTSM jest tylko jedną z wielu podobnych firm, które istnieją legalnie. Kupują „wcześniej pocięte" i „zamrożone części ludzkiego ciała" od pośredników takich jak Joe. Na podstawie dość szybkiej analizy zrozumiała, że popyt jest duży, a podaż ograniczona. Natychmiast zastanowiła się, czy Platt miał rację, pytając ją, czy ów morderca wykorzystuje takie okoliczności jak huragan, by zdobyć swoje ofiary. Uświadomiła sobie, że prawdopodobnie tak właśnie się dzieje. Huragan służy temu człowiekowi za przykrywkę, pretekst pozwalający zrealizować rosnące zamówienia. Czy Vince Coffland został zamordowany z zimną krwią? Czy był ofiarą czyjejś chciwości?

W marinie panował tłok, warsztaty i sklepy pracowały pełną parą, starając się zadowolić zdesperowanych właścicieli łodzi. Maggie zagadała faceta ze sklepu ze sprzętem rybackim, korzystając z chwili przerwy, kiedy nie obsługiwał klientów. Howard Johnson, potężny mężczyzna z wydatnym torsem, górował nad Maggie. Rzadkie siwe włosy były jedyną oznaką jego wieku. Oceniła go na sześćdziesiąt parę lat. Mimo to w jego przyciętej koziej bródce widniały jasnoblond pasma, sugerując, że to on jest tym złotowłosym surferem, bohaterem wiszących na ścianach fotografii. Miał na sobie wzorzystą pomarańczowo-niebieską rozpinaną koszulę w ryby, wypuszczoną na szerokie krótkie spodnie khaki.

W utrzymanym w idealnym porządku sklepie znajdował się niezwykły i barwny sprzęt. Wzdłuż czterech ścian biegła metalowa półka z ekspozycją modeli rozmaitych statków i łodzi. Maggie patrzyła na to wszystko zafascynowana.

Nie przestając rozglądać się z podziwem, pokazała Howardowi odznakę FBI. W jego postawie natychmiast zaszła zmiana. Nadal kiwał uprzejmie głową, ale w

spojrzeniu pojawił się błysk podejrzliwości. Jedną dłoń schował do kieszeni, drugą położył płasko na ladzie, jakby szykował się na coś, co ma nastąpić. No tak, Howard nie ufał agentom FBI. I nie był w tym odosobniony. Maggie pokazała mu zdjęcia rybackiej lodówki. Na ostatnim z nich widniało zbliżenie żółto-niebieskiej liny.

Howard wzruszył ramionami.

— Wygląda normalnie, codziennie widzę takie lodówki. Prawdę mówiąc, mam identyczną, tylko większą, na łodzi, którą wypływam łowić na głębokich wodach.

— A ta lina?

— U mnie jest metalowa.

— A taką już pan widział?

Kolejny raz wzruszył ramionami, ale zerknął jeszcze na zdjęcie. Maggie czuła, że wciąż traktował ją podejrzliwie. Splótł ramiona na potężnej piersi. Był pełen rezerwy. Zmarszczył czoło zniecierpliwiony.

— Ludzie używają różnych rzeczy, żeby nadać swoim sprzętom osobisty charakter — rzekł. — Dzięki temu łatwiej coś znaleźć, jak wszyscy równocześnie rozładowują łodzie na nabrzeżu. To tak jak przy odbiorze bagażu na lotnisku. Wie pani, o czym mówię? Ludzie oznaczają walizki wstążeczkami albo kolorowymi rzemykami, żeby je widzieć, jak przesuwają się na taśmociągu bagażowym.

Maggie o tym nie pomyślała. Poszukując mordercy na podstawie kawałka liny, miała jedną szansę na milion.

— Ma pan jakiś pomysł, jak lodówka tej wielkości mogła się znaleźć za burtą?

— To znaczy przypadkowo?

Kiwnęła głową.

Howard skrzywił się i podrapał się w głowę, jakby poważnie się zastanawiał.

— Niektórzy przywiązują je za łodzią, kiedy na pokładzie nie ma już miejsca. Taka lodówka utrzymuje się na powierzchni, niezależnie od tego, co jest w środku, trzeba ją tylko porządnie przywiązać do rufy. Pewnie czasami jakaś się odczepi, a człowiek od razu tego nie zauważy.

— Maggie.

To była Liz Bailey. Umówiły się na spotkanie w marinie, ale Liz weszła do sklepu zadyszana.

— Howard, widziałeś mojego tatę?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Benjamin Platt trzymał go za ramiona, młody mężczyzna był bowiem zbyt słaby, by samodzielnie choć trochę się unieść. Łatwo było się tego domyślić, widząc

plamy na pościeli. Pacjent wymiotował zielonym płynem do miski z nierdzewnej stali.

— Damy panu zastrzyk — powiedział Platt, pomagając mu położyć się z powrotem. Oczy żołnierza były szkliste. Nawet nie próbował odpowiedzieć. Platt zdawał sobie sprawę, że chory najpewniej go nie słyszy. Mimo to, dając znak pielęgniarce, by zrobiła zastrzyk, wyjaśnił: — Pewnie pokłujemy pana jeszcze kilka razy. — Sięgnął po ręcznik ze stojaka i wytarł wymiociny z kącika ust chorego.

— Dziękuję. — To jedno słowo kosztowało go sporo wysiłku, więc Platt zdziwił się, kiedy żołnierz wysylabizował: — To chyba gorsze, niż kiedy straciłem stopę.

— Będzie lepiej — rzekł Platt. — Obiecuję panu.

Pielęgniarka miała sceptyczną minę. Widział ją kątem oka, ale nie zrywał kontaktu wzrokowego z pacjentem. Nie zdradzi się przed nim, że nawet lekarz nie jest pewien rezultatów kuracji. Zatrzymał się, żeby zmienić rękawiczki, zanim ruszy do następnego łóżka.

— Kontrolowany chaos — rzekł Ganz, stając za jego plecami.

— Kontrolowany to słowo kluczowe.

— Udało mi się załatwić, że ktoś nam dostarczy więcej antybiotyków betalaktamowych. Myśli pan, że to pomoże?

— Niech pan pomyśli o *Clostridium sordelii* jako o maleńkich, podobnych do jajeczek zarodnikach. Muszą przeżuć enzymy, żeby ściany komórek bakterii się zsyntetyzowały. Ta grupa antybiotyków wiąże się z tymi enzymami i sprawia, że stają się nieaktywne, a przynajmniej niedostępne dla bakterii.

— Więc bakteria nie będzie w stanie się mnożyć.

— Ani rozprzestrzeniać.

— A co z pacjentami, u których już się rozeszła po organizmie?

Platt odetchnął głęboko.

— Nie wiem, naprawdę nie wiem. Nie istnieje żadna rutynowa metoda leczenia. Działamy metodą prób i błędów. — Spojrzał Ganzowi w oczy. — Chce pan jeszcze zmienić zdanie?

— Nie, absolutnie nie. Nie mamy nic do stracenia.

— Powstrzymamy bakterię nawet w tych zaawansowanych stanach. Wszystko zależy od tego, jakie szkody już poczyniła. — Platt wrócił myślą do młodego mężczyzny i jego stwierdzenia, że ta choroba jest gorsza niż utrata stopy. — Co robicie z amputowanymi kończynami?

— Słucham?

— Ten młody żołnierz, którego właśnie badałem, miał amputowaną stopę. Co się z nią stało?

Niektóre rodziny domagają się, żeby im oddać pozostałości po amputacji. W innych przypadkach przekazujemy do banku tkanek.

— W Jacksonville?

— Tak.

— A jeśli w amputowanej kończynie znajduje się szrapnel?

— To już nie moja działka.

— Ale wysłałby ją pan do banku?

— Jasne. To tam dokonują oceny. Gdyby w tkance znajdował się szrapnel, prawdopodobnie uznano by taką stopę za bezużyteczną i wyrzucono.

Platt pomyślał o sprawie, którą zajmowała się Maggie. Czy to możliwe, że znaleziona w rybackiej lodówce stopa została wcześniej amputowana jakiemuś żołnierzowi?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Na widok opustoszałej kantyny Liz najpierw wpadła w złość. Już i tak była wściekła na ojca, że z nudów i ciekawości wybrał się na plażę. Nie chciał stracić tego, co się będzie działo. Czasami zastanawiała się, czy nie jest taka sama jak on. Miała jego energię, tę samą chęć, żeby tutaj być, niezależnie od tego, jak bardzo było to niebezpieczne. Kiedy już adrenalina zaczynała działać, trudno było ją powstrzymać.

Złość Liz zamieniła się jednak w zatroskanie, kiedy zajrzała do środka kantyny i zobaczyła na ladzie tacę z hot dogami i przyprawami. Pojazd był zamknięty, ale najwyraźniej ojciec nie zamierzał oddalać się na dłużej. Odpowiedź Howarda jeszcze zwiększyła jej niepokój:

— Widziałem go godzinę temu. Pomagał jakiemuś gościowi zaciągnąć worek na ryby na łódź.

— Czy ta łódź jeszcze tu stoi? — Liz była wściekła, że słyszy w swoim głosie panikę. Nawet Maggie stanęła obok niej i wyjrzała przez okno z niepokojem. Z każdą chwilą robiło się ciemniej. Zapaliły się lampy na parkingu, a jeszcze nie było południa.

— Nie, odpłynęła. Była na stanowisku numer dwa — odparł Howard.

— Jest dosyć późno na to, żeby wypływać, prawda? — spytała Maggie.

— I niebezpiecznie — dodała Liz.

— Prawdę mówiąc, to głupota, ale nie on jeden tak zrobił. Nie przetłumaczysz im. Znasz ten typ. Znajdą się w kłopotach, to będą oczekiwać, że ty i twoja załoga polecicie i z narażeniem życia będziecie ratować ich tyłki.

— Czy to był twój klient?

— Tak, mój. — Stanął przy komputerze i wyświetlił stronę z rachunkami.

Liz słyszała sporo plotek na temat Howarda Johnsona. Mówiono, że przez lata handlował narkotykami. Wycofał się dopiero wtedy, gdy dowiedział się, że federalni zamierzają go zapuszkować. Krążyły także pogłoski, że nigdy nie odnaleziono kilku milionów dolarów zarobionych na narkotykach, i że to Howard gdzieś je ukrył. Mimo to jej ojciec zawsze powtarzał, że Howard to „porządny gość".

— Łódź nazywa się Niespokojny Duh, duh przez samo h. Właścicielem jest niejaki Joe Black. Przypłynął w piątek. Zarezerwował miejsce na cały tydzień.

— Może popłynął po benzynę? — spytała Maggie.

— Nie znam takiego miejsca, gdzie mieliby jeszcze benzynę — odparł Howard. — Ale może on wie coś, czego ja nie wiem.

— Chwileczkę — powiedziała Liz. — Joe Black? — Odwróciła się do Maggie. — Mój tata pił z nim wczoraj wieczorem. Tata mówił, że to przyjaciel mojego szwagra. — Poczuła, jak panika skręca jej kiszki. — Scott twierdził, że to on jest właścicielem rybackiej lodówki, tej, którą widziałam w szopie na tyłach zakładu pogrzebowego.

Maggie patrzyła na nią przez chwilę. Liz zdawała sobie sprawę, że agentka dostrzega w jej oczach poważny niepokój.

— Ma pan pojęcie, skąd jest ten Black? A może dokąd popłynął? — spytała Maggie.

Howard zerknął na nią, potem przeniósł spojrzenie na Liz i znów na Maggie. On także spostrzegł przestrach Liz.

— To podlega ochronie danych. Nie mogę wam podać jego adresu w Jacksonville bez nakazu. — Potem machnął ręką w stronę zniecierpliwionego klienta. — Przepraszam panie.

Liz nachyliła się do Maggie, stojąc tyłem do zatłoczonego sklepu.

— Tata podejrzewał, że Joe Black to nie jest jego prawdziwe imię i nazwisko.

— Tak — rzekła Maggie zbyt spokojnie. — Też jestem tego zdania.

— Sądzi pani, że to do niego należała znaleziona przez nas w Zatoce Meksykańskiej lodówka?

— Tak.

— Czy mojemu tacie coś grozi?

— Oby tylko pomógł Blackowi załadować łódź, a teraz pomaga innym.

Liz wyjrzała przez okno sklepu. Jak na swój wiek jej ojciec był w świetnej formie fizycznej. Dałby sobie radę. Nie powinna wyciągać pochopnych wniosków. Przypuszczalnie w tej chwili pomaga komuś innemu. Ponad trzydzieści pięć lat spędził w marynarce i świetnie wiedział, jak zabezpieczyć łódź.

Nagle zerwał się wiatr, silne podmuchy uginały palmy i przewracały wszystko, co nie było dobrze przytwierdzone do podłoża. Kosze na śmieci i puste kanistry po benzynie toczyły się wzdłuż nabrzeża, szyby w oknach zabrzęczały. W sklepie

zapadła kompletna cisza, więc gdy zaczęło padać, zabrzmiało to tak, jakby ktoś walił kamieniami o ścianę.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Kesnick, w jaskrawo — żółtym poncho, zobaczył Liz.

— Bailey, musimy lecieć.

Podał jej i Maggie identyczne, porządnie złożone poncha. Liz przypomniała sobie, że agentka nigdy dotąd nie przeżyła huraganu.

— Teraz polecimy? — spytała Maggie zatrwożona.

— To dopiero początek — oznajmiła Liz. — Za parę minut się uspokoi. Jakieś sześć do dziesięciu godzin tak to będzie wyglądało. Wiatr ucichnie tak samo niespodziewanie, jak się zerwał, za każdym razem będzie to jednak trwało dłużej i z czasem nabierze siły. — Gdy zauważyła, że Maggie pobladła, dodała szybko: — Mam kapsułki z imbirem.

Wychodząc ze sklepu, Liz odszukała Howarda. Nie chciała mu przeszkadzać, bo właśnie przyjmował od klienta pieniądze, ale wyczuł jej napięcie i nawet nie czekał na jej prośbę, tylko powiedział:

— Zajmę się nim, jak go znajdę. I nie martw się o kantynę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Łódź huśtała się na boki, rzucając Walterem w kabinie od ściany do ściany. Joe Black związał mu plecionym sznurem ręce i stopy. Walter ślizgał się i uderzał w drewniane panele. Między nim a schodami prowadzącymi do kokpitu leżał worek.

Walter przyglądał się mu, chociaż w tym celu musiał się przekręcić i obejrzeć przez ramię. Nie mógł się całkiem odwrócić, bo łódź za mocno się kołysała, był jednak pewien, że coś, a raczej ktoś znajduje się w tym worku. Z początku dochodziły do niego jakby jęki. Teraz już nic.

— Jak sobie radzisz, Walter? — krzyknął Joe, by przebić się przez warkot silnika.

Zajrzał na dół. Walter zobaczył tylko górny fragment jego czoła. Wiedział, że ten smarkacz nie będzie miał odwagi opuścić kokpitu. Musi tam zostać i pilnować steru. Sądząc z narastających przechyłów łodzi oraz wznoszenia się i opadania, fale były coraz gwałtowniejsze. Wkrótce nie będzie miało żadnego znaczenia, jak Joe steruje łodzią. Usłyszał trzask radia, a potem głos Joego huknął z pudełka na ścianie kabiny:

— Hej, Walter. Nie możesz nacisnąć guzika, żeby mi odpowiedzieć, ale chciałbym ci coś wyjaśnić. Nic do ciebie nie mam. To tylko interesy.

Walter obrócił się nieco, żeby lepiej widzieć radio. Wisiało na ścianie jakiś metr nad jego głową. Czy to na pewno radio? A może interkom? Światło docierało jedynie przez iluminatory, które zalewały fale. Było za ciemno, żeby cokolwiek powiedzieć. Przylgnął do ściany, usiłując wstać, ale łódź znowu się zakołysała i rzuciło go na drugą stronę. Tak mocno uderzył głową, że zobaczył gwiazdy.

— Wszystko, co ci mówiłem, Walter, to prawda — dobiegał z góry głos Joego. — Opowiadałem ci o moim ojcu. Był w marynarce. Kochał to, chociaż oni nie odwzajemniali jego uczucia. Tę łódź dostał dopiero wtedy, kiedy dowiedział się, że jest chory. Za długo czekał na to, by cieszyć się życiem. Zawsze mówił, że go na to nie stać.

Kolejna fala omal nie wywróciła łodzi do góry dnem. Worek uderzył o Waltera, który przycisnął pięty do jednej ściany, a ramiona do przeciwległej. Kiedy łódź znowu się zakołysała, worek przesunął się w stronę schodów, ale Walter został na miejscu.

Coś mu mówiło, że dla tego smarkacza Joego to jest jak jazda górską kolejką. Znał takich jak on w marynarce. Kochali przygody, im bardziej niebezpieczne, tym lepiej. Łaknęli mocnych wrażeń. U siebie też to dostrzegał, chociaż w minimalnym stopniu. Zauważał to u Liz i martwił się, żeby to się źle dla córki nie skończyło. Zawsze nadchodzi taki czas, kiedy przypływ adrenaliny nie wystarcza albo kiedy człowiek myśli, że jest niezniszczalny, ponieważ tak wiele już przeżył. Co takiego powiedziała mu niedawno Liz? Patrzysz bestii w oczy i wygrywasz, więc podnosisz stawkę i podejmujesz coraz większe ryzyko.

Nie, Walter nie był zdziwiony, że huragan nie powstrzymał Joego.

Po chwili znów usłyszał:

— Hej, Walter, wolałbym cię nie związywać, bo pewnie by ci się tutaj podobało. Powinieneś to zobaczyć z góry. Założę się, że niejedno przeżyłeś na wodzie, co? — Znowu trzask radia, a potem klik, klik. Walter pomyślał, że połączenie nawaliło. Zaraz jednak Joe dodał: — Mogłem cię stracić. Te radia wymagają unowocześnienia. — Walter przeczekał kolejną falę. Łódź unosiła się, po czym znów opadała. Worek przeturlał się na jedną, a potem na drugą stronę, uderzając w ścianę, ale Walter utrzymał się na miejscu. — Jednego nauczyłem się od mojego ojca. Nie wolno odkładać przyjemności na później. Trzeba brać, co się da i kiedy się da. Po wszystkich tych latach, kiedy mój ojciec chorował, a marynarka mu nie pomogła... cóż, powiedzmy, że wyrównuję rachunki. — Następna gwałtowna fala. — I wiesz co, Walter? Nauczyłem się lubić huragany. Trzeba tylko umieć je wykorzystać. — Pomyślał, że Joe mówi o tych szalejących falach. Wielbiciel ekstremalnych doznań. Nie przyszło mu do głowy, o co naprawdę chodzi, dopóki nie zobaczył, że worek się poruszył i zamek błyskawiczny zaczął się rozsuwać. — Tak, tego lata huragany okazały się dla mnie dojną krową. Bo wiesz co? Po huraganach

ludzie zawsze znikają, rozpływają się w niebycie. Nie, nie w niebycie. Zaginiona osoba staje się dawcą. Wiesz, ile jest warte jedno ludzkie ciało?

Głowa pękała Walterowi z bólu. Zamrugał, myśląc, że ma halucynacje. Przekręcił się, żeby lepiej widzieć, i wstrzymał oddech, patrząc, jak z worka wyczołguje się posiniaczona i potłuczona Charlotte Mills.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Maggie wiedziała, że będzie potrzebowała więcej niż dwie kapsułki sproszkowanego imbiru, by przez to przejść. Na jakiej podstawie w ogóle pomyślała, że proponowany jej przez Liz Bailey sposób wydostania się z Pensacoli to bułka z masłem? Skąd jej to przyszło do głowy? Bo nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Jeszcze wczoraj pytała przecież Charliego Wurtha, jak groźny może być sztorm.

Wszyscy mówili, że znaleźli się dopiero w strefie peryferycznej huraganu, ale powietrze już było tak gęste, że nie dało się nim oddychać. Maggie miała wrażenie, jakby świat się przechylił. Drzewa pochylały się na boki. Deszcz lał szerokimi zakosami, ściana wody miotana wiatrem. Parę osób, które znajdowały się na zewnątrz, zataczały się z jednej strony na drugą, zgięte wpół, żeby nie przewrócić się pod naporem wichru. A z wichrem fruwało wszystko. Maggie z trudem utrzymywała równowagę, atakowana wodą, masą powietrza i drobinkami piasku. Zdawało jej się, że skóra nakłuwana jest jednocześnie milionem maleńkich szpilek.

Potem równie nagle, jak to się zaczęło, wszystko ucichło. Przysięgłaby, że przez warstwy szarych chmur nad głową widzi nawet skrawek błękitnego nieba. Liz, przebrana już w służbowy strój, przyglądała się jej.

— Da pani sobie radę?

— Tak, jasne — odparła Maggie, rozpinając odrobinę lotniczy kombinezon, żeby pokazać Liz kaburę pod pachą, a w niej smitha&wessona. — Mam wszystko, co potrzeba, bym czuła, że panuję nad sytuacją — zażartowała.

Liz uśmiechnęła się, ale nie zdołała skryć niepokoju. Maggie widziała jednak w jej oczach coś innego niż chwilę wcześniej, kiedy Liz bała się, że jej ojciec znalazł się w groźnej sytuacji. Wtedy to był cień paniki, i Maggie miała ochotę ją wyciszyć. Prawdę mówiąc, jeżeli Walter Bailey nadal przebywał z Joem Blackiem, niewykluczone, że był w niebezpieczeństwie, ale w tej chwili nie mogły nic na to poradzić.

Maggie zauważyła, że Liz już się przestawiła i zaczęła myśleć o pracy.

— Skąd u pani taka odwaga? — spytała ją Maggie.

Liz znowu się uśmiechnęła, aż do niej dotarło, że agentka specjalna FBI nie żartuje.

— Mój podstawowy instynkt to instynkt przeżycia.

Maggie uniosła brwi. Chciała to zrozumieć.

— Sam fakt, że wsiadam na pokład helikoptera czy opuszczam się do wody, wcale nie świadczy o odwadze, najwyżej o tym, że jestem trochę stuknięta. — Zaśmiała się krótko. — Wiem, że pewne rzeczy są instynktowne — ciągnęła Liz. — Takie, na które inaczej bym się nie odważyła, niezależnie od tego, czy ratujesz komuś życie albo stajesz twarzą w twarz z mordercą. Ostatecznie obie te sytuacje sprowadzają się do tego, żeby przeżyć. — Wzruszyła ramionami. — Nie mam czasu myśleć o odwadze. Założę się, że pani też nie. — Maggie chciała ją zapytać, jakim cudem jest taka mądra. Zdała sobie sprawę, że Liz czeka na jakąś odpowiedź, jakiś znak potwierdzenia czy zrozumienia, jednak kiwnęła tylko głową.

— Tak czy owak, niech pani nie przejmuje się za bardzo tym lotem — dodała Liz. — Prawdopodobnie nie otrzymamy żadnych wezwań, a i tak szybko każą nam lecieć do Jacksonville. Nie pozwolą nam zbyt długo zostawać w powietrzu. Jak wiatr osiągnie osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, już nas tu nie będzie. — Ale Maggie już jej nie słuchała. Patrzyła przez okno, jak komandor porucznik Wilson i drugi pilot Ellis wchodzą na pokład śmigłowca. Pete Kesnick czekał na nie. W tej chwili Maggie myślała wyłącznie o tym, jak szybko niebo przybrało niewyobrażalnie ciemny odcień szarości.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

— Mój Boże, Charlotte, nic ci nie jest? — Walter nie wierzył własnym oczom. Prawa strona jej drobnej twarzy była jednym wielkim siniakiem. Siwe włosy sterczały z końskiego ogona. Dolną wargę miała przeciętą, a w oszalałych oczach malowała się panika połączona z szokiem. Patrzyła na Waltera, jakby go nie poznawała. Wyczołgała się z worka, ciągnąc prawą nogę. Kostka tuż nad sportowym butem tak spuchła, że skojarzyła się Walterowi z rosnącym bochenkiem chleba. — Charlotte — szepnął, przenosząc spojrzenie na schody. Joe zamilkł, nie słyszeli jego głosu przez radio. Wcześniej Walter pragnął wierzyć, że Joe nie opuści kokpitu. Teraz modlił się, by tego nie zrobił. — Charlotte, wiesz, gdzie jesteśmy? — spytał.

Kopnęła na bok worek i w momencie, kiedy łódź znowu się przechyliła, chwyciła mocno skórzany pas umocowany do podłogi.

Poza siniakami i spuchniętą kostką Walter nie zauważył żadnych złamań ani krwawienia.

— Słyszysz mnie? — spytał cicho. Wiedział, jak czuje się człowiek, który utknie w luku towarowym. Zamknięcie w worku działa pewnie tak samo. Martwił się, że Charlotte nie da się już pomóc.

— Słyszałam każde słowo, które ten drań wypowiedział od chwili, gdy uderzył mnie w głowę.

Walter omal nie zaśmiał się z ulgi.

— Stara, dobra Charlotte.

Przyczołgała się do niego i zaczęła rozwiązywać linę krępującą mu ręce. Ale Walter ją powstrzymał.

Pokazał brodą do góry.

— Mogę zaczekać. Potrafisz obsługiwać takie radio?

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Znajdowali się w powietrzu zaledwie kilka minut, kiedy otrzymali wezwanie o pomoc. Liz słyszała, jak Wilson rozmawiał ze stanowiskiem dowodzenia, poznając szczegóły. Obejrzała się na Maggie. Agentka FBI wyglądała nie najgorzej, dopóki wiatr znowu nie nabrał siły. Zapięła mocno pas bezpieczeństwa i ściskała skórzany pas przymocowany do ściany śmigłowca.

Liz zdała sobie sprawę, że kiedy przebywa się w powietrzu, odczucie wiatru i deszczu jest zupełnie inne niż na ziemi. Wilson nie mógł lecieć nad chmurami jak odrzutowiec, żeby ich uniknąć, a ponieważ zaciskał palce na sterach, śmigłowiec kołysał się i nurkował częściej, niż było to konieczne.

Zaczęła szykować się do wyjścia z helikoptera. Z krótkiej informacji, którą jej przekazano, wynikało, że mają do czynienia z osobą wymagającą opieki medycznej. Długa na dziesięć metrów łódź motorowa z kabiną była cała, nie została zalana wodą ani uszkodzona. Powinno zatem być trochę łatwiej, ale tylko trochę.

Woda była wzburzona, fale były już czterometrowe.

Nawet zawodowiec musiałby być szalony, żeby wypływać w taką pogodę.

— Trzymajmy ratownika nad wodą — rzekł Wilson.

Wciąż jestem dla nich „ratownikiem”, pomyślała Liz.

Wiedziała jednak doskonale, że musi skupić się na tym, co dzieje się na dole.

Widzieli łódź podrzucaną przez fale, chwilami ustawioną niemal prostopadle w stosunku do nieba. Potem fale się podnosiły, a łódź opadała. Wyglądało to tak, jakby woda połykała łódź, a potem ją wypluwała, i znów to samo, i znów.

— Poczekaj, aż pokład się podniesie — powiedział do Liz Pete Kesnick. — Zejdź na pokład, zanim fala urośnie. Musisz się czegoś złapać, nim znowu uderzy.

Kiwnęła głową, mimo to z uwagą patrzył jej w oczy, jakby chciał się przekonać, czy jest faktycznie przygotowana do tego zadania.

Wzburzone morze zawsze stanowiło zagrożenie. Wicher i łódź zwiększały ryzyko.

— Przy tym wietrze nie zdołamy opuścić kosza — rzekł Wilson.

— Powiedzieli, w jakim stanie jest pacjent? — spytał Kesnick.

— Nie. Stracili kontakt, zanim podali szczegóły.

— Spróbujemy najwyżej trzy razy. — Ten przekaz był skierowany przede wszystkim do Liz. — Jeśli uznam, że nie damy rady, wciągnę cię z powrotem. Zrozumiałaś?

— I żadnych popisów, Bailey — powiedział Wilson. — Nie chcemy stracić naszego ratownika, nim huragan naprawdę uderzy.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Gdy tylko usłyszeli śmigłowiec nad głową, Joe Black zbiegł po schodach.

— Co ty, do diabła, wyprawiasz, Walter?

Jeszcze nie udało im się rozwiązać sznura krępującego nogi Waltera. Nie mógł wstać, nie tracąc równowagi, mimo to zamachnął się pięścią i trafił zaskoczonego porywacza w twarz. Charlotte także zerwała się na nogi, chociaż z powodu spuchniętej kostki musiała skakać, próbując zadać cios. Potem łódź przechyliła się i wszyscy troje wylądowali na podłodze.

Kiedy fala się uspokoiła, Joe chwycił Charlotte za kołnierz i wycelował rewolwer w pierś Waltera.

— Wiedziałem, że powinienem był was oboje zabić. Po prostu nie chciałem, żebyście zasmrodzili moją łódź, zanim dotrę do Biloxi.

Pchnął Charlotte na podłogę obok Waltera, potem stanął nad nimi, zerkając na schody. Walter widział, że Joe bardzo chciał wrócić na górę.

Jeśli śmigłowiec nie dostrzeże żadnych niepokojących znaków, czy zaryzykują i wyślą kogoś na dół? Dobry Boże, modlił się w duchu Walter, żeby tylko nie padło na Liz. Miał nadzieję, że była już w drodze do Jacksonville, a to jest zupełnie inna załoga, która została na miejscu na wszelki wypadek.

— Jeszcze mogę was zastrzelić — mówił Joe. Rozstawił szeroko stopy i oparł jedną rękę o ścianę, żeby się nie przewrócić, kiedy łódź kołysała się na fali. — Ale nie znoszę używać broni palnej ani noża. Za bardzo niszczą ciało. Nie ma nic gorszego niż lodówka pełna uszkodzonego towaru.

Joe grzmiał, a Walter się zastanawiał, czy w stresie traci nad sobą kontrolę. Szaleńcy są niebezpieczni. Czy jest już za późno? A może jednak zdoła dogadać się ze smarkaczem? Przycisnął dłoń do ściany i próbował się podnieść.

— Zostań na miejscu, Walterze, albo postrzelę cię w rękę. Mam mnóstwo rąk. Kiedy już będą umieli poradzić sobie z zespołem urazowym nadgarstka, ręce jako towar zrobią klapę.

— To koniec, synu Phillipa Norrisa — rzekł Walter, celowo używając nazwiska ojca Joego. Patrzył mu przy tym w oczy, próbując przywołać chłopaka, który ze smakiem zjadał hot dogi z Kantyny Coney Island. Miał pewność, że jeśli mu się uda, będą bezpieczni. Jednak nie był przygotowany na taką odpowiedź.

Joe wycelował broń, pociągnął za spust i lewa ręka Waltera eksplodowała.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Scott ignorował telefony Trish. W końcu wyłączył komórkę i rzucił ją na stół do balsamowania.

Trish chciała, żeby pojechał do domu jej ojca. Nie mogła znaleźć swojego tatusia. Nie mogła skontaktować się z siostrą. Znowu wpadła w panikę. Wcześniej powiedział jej, że musi zostać w zakładzie pogrzebowym, dopilnować, by wszystko było w porządku. Na wypadek gdyby szyba wyleciała z okna, chciał być na miejscu, żeby zabić okno deskami, zapobiegając zalaniu pomieszczeń. Trish tego nie rozumiała. W końcu nie ruszył palcem, żeby ochronić ich nowiusieńki dom.

— To co innego — próbował wyjaśnić.

Zakład pogrzebowy zapewniał im byt. Gdyby podczas huraganu ucierpiał dom, mogli zamieszkać w hotelu, ale gdyby to zakład pogrzebowy doznał uszczerbku, straciliby źródło dochodu. Jak ona może nie dostrzegać różnicy?

Znowu umył ręce. Nie mógł się pozbyć zapachu rozkładającego się ciała. Sprawdził szafki, porządnie wyszorował pomieszczenie do balsamowania zwłok, rozpylił środek odkażający. Mimo wszystkich tych zabiegów przykra woń nie znikała. Na jednej z konferencji przedsiębiorców pogrzebowych Scott słyszał o węchowych halucynacjach. Wtedy uznał, że to jakaś bzdura. Teraz zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma z tym właśnie do czynienia.

Na zewnątrz robiło się ciemno. Linie energetyczne tańczyły na wietrze. Ulewy zalewały ulice. Sosny już przełamały się na pół. Z każdą falą sztorm przybierał na sile. Scott usłyszał w radio, że kiedy huragan dotrze do nabrzeża, będzie tu szalał przez sześć do dziesięciu godzin. Albo dwanaście do piętnastu, jeżeli backstorm okaże się równie intensywny.

Musiał przyznać, że teraz, kiedy zobaczył, jak wygląda sytuacja przed huraganem, był przerażony. W dzieciństwie został zamknięty w bagażniku samochodu sąsiada. To była kara za to, że odpyskował starszym, silniejszym dzieciakom. Potem długo walczył z klaustrofobią. Ten sztorm na nowo obudził jego fobię.

Nagle jakiś trzask przywołał go do okna.

— Jasna cholera.

Gałąź potężnego dębu rosnącego za tylnymi drzwiami odłamała się. Ciężki konar upadł na ziemię, a drobniejsze gałęzie zaczepiły o linię energetyczną. Poszły iskry. Światło w zakładzie pogrzebowym zamrugało kilka razy, ale nie zgasło.

Scott zdał sobie sprawę, że drzewo może upaść na komin. Jeżeli szyby polecą, a gałęzie dostaną się do środka, nie będzie już tutaj bezpieczny. Trish kiedyś mu to mówiła, ale nie chciał jej słuchać.

Chwycił latarkę i zaczął szukać schronienia. Pomieszczenie gospodarcze? W radio mówili, że najlepiej skryć się w pomieszczeniu bez okna, które znajduje się w środkowej części budynku. Nerwowo krążył korytarzem.

Nagle zatrzymał się i odwrócił.

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Chłodnia jest z nierdzewnej stali. Żadna siła jej nie pokona.

Włączył światło i wciągnął do środka krzesło. Przesunął na bok stół z wujkiem Melem. Joe Black zapełnił dwie półki swoimi skarbami. Na drugim stole wciąż leżał młody mężczyzna, ten, który, jak wydawało się Scottowi, nagle się poruszył.

Zamknął drzwi chłodni i usiadł. Idealnie. Tutaj huragan nie zrobi mu żadnej krzywdy.

Znowu zamrugało światło. Usłyszał kliknięcie, a potem jeszcze dwa. Elektroniczne zamki chłodni zaskoczyły. Scott struchlał. Nie będzie w stanie otworzyć drzwi chłodni do momentu, gdy znowu włączą prąd.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Liz wytarła gogle, lecz nic to nie pomogło. Kropelki wody znowu przesłoniły jej widok.

Wiatr rzucał nią do góry i na dół, smagał i popychał z jednej strony na drugą. Raz prawie udało się jej dotknąć łodzi, ale Kesnick pociągnął za bardzo do góry, w końcu jednak stopą dotknęła pokładu. Kesnick poluzował linę, Liz opadła i potoczyła się, kiedy fala zalała łódź. Niewiele brakowało, a zmyłaby ją za burtę. Gdy chwyciła się relingu, poczuła, że lina się napręża. Zanim Kesnick zmienił zdanie, Liz pomachała, że wszystko gra.

Trudno będzie się z nim komunikować, w zasadzie było to prawie niemożliwe. Deszcz wzmagał się z każdą chwilą i przesłaniał Liz gesty Kesnicka, ale nawet jeśli łódź się wywróci, ona nadal będzie połączona liną z helikopterem i na pierwszy znak zostanie wciągnięta przez załogę.

Zaczęła czołgać się wzdłuż pokładu, chwytając się haków i lin. Być może dlatego, że miała kask na głowie, co ograniczało pole widzenia, nikogo nie dostrzegła. Skupiła się na swoim zadaniu. Panowała nad sytuacją. Nie mogła sobie pozwolić na panikę. Zmagając się z wiatrem, pociągnęła drzwi kabiny. Trzymając się ich, pochyliła się w momencie, gdy kolejna fala zalała pokład. Poczuła, jak lina zaciska się w pasie. Kesnick był zniecierpliwiony, zdenerwowany. Powoli do niego pomachała. Czy w ogóle dojrzał jej uniesione kciuki?

Częstotliwość uderzenia fal zwiększyła się. Prawdopodobnie zostało jej jakieś dwanaście minut. Używając całej siły, szarpnęła drzwi kabiny. Tym razem otworzyły się szeroko.

Przy sterze nikogo nie zobaczyła. Silniki były wyłączone. Właściciel zapewne uświadomił sobie, że nie wygra walki z falami.

— Halo? — zawołała, stojąc w miejscu. Cisza, tylko jakieś trzaski za jej plecami. To radio. — Jest tam ktoś na dole?

Zdjęła gogle, które zawisły na jej szyi. Czekała, aż złapie oddech, po czym ruszyła w dół schodów. Zanim cokolwiek dojrzała, poczuła przyciśniętą do skroni lufę rewolweru.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

— Jest w środku — oznajmił Pete Kesnick, ale Maggie nie wychwyciła ulgi w jego głosie. Jeśli w ogóle coś usłyszała, to tylko ogromne zdenerwowanie. Ratowniczka zniknęła z widoku, a oni nadal nie mieli pojęcia, co tak naprawdę dzieje się na dole. — Jeśli stan zdrowia czy obrażenia tego człowieka są poważne, pewnie nie uda jej się użyć quick stropa. — Kesnick już prawie wisiał w otwartych drzwiach. Trzymał się swojej liny zabezpieczającej, walcząc z deszczem i wiatrem, i starając się wypatrzyć Liz.

Dwa razy sprawdził linę. To dobrze, ponieważ Maggie była przekonana, że tym razem nie byłaby w stanie mu pomóc. Nie przy takim wietrze, który gwałtownie popychał śmigłowiec. Huk był taki, że nie słyszała nawet głosów w słuchawkach w kasku.

— Ona musi się pośpieszyć. — Głos Wilsona był tak samo napięty jak lina. — Musimy się stąd wynosić. Centrum dowodzenia powiedziało, że mamy dziesięć minut. I nawet sekundy dłużej.

— Nie uda nam się tego zrobić w dziesięć minut — odparł Kesnick. — Może Liz stabilizuje kogoś na pokładzie.

— Ja pilnuję czasu. Tylko tyle chciałem powiedzieć.

— Czy ktoś może zejść i pomóc jej? — spytała Maggie.

Cisza, zupełnie jakby jej nie zauważali. Wilson już i tak się piekli, słysząc, że Maggie ma z nimi lecieć. Wyraził swoje niezadowolenie, mówiąc do Liz, kiedy się ubierali, kompletnie nie zwracając uwagi na to, że Maggie stała obok.

— Nikt poza ratownikiem nie ma prawa schodzić na dół — rzekł w końcu Wilson. — Możemy jej spuścić wszystko, o co poprosi, wszystko, co może pomóc, ale my musimy zostać w śmigłowcu albo odlecieć stąd i wysłać tutaj kuter.

— Zostawilibyście ją samą na dole?

— Czasami nie mamy wyboru — padła po chwili odpowiedź. — Trzeba przestrzegać instrukcji, jestem odpowiedzialny za całą załogę.

— Ale huragan...

— No właśnie — odpowiedział jej krótko, a potem, po chwili milczenia, rzucił: — Siedem minut, Kesnick.

— Nie może pan jej zostawić.

— Agentko O'Dell, pani nie ma tutaj nic do powiedzenia. Ja tutaj rządzę. Rozumie pani?

— Nie widzę jej! — krzyknął Kesnick.

— Pociągnij za linę.

— Nie reaguje.

Czekali w milczeniu. Serce Maggie waliło w rytmie huku śmigieł. Pot spływał jej po plecach, a mimo to trzęsła się z zimna. Patrzyła na profil Wilsona. Miał zaciśnięte zęby. Osłona przesłaniała mu oczy, ale pewnie trzymał dłonie na sterze. Obok niego siedział Ellis, dokładne przeciwieństwo Wilsona. Nieustannie kręcił głową, wiercił się, próbował zobaczyć, co dzieje się w dole.

— Tu Straż Wybrzeża — zawołał Ellis przez radio.

— Niespokojny Duhu, słyszysz mnie?

— Pięć minut — powiedział Wilson. — Gdzie ona się podziewa, do cholery?

— Niespokojny Duhu, słyszysz mnie? — powtórzył Ellis, ale w odpowiedzi usłyszał jedynie trzaski.

Nagle Maggie coś wpadło do głowy. Niespokojny Duh. Czy nie tak nazywa się łódź Joego Blacka?

— Nikt nie odpowiada — rzekł Ellis.

— Kesnick?

— Nie widzę jej.

— Musimy się stąd zmywać. Podciągnij ją, Kesnick. Wciągaj. Natychmiast.

Kesnick wykonał polecenie. Lina naprężała się i nawijała. Maggie czekała, aż w otworze drzwi ujrzy Liz. Zamiast tego zobaczyła, jak Kesnick chwyta linę i gwałtownie odwraca się do pilotów. Nic nie mówił, trzymał tylko linę. Odciętą linę.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Liz nic nie mogła zrobić, kiedy odcięta lina poleciała do góry. Jej lina ratownicza, ostatnia deska ratunku, zniknęła.

Ale Liz i tak by się stąd nie ruszyła. Nie opuściłaby tego miejsca bez swojego ojca.

Zapytała, czy może mu opatrzyć rękę. Trzymał ją w górze, przy piersi. Przód kombinezonu lotniczego był już cały zakrwawiony.

— Nic mi nie jest, kochanie — upierał się Walter.

Rozpoznała kobietę z plaży, Charlotte... tak, Charlotte Mills, natomiast dotąd nie widziała mężczyzny, który jakby nigdy nic przedstawił się jako Joe Black, nie opuszczając rewolweru z jej skroni.

— Posiedzimy tu sobie, aż helikopter odleci. — Joe nie wydawał się speszony.

— Oni nie zostawią swojego ratownika — oznajmił Walter.

Liz nie mogła ojcu powiedzieć, że nie tak to działa. Po huraganie Katrina zdarzyło się coś takiego. W helikopterze pełnym rannych kończyło się paliwo. Liz powiedziała im, żeby odlecieli, i czekała na dachu apartamentowca z tuzinem innych osób, złych i zniecierpliwionych. Śmigłowiec po nich wrócił, dopiero gdy zapadł zmrok.

— No i będę miał trzy zdrowe okazy. — Joemu usta się nie zamykały. — Zabraknie mi lodu, ale przypuszczam, że dwoje z was mogę uwiązać za rufą. Włóżcie kamizelki ratunkowe.

— Okazy! — wykrzyknęła bez cienia strachu zdegustowana Charlotte Mills. — Chcesz przehandlować za grosze części mojego ciała? Czy taki pomysł chodzi ci po głowie, młody człowieku? — Trzymała się za obolałą kostkę, ale to jej nie powstrzymało. — No to wiedz, że mój mąż został zamordowany za miliony dolarów. Miliony!

Joe Black ignorował ją. Stal wsparty o ścianę przy schodach, blokując przejście, a równocześnie nie spuszczając z nich oka. Przywiązał się do relingu i dzięki temu mógł przetrwać mocne huśtanie łodzi. Kiedy Liz omal nie upadła, rewolwer osunął się wraz z nią.

Łódź kołysała się coraz gwałtowniej, wspinając się na fale i opadając wraz z nimi. Towarzyszył temu ogłuszający huk. Nad ich głowami rozległ się jakiś trzask. Coś spadło twardo na pokład. Wszyscy unieśli wzrok na sufit. W tej samej chwili

usłyszeli śmigla oddalającego się helikoptera. Po kilku sekundach szum śmigieł ucichł. Helikopter odleciał.

Liz spotkała się wzrokiem z ojcem. Wiedziała, że jej załoga nie może tutaj zostać, a w tych warunkach pogodowych kuter nieprędko do nich dotrze. Tak naprawdę już było zbyt niebezpiecznie, by podejmować takie próby. To nie będzie powtórka tego, co przeżyła na dachu po huraganie Katrina. Tym razem śmigłowiec po nią nie wróci.

Joe Black uśmiechał się szyderczo.

— Kto chce pójść na pierwszy ogień? — spytał.

Gdyby Liz rzuciła się na niego, zastrzeliłby ją, zanim wytrąciłaby mu broń z ręki. Co takiego odpowiedziała na pytanie Maggie O'Dell? To nie dotyczyło odwagi. To dotyczyło przeżycia. Walka ze wzburzonymi falami czy zwisanie na linie nie przerażały Liz. Nawet kiedy osoby potrzebujące ratunku stanowiły dla niej wyzwanie, liczyła na swoje doświadczenie, przekierowywała adrenalinę. Może zdołałaby także przekonać tego mężczyznę.

Joe Black celował w Liz, jakby słyszał jej myśli.

— Kuter jest już w drodze — skłamała. — Załoga helikoptera musiała go zobaczyć. To dlatego odlecieli.

Zobaczyła, że Joe zastanawia się nad jej słowami. Coś znowu stuknęło na górze i Joe szeroko otworzył oczy, ale tylko na moment. Kolejna fala zalała łódź. Rozległ się wysoki pisk czegoś, co skakało po pokładzie.

— Łódź przełamie się na pół! — zawołała Charlotte.

— Zamknij się, do diabła! — wrzasnął Black, zmieniając pozycję na schodach i celując przed siebie z rewolweru.

— Nie!

Liz usłyszała krzyk swojego ojca i następujący po nim huk wystrzału.

Zacisnęła powieki, ale nie czuła bólu. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że Joe Black upadł, jedną ręką trzymając się za nogę. W drugiej ręce wciąż trzymał rewolwer.

Z góry schodów dobiegł ich okrzyk.

— FBI! Rzuć broń! Natychmiast!

Joe zawahał się.

Kolejny strzał przedziurawił chodnik obok niego.

Joe rzucił rewolwer na podłogę.

Liz stała jak sparaliżowana, patrząc, jak Maggie schodzi po schodkach z bronią wycelowaną w Blacka.

— Liz, weź ten rewolwer. — Gdy posłuchała polecenia, Maggie spytała: — Czy on jest sam? — Rozejrzała się po kabinie, wciąż celując w Blacka. Kiedy podniosła

wzrok na Liz, ta tylko kiwnęła głową, na co Maggie zadała drugie w kolejności ważności pytanie: — Wszyscy w porządku?

Liz usłyszała wracający helikopter. I znowu wszyscy podnieśli wzrok na sufit.

— Jak ty...

— Musimy się śpieszyć. — Przerwała jej Maggie. — Wilson jest w podłym nastroju.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZEŚĆ

Czwartek 27 sierpnia

Pensacola, Floryda

Liz obudziła się, kiedy ostatni promień zachodzącego słońca rozświetlił pokój. Spała twardo. W ustach miała sucho, powieki nadal były ciężkie. Dopiero po kilku chwilach przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Była na piętrze w domu swojego ojca. Jej dawny pokój został przerobiony na pokój gościnny, ale nadal widziała tu pamiątki swojego dzieciństwa — porcelanową lalkę na szafce, haftowane przez matkę poduszki.

Z dołu, mimo szumu klimatyzatora, dobiegały dźwięki piły łańcuchowej. Ojciec specjalnie dla niej zainstalował klimatyzator, wypuszczając jasnopomarańczowy kabel przez okno. Pociągnął go w dół ściany domu i wzdłuż podwórza aż do garażu, gdzie podłączył go do generatora. To był prawdziwy luksus, klimatyzator okienny zużywał niemal tyle prądu, co pokaźnych rozmiarów lodówka.

— Zasłużyłaś na sen — powiedział jej, kiedy koło południa wróciła do domu.

Klimatyzator był już zainstalowany w oknie jej pokoju. Nie pytała, jak zdołał to zrobić jedną sprawną ręką, gdyż lewą miał w miękkim gipsie, który wyglądał, jakby ojciec nosił na ręce kuchenną rękawicę.

W ciągu minionych dwóch dni Liz spała tylko po parę godzin w przerwach między akcjami. Huragan, kiedy uderzył w nabrzeże, stracił nieco na sile, wiatr zmniejszył prędkość do dwustu szesnastu kilometrów na godzinę. Skręcił też trochę na wschód, oszczędzając Pensacoli głównego impetu. Według skali wiatrów huraganowych Saffira-Simpsona kategoria 4 oznacza „ogromne zniszczenia”, ale nie „katastrofalne zniszczenia”, jak kategoria 5.

Liz i jej załoga uratowali dziesiątki ludzi z zalanych domów. Niektórzy wciąż nie zgadzali się opuścić domostw, upierali się, że muszą zostać i chronić to, czego jeszcze nie zagrabili szabrownicy. Jeden z mężczyzn stanowczo stwierdził, że nie zejdzie z dachu, dopóki Liz nie pozwoli mu zabrać czterech walizek wypakowanych cennymi dla niego rzeczami. Pod koniec pierwszego dnia Wilson już nie marudził, że dzieli kabinę z hordą psów i kotów, które towarzyszyły uratowanym z opresji

właścicielom. Po tym, jak o mały włos nie została zastrzelona przez szaleńca, na Liz już mało co mogło robić wrażenie, ale pracowała zbyt wiele godzin i teraz wreszcie znalazła się na ziemi. Wstała, włożyła szorty i T-shirt. Wyjrzała przez okno na ulicę. Linie energetyczne nadal zwisały z gałęzi. Sterty śmieci leżały z jednej strony zaułka, gdzie sąsiedzi zaciągali też fragmenty potężnych dębów, z których kilka zostało wyrwanych z korzeniami. Na środku ulicy królowała Kantyna Coney Island. Wokół stały fotele ogrodowe, a Walter z pomocą Trish przygotowywał kolację dla sąsiadów. Ojciec wspomniał wcześniej Liz, że będą grillować steki, burgery, hot dogi — nawet kotlety jagnięce — ratując, co się da z zamrażarek. Władze hrabstwa oceniały, że prądu nie będzie co najmniej przez tydzień.

Liz widziała, jak ociera pot z czoła, stojąc nad grillem. Nadal nie mogła się pozbyć obrazu ojca, jak podtrzymuje krwawiącą rękę, a kombinezon cały jest przesiąknięty krwią. Ojciec był wtedy bardzo blady. Spędził czas huraganu w szpitalu, zamęczając Trish, żeby go stamtąd zabrała, gdy tylko główne drogi będą przejezdne. Córka cały czas siedziała przy jego łóżku.

Trish nie chciała rozmawiać ze Scottem. Liz wiedziała tylko, że podczas całego huraganu tkwił uwięziony w chłodni swojego zakładu pogrzebowego. Słyszała też, że Joe Black zostawił u Scotta kilka ciał i teraz prowadzono w tej sprawie dochodzenie.

Po wyjściu z sypialni uderzyło ją gorące powietrze. Była mokra od potu, gdy dotarła do ojca na ulicę.

— Nie spałaś zbyt długo, kochanie.

— Jestem głodna.

— No to usiądź. Dobrze trafiłaś.

Zapach grillowanego mięsa i przypraw był silniejszy niż woń benzyny z generatora i pił łańcuchowych. Słońce już prawie zaszło. Za dwie godziny zapadnie kompletna ciemność. Kilku sąsiadów przyniosło latarnie i postawili je na ulicy na czas wieczornego posiłku. Jedynym plusem huraganu było to, że zniknęły komary, w ogóle nie było żadnych owadów. Ale wraz z nimi przepadły też bez śladu ptaki.

— Liz, przyszłaś w samą porę — rzekła Trish. — Postaw kilka talerzy i kubków.

— Ona musi odpocząć — powiedział ojciec, zaskakując obie córki. Zwykle pozwalał Trish rządzić. Tak było prościej. — Poproś Wendy o pomoc.

Trish przez chwilę patrzyła na niego zdumiona, po czym zrobiła tak, jak jej poradził.

— Miałaś jakieś wiadomości od swojej znajomej z FBI? — spytał ojciec.

— Dzisiaj rano rozmawiałyśmy kilka minut, kiedy byłam jeszcze w bazie. Wieże transmisyjne telefonii komórkowej zostały zniszczone.

— To dzielna dziewczyna. — Ojciec wyjął dla Liz zimne piwo z lodówki, która stała u jego stóp. — I ty też jesteś dzielna.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Jacksonville, Floryda

Maggie zatrzymała wypożyczony samochód obok budki ochrony. Podała swoją odznakę i czekała, aż strażnik sięgnie po telefon. Gdy uniosła rękę, by poprawić boczne lusterko, przeszył ją ból w łokciu. A tak naprawdę ból przeszył całe jej ciało. Kto by pomyślał, że skok na linie z helikoptera może być tak forsowny?

Strażnik oddał jej odznakę.

— Pierwszy budynek po prawej. Już na panią czekają.

Wstała wcześnie, żeby obejrzeć najnowsze wiadomości na temat zniszczeń, które poczynił huragan. Charlie Wurth powiedział jej, że Pensacola miała szczęście, bo w ostatniej chwili huragan nagle osłabł i skręcił na prawo. Ostatecznie dotarł do nabrzeża jako huragan kategorii czwartej, było więc lepiej, niż się spodziewano. Oglądając program informacyjny w telewizji, Maggie nie zgodziłaby się, że Pensacoli dopisało szczęście. Huragan zrywał dachy, tłukł szyby w oknach i zalewał domy. Ponad sto tysięcy osób zostało pozbawionych prądu, a dostawy energii zostaną wznowione nie wcześniej niż za tydzień.

Rozmawiała także z Liz i z radością się dowiedziała, że Walter i Charlotte czują się już lepiej. Co więcej, Walter będzie miał sprawną rękę, choć wymagało to wielu miesięcy rehabilitacji. Liz była kompletnie wyczerpana, ale poza tym wyglądało na to, że daje sobie radę.

Wojskowy samolot towarowy przeleciał nisko nad samochodem Maggie, szykując się do lądowania. Kiedy zaparkowała przed budynkiem, wciąż czuła wibracje. Wysiadła z auta, wdzięczna, że do wejścia musi pokonać tylko pięć stopni. To śmieszne. Myślała, że jest w świetnej formie. Nie chciała pamiętać o tym, jak wisiała na linie. Bez wysiłku przywoływała ten horror. Słyszała wiatr, który ją obracał wokół własnej osi, czuła deszcz smagający twarz. Musi się wyspać, to wszystko. Ostatniej nocy śniło jej się, że z wody wyłania się kilkanaście rąk i czepia się jej. No tak, musi się porządnie wyspać, bez koszmarów. Może pomógłby jej kolejny masaż Platta. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Za drzwiami znowu musiała pokazać swoją odznakę. Drobna kobieta w mundurze zaprowadziła ją korytarzem do sali konferencyjnej. Benjamin Platt także był w mundurze. Nie rozpoznała dwóch towarzyszących mu mężczyzn.

Platt dokonał prezentacji.

— Agentka specjalna Maggie O'Dell, kapitan Carl Ganz i doktor Samuel McCleary.

Doktor McCleary postanowił na początek przyjąć pozycję obronną.

— Joseph Norris był szanowanym współpracownikiem tego programu przez niemal dziesięć lat.

Maggie widziała, że Platt się zjeżył.

— W takim razie rozumie pan, doktorze McCleary — zaczęła Maggie — że od dziesięciu lat mógł pan mieć zakażone tkanki, organy i kości.

— Wszystkie nasze tkanki są testowane.

— Ale tylko na pewne określone choroby — bez ogródek oznajmił Platt.

— Nikt nie mógł przewidzieć tego, co stało się w bazie sił powietrznych marynarki w Pensacoli — upierał się McCleary, kręcąc głową. — Ale popełniono tylko jeden błąd. Jeden na tysiąc. Prześledziliśmy, skąd pochodził materiał do przeszczepu i pasty kostnej, której używał kapitan Ganz. Uważamy, że wszystko to pochodziło od jednego dawcy. — Wskazał dokument, który leżał w stercie innych na stole. — Jednego dawcy, od którego pobrano tkanki ponad dwanaście godzin po śmierci.

— Dokładnie to były prawie dwadzieścia cztery godziny — rzekł Platt.

— Nie mamy co do tego pewności.

— Nie żył już dość długo, żeby jego jelita popękały i *Clostridium sordelli* zaczęło przedostawać się do tkanki.

— Nie ma pan na to żadnego dowodu — powiedział McCleary.

— A co z dawcami, dla których Joe Black nie posiadał żadnych dokumentów? — spytała Maggie.

— Joseph Norris — poprawił ją McCleary — działał zgodnie z procedurami, o ile jestem w stanie to ocenić.

— W Pensacoli znajduje się zakład pogrzebowy — oznajmiła Maggie. — Są tam dwa ciała. Szeryf hrabstwa Escambia mówi, że są to bezdomni mężczyźni, którzy zaginęli tuż przed huraganem. Właściciel zakładu pogrzebowego twierdzi, że Joe Black przywiózł tam te ciała i jedno z nich poćwiartował, by je sprzedać organizatorom konferencji naukowych. — Tym razem McCleary milczał. Maggie odczekała chwilę, po czym kontynuowała: — Joe Black nieźle sobie dorabiał na boku. W ciągu dnia pomocnik koronera, w weekendy i w dni wolne od pracy pośrednik handlowy. Przyznaje się, że wykorzystywał amputowane części ciała żołnierzy, kiedy miał mało czasu na realizację zamówienia. Mówi, że korzystał nawet z ciała jednego z waszych dawców. Konferencje chirurgiczne płacą duże pieniądze, a on nie mógł nadążyć, bo popyt jest większy niż podaż.

— Musi pan sprawdzić cały nasz zapas — rzekł Ganz do McCleary'ego. — Norris przyznał się także, że robił podmiany, zamieniał zdrową tkankę na chorą, która nigdy nie powinna była być wykorzystana.

Doktor McCleary kiwał głową, a to jego przesadne kiwanie mówiło Maggie, że dopuszcza taką możliwość, ale się z tym nie zgadza.

— Chodźmy zatem. — Poprowadził ich długim korytarzem. — Chcecie to zrobić, proszę bardzo. Pokażę wam, co to znaczy.

Wsunął kartę do czytnika i czekał, aż zamruga zielona lampka. Potem gestem zaprosił całą trójkę do przestronnego pomieszczenia, które przypominało Maggie policyjne pokoje, gdzie przechowuje się dowody, tyle że tutaj zamiast półek były szuflady, jedna nad drugą. Szuflady zamrażarki. Rząd za rzędem.

— Macie państwo ochotę zacząć od stóp? — spytał McCleary, wskazując w lewo. — Czy może od oczu?

Bremmer & Kava

Upalna noc

Stukot, który słyszała, nie należał do sennego koszmaru. Maggie O'Dell budziła się powoli i z trudem. Otwartymi ustami łapała powietrze, zupełnie jakby zadyszała się po biegu. We śnie właśnie biegła. Usiadła na łóżku i nadstawiła uszu, żeby usłyszeć to, co walące serce zagłuszało. Pokój, w którym się znajdowała, zalewało światło księżyca, a ona dopiero próbowała się zorientować, gdzie tak naprawdę jest.

To wpadający przez drzwi balkonowe lekki wiatr pomógł uruchomić jej pamięć. Powiew upalnego wilgotnego powietrza przesunął mokry od potu kosmyk włosów, łaskocząc w czoło. Odnosiła nieodparte wrażenie, że czuje smak słonej wody Zatoki Meksykańskiej, która była przecież tak blisko, za ścianą. W tym momencie sobie przypomniała. Była w hotelu Hilton na plaży Pensacola.

Zegar z podświetlanymi cyframi pokazywał za trzynaście pierwszą. Przyjechała tutaj z konkretnym zadaniem do wykonania, mimo że huragan kategorii piątej kierował się właśnie w stronę Panhandle na Florydzie. Ale jeszcze czterdzieści minut temu panował spokój, żadna chmurka nie przesłaniała księżyca w pełni, tylko wysokie fale z koronką białej piany, rozbijające się o brzeg, zapowiadały sztorm. Maggie podobał się ten dźwięk i dlatego zostawiła drzwi balkonowe otwarte, a raczej odrobinę uchylone. Miała nadzieję, że melodia fal ukołysze ją do snu. Udało się, przynajmniej na czterdzieści minut, oczywiście pod warunkiem, że koszmar z rybacką lodówką w roli głównej uzna się za sen. Lodówką, w której odkryto części ludzkiego ciała.

Nie była w stanie wyłączyć adrenaliny, której skok spowodowała popołudniowa przygoda. Maggie siedziała w helikopterze Straży Wybrzeża, który zawisł sześćset metrów nad Zatoką Meksykańską. To nie było najbardziej oryginalne miejsce zbrodni, z jakim miała do czynienia podczas dziesięciu lat kariery w FBI. Załoga śmigłowca znalazła rybacką lodówkę unoszącą się na wodach zatoki niedaleko plaży Pensacola, zamiast jednak zobaczyć w niej dzienny połów jakiegoś rybaka, zaszokowani ujrzeli tors, trzy ręce i stopę, a wszystko to szczelnie zapakowane w grubą folię.

Jednak to nie ludzkie szczątki wywołały ten cykl koszmarów, przerażającą pętlę obrazów z albumu pamięci. Niektórzy podczas snu zapadają w tak zwaną fazę REM. Maggie miała swoją fazę koszmarów. Nie, nie chodziło o odcięte części ludzkiego ciała. W końcu niejedno widziała i przeżyła. Chodziło o lot helikopterem i tych sześćset metrów nad ziemią, kiedy traciła nad wszystkim kontrolę. To właśnie dlatego otworzyła drzwi na balkon. Chciała w swojej głowie zastąpić huk śmigieł szumem fal.

Znowu dobiegło ją natarczywe stukanie. Wzdrygnęła się i w tej samej chwili uświadomiła sobie, co ją obudziło. Ktoś stał za drzwiami pokoju.

— Pani O'Dell — odezwał się wysoki i lekko piskliwy męski glos.

Nie rozpoznała go. Zwlokła się z łóżka i na spocone ciało włożyła szorty khaki i T-shirt. Wyłączyła klimatyzację, gdy uchyliła drzwi na balkon, dlatego powietrze w środku zrobiło się tak gorące i wilgotne jak na zewnątrz. Floryda w sierpniu. Co jej przyszło do głowy, żeby wyłączyć klimatyzację?

W drodze do drzwi sięgnęła po broń. Ujęła za rewolwer, nie wyjmując go z kabury, a palec wskazujący położyła na spuście.

— Kto tam? — spytała, stając nieco z boku i machając ręką przed judaszem. To był stary zwyczaj, zrodzony z paranoi i instynktu samozachowawczego. Jeśli po drugiej stronie znajdował się ktoś, kto chciałby ją zastrzelić, tylko czekał, aż ofiara przyklei się do drzwi, patrząc przez judasza.

— Robert Evans, kierownik nocnej zmiany — przedstawił się, nawet nie próbując maskować paniki. — Mamy problem. Szef powiedział, że pani jest z FBI. Przepraszam, że panią budzę, to pilna sprawa.

Tym razem Maggie wyjrzała przez judasza. Z tej perspektywy Robert Evans wyglądał na większego palanta, niż pewnie był w rzeczywistości. Wysoki i szczupły, z nerwową energią, która kazała mu przestępować z nogi na nogę, do tego wsadził palec za kołnierzyk koszuli i pociągnął, jakby tylko to go ratowało przed uduszeniem się krawatem. Na oko prawdziwy palant, bez dwóch zdań.

— Jaka pilna sprawa?

Maggie patrzyła na dużą głowę, która gwałtownie odwróciła się w lewo, a potem w prawo, jakby Evans chciał się upewnić, czy prócz niego nikogo tam nie ma. Potem zbliżył się jeszcze do drzwi i zniżył głos, który panika zamieniła w cichy skrzek:

— Chyba mamy trupa w pokoju trzysta czterdzieści siedem.

Glen Karst popijał burbona, siedząc na stołku w rogu baru. Po lewej doskonale widział tylne wyjście z hotelu, po prawej miał widok jak z pocztówki — srebrzyste grzebienie fal połyskujące w blasku księżyca w pełni, uderzające o biały jak cukier piasek. Jeżeli kiedykolwiek zafunduje sobie wakacje, to byłoby doskonałe miejsce. Oczywiście gdyby pogodził się z tym, że pot leje się z człowieka strumieniami.

Wybiła północ, a jemu się zdawało, że szyję ma owiniętą mokrym ręcznikiem, którego nie jest w stanie się pozbyć.

Na domiar złego dosłownie padał z nóg. Musiał poświęcić prawie cały dzień, żeby tutaj dotrzeć. Z powodu huraganu Isaac wszystkie loty do Pensacoli zostały odwołane, co znaczyło, że z Denver mógł dolecieć jedynie do Atlanty. Tam wypożyczył samochód typu compakt, jedyny dostępny w tej sytuacji, za którego kierownicą spędził sześć godzin. Nie był to wóz w jego stylu, nie wspominając już o tym, jak strasznie był niewygodny. Ale w końcu za ból krzyża nie mógł obwiniać wyłącznie forda escorta. Czuł to napięcie już przed rozpoczęciem podróży. Miał tylko nadzieję, że nie okaże się szukaniem wiatru w polu. Jako doświadczony detektyw Glen Karst nauczył kierować się przeczuciem, polegać na instynkcie w równym stopniu co na znajomości rzeczy. Przyjechał w wielkim pośpiechu do tak odległego miejsca. Sądził, że w związku z huraganem na załatwienie sprawy ma jakieś dwadzieścia cztery godziny.

Za jego plecami coś błysnęło. Glen czujnie obejrzał się przez ramię. Grupa studentów pozowała do zdjęcia, rozbawieni młodzi ludzie unieśli kieliszki z jaskrawoczerwonym drinkiem. Kieliszki w kształcie lamp, jakich używa się w czasie huraganu, zauważył Glen, uśmiechając się do siebie. Kataklizm tuż-tuż, choć wcale na to nie wyglądało, sądząc po tym, co działo się wokół. Restauracje i bary na plaży były pełne turystów i miejscowych, niektóre rozstawiły stoliki nawet na piasku i parkingach. Z drugiej jednak strony Glen dostrzegł wiele załadowanych po brzegi i gotowych do drogi pikapów i furgonetek. W końcu to Floryda. Glen był pewien, że miejscowi świetnie znają zasady, więc skoro wciąż tutaj siedzieli, jedli i pili, on też miał jeszcze sporo czasu.

Z kieszeni koszuli wyjął broszurę, położył ją na barze obok kieliszka i wygładził zagniecenia. Mężczyzna na zdjęciu już dawniej był dość zwalisty, a teraz przybrał dobrych piętnaście kilo. Krótko ostrzygł jasne włosy, ufarbował je na ciemny brąz i dodał lekkiej siwizny na skroniach. Kozia bródka pojawiła się niedawno, miała za zadanie ukryć początki podwójnego podbródka. Na pierwszy rzut oka facet z fotografii w niczym nie przypominał doktora Thomasa Grubera, ale Glen rozpoznał te oczy, głęboko osadzone i lodowato niebieskie. Doktor był tak pewny siebie, że tej jednej cechy, która najbardziej go zdradzała, nie zakamuflował.

— Odwołali — odezwał się młody mężczyzna siedzący trzy stołki dalej, wskazując broszurę Glena.

— Co takiego?

— Konferencję. Została odwołana z powodu huraganu.

— Jasna cholera, jest pan pewny?

— Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale nie wygląda pan na lekarza.

— No i dobrze, bo nie lubię lekarzy.

Nieznajomy wstał z drinkiem w ręce i skinął głową w stronę stołka obok Glena.

— Pozwoli pan?

— Nikogo nie oczekuję. — Sączył burbona, nie zwracając na natręta zbytniej uwagi, kiedy jednak ten przenosił się na sąsiedni stołek, dostrzegł jego krótko ostrzyżone włosy. Na tej podstawie mógłby uznać, że ma do czynienia z wojskowym, gdyby nie rolex, żeglarskie buty sperry i polo Ralpha Laurena wypuszczone na wierzch krótkich spodni khaki. Kosztowne ciuchy jak na kogoś, komu Glen nie dałby więcej niż trzydzieści lat.

— Joe Black. — Zamiast wyciągnąć rękę, uniósł taką samą szklankę, z jakiej pił Glen, napełnioną czystym burbonem albo szkocką.

— Glen — przedstawił się, dostrzegając, że Joe Black też bacznie mu się przygląda. Był spokojny i opanowany. Tylko na pozór mimochodem zerknął na broszurę, która leżała między nimi na barze. — Jeździ pan na te konferencje?

— Można powiedzieć, że jestem stałym bywalcem.

— Do diabła, pan też nie wygląda na lekarza. — Spojrzał na niego z ukosa, na co Joe zaśmiał się, ale nie wyglądało na to, że zaspokoi ciekawość nowego znajomego, tylko po raz kolejny przeniósł wzrok na broszurę, a potem poprawił się na stołku i sięgnął po szklankę. — Zna pan tego lekarza? — Glen postukał palcem w zdjęcie, patrząc na nie tak, jakby nie mógł sobie przypomnieć nazwiska. — To doktor Erie Foster? — Prawdę mówiąc, znał na pamięć wszystkie szczegóły dotyczące doktora Fostera alias doktora Grubera. Nie rozumiał tylko, co spowodowało, że facet zaryzykował i wrócił do Stanów.

Rok temu Gruber uciekł z Kolorado. Był głównym podejrzanym o potrójne morderstwo. Porzucił praktykę chirurgiczną, nie spłacił wartego milion dolarów kredytu hipotecznego i zostawił żonę bez grosza. Według ostat nich danych, które Glen posiadał, ukrył się w Ameryce Południowej, prawdopodobnie w Brazylii. Krążyły uporczywe pogłoski, że dobry doktor zajmuje się obecnie przemytem ludzkich organów, posuwa się nawet do tego, że kupuje nerki od nędzarzy, którzy nie mają nic innego do sprzedania.

O ironio, organizatorzy konferencji, w której programie Gruber figurował jako jeden z głównych prelegentów, chwalili się, że dysponują ludzkimi organami, żeby chirurdzy doskonalili swoje umiejętności. Wszystko było legalne. Glen dokładnie to sprawdził. Podobne konferencje odbywały się w całym kraju, zwykle w kurortach, co miało dodatkowo przyciągnąć i zachęcić potencjalnych uczestników. Organizowały je firmy zajmujące się produkcją sprzętu medycznego, oferując chirurgom darmowe wycieczki w zamian za to, że wypróbują najnowsze gadżety i przed powrotem do domu złożą kilka zamówień.

Ale sprawa potrójnego morderstwa w Kolorado wciąż pozostawała otwarta. Nie było innych podejrzanych. Wszystkie dowody wskazywały na Grubera, a ten zmył się podczas śledztwa. Glen nie mógł się doczekać, aż dopadnie drania.

— Tak, znam Fostera. Można by powiedzieć, że stanowimy dla siebie konkurencję — rzekł w końcu Joe Black, nie dodając nic więcej. Dał znak barmanowi i wskazał na szklankę. — Jeszcze raz Johnie Walker z czarną naklejką. — Potem zwrócił się do Glena. — A pan? Jeszcze raz Buffalo Trace?

Glen ukrył zdziwienie, a potem tylko kiwnął głową. Ten gość wiedział, co on pije. Czemu, do diabła, go obserwuje?

— Więc dlaczego szuka pan doktora Erica Fostera? — spytał Joe.

— Żeby odbyć przyjacielską pogawędkę.

— Jest pan gliną?

— Nie wyglądam na lekarza, ale wyglądam na glinę?

Joe wzruszył ramionami i zamilkł na moment, gdy barman stawiał przed nimi drinki.

— Jeśli nie gliniarz, może jest pan zazdrosnym mężem? — Tym razem spojrzał na Glena, czekając na jego reakcję.

Detektyw bawił się szklanką w milczeniu. Czasami ludzie wypełniają ciszę, jeżeli czeka się cierpliwie. To sprawdzona metoda.

Usatysfakcjonowany jego odpowiedzią, a raczej brakiem odpowiedzi, Joe podjął:

— Powiedziałem mu, że któregoś dnia za to zapłaci. Więc ta blondynka obwieszona drogą biżuterią to pewnie pańska żona?

Poszło łatwiej, niż Glen oczekiwał.

— Jest z nim tutaj?

Joe kiwnął głową, duszkiem wypił resztę szkockiej i powiedział:

— Niech pan dokończy drinka. Zaprowadzę pana do jego pokoju.

Glen nie mógł w to uwierzyć. Zlustrował Joego Blacka, tym razem nie kryjąc zdumienia ani podejrzliwości.

— Dlaczego mi pan robi tę przysługę?

— Może dlatego, że nie przepadam za tym dupkiem.

Gdy tylko Maggie weszła do pokoju, wiedziała, że leżący na plecach na podwójnym łóżku potężny mężczyzna nie umarł śmiercią naturalną. Przekrwione oczy patrzyły niewidzącym wzrokiem prosto w sufit. Wargi wykrzywiły się w sardonicznym uśmiechu. Na stosie rzeczy na podłodze widniały męskie spodnie z paskiem częściowo wyciągniętym ze szlufek. Spod łóżka wystawały buty.

— Kto go znalazł? — Maggie obejrzała się na Evensa.

Kierownik nocnej zmiany pobladł, zanim jeszcze dotarli do pokoju. Teraz stał w otwartych drzwiach i nie zapowiadało się na to, że przekroczy próg.

— Pracownik obsługi. Ktoś z tego pokoju prosił o dodatkowe ręczniki.

Ze swojego miejsca Evans nie widział ciała. Maggie zdała sobie sprawę, że jej też nie mógł widzieć, podeszła zatem bliżej, ostrożnie, by na nic nie nadepnąć ani niczego nie dotykać. Martwy mężczyzna miał na sobie jasnoniebieskie bokserki i rozpiętą do połowy koszulę. Skóra wyglądała tak, jakby go ktoś przypiekał ogniem. Była czerwona, tyle że nie od słońca.

— Pewnie miał zawał, prawda? — spytał z nadzieją Evans.

— Czy był sam? — spytała Maggie, dostrzegając na nocnym stoliku pustą butelkę po winie i tylko jeden kieliszek.

— W tym pokoju tylko on jest zameldowany.

— Ale nie był sam — odezwał się jakiś głos z holu.

Maggie obeszła łóżko i zbliżyła się do drzwi w chwili, gdy za kościstym kierownikiem nocnej zmiany stanęli dwaj mężczyźni.

— Jesteście panowie z biura szeryfa? — spytała.

— Jeszcze nie dzwoniłem do szeryfa. — Evans oparł się o framugę drzwi, tworząc barierkę chudą ręką.

— A na 911? — chciała wiedzieć Maggie.

— Nigdzie nie dzwoniłem. — Szeroko otworzył oczy, pochylił się i starając się mówić szeptem, dodał: — Mój szef powiedział, żebym poszedł do pani.

— Detektyw Glen Karts. — Mężczyzna z holu wyciągnął rękę, pokazując odznakę.

Maggie obejrzała ją w świetle dochodzącym z łazienki.

— Jest pan daleko od domu, detektywie. — Stanęła z rękami na biodrach, czekając na wyjaśnienie.

Evans nadal w progu zagradzał drogę na swój idiotyczny sposób.

— Mam powód wierzyć, że mężczyzna, który znajduje się w tym pokoju, jest podejrzany o potrójne morderstwo. Chcę mu zadać kilka pytań. Pan Black powiedział mi... — Karts urwał, odwrócił się i rozejrzał po korytarzu, jakby kogoś szukał, jednak znajomy z baru zniknął.

Maggie zerknęła na zegarek. Zrobiło się naprawdę późno, a ona była wykończona. Połowę minionego dnia spędziła w drodze, a drugie pół, wisząc nad zatoką na pokładzie helikoptera. Sen, który trwał zaledwie czterdzieści minut, nawiedziły koszmary. A przecież ten trup nawet nie podlegał jej jurysdykcji.

— Panie Evans, powinien pan zatelefonować do biura szeryfa. — Położyła dłoń na jego ramieniu, czekając, aż roztrzęsiony kierownik opuści rękę.

— Do biura szeryfa? — Powiedział to w taki sposób, jakby nadal nie przyszło mu to do głowy.

— Tak. — Wciąż patrzyła mu w oczy, mając nadzieję, że przekaże mu choć trochę swojego spokoju. — Detektyw Karst i ja zabezpieczymy pokój, dopóki nie przyjedzie tutaj ktoś z biura szeryfa.

Maggie i Karst patrzyli na oddalającego się Evansa. Chwiał się jak pijany, usiłując iść na palcach. Minął skręt do windy, zatrzymał się i cofnął, pomachał do nich zażenowany, a potem wyprostował się jak lunatyk po nagłym przebudzeniu. Maggie poczekała na dźwięk windy, po czym odwróciła się w stronę pokoju.

— Proszę niczego nie dotykać. — Gestem wskazała, by wszedł za nią do środka.

— O mnie niech się pani nie martwi. Nie dosłyszałem pani nazwiska.

— Maggie O'Dell.

— Nie jest pani z lokalnej policji.

To nie było pytanie. Powiedział to z takim przekonaniem, że Maggie zatrzymała się w wejściu i obejrzała się na niego. Chciała spytać, jak się tego domyślił, ale potem uznała, że to bez znaczenia.

— Jestem z FBI. Prawdę mówiąc, przyjechałam tu w innej sprawie. Kierownik nocnej zmiany stwierdził, że prościej będzie mnie obudzić niż zawiadomić szeryfa.

— Skurczysyn, chyba nie chce mi pani powiedzieć, że Foster nie żyje? — spytał Karst, widząc już łóżko.

— Poznaje go pan?

Nie musiał nawet podchodzić bliżej.

— Tak, poznaję. Używa nazwiska Erie Foster, ale naprawdę nazywa się Thomas Gruber. Co pani sądzi? Samobójstwo?

— Nie.

— Mówi pani z dużą pewnością.

Tym razem uśmiechnęła się.

— Tak zarabiam na życie, detektywie Karst.

— Nie kwestionuję pani kwalifikacji, pytam tylko, jak pani doszła do tego wniosku?

Wskazała oczy martwego mężczyzny.

— Ukrwotocznienie wybroczynowe.

Karst nachylił się.

— Na szyi nie widać śladów uduszenia.

— Do pęknięcia naczyń doszło prawdopodobnie podczas konwulsji, może ataku. Dusił się, ale od wewnątrz. — Gdy detektyw uniósł brwi, oczekując dalszych objaśnień, dodała: — Rozpoznaję to skrzywienie warg i jasno czerwone zabarwienie skóry, prawie w kolorze czereśni. Widziałam taką barwę skóry tylko raz, ale czegoś takiego nigdy się nie zapomina. Tkanka nie ma już tlenu. To dzieje się szybko. Dziesięć do piętnastu minut.

— Myśli pani, że został otruty?

Kiwnęła głową zadowolona, że detektyw z Kolorado okazał się całkiem bystry.

Karst zauważył jej spojrzenie i tym razem to on się uśmiechnął.

— Ja również z tego żyję. — Uważnie przyjrzał się pościeli. Nie dotykał jej, tylko pochylił się nad łóżkiem i patrzył na poduszki. — Zazwyczaj są wymiociny. — Zaczął obwąchiwać pościel, nagle gwałtownie się wyprostował. — Cyjanek.

— Słucham?

— Czuję ten zapach — oznajmił. — Jak gorzkie migdały.

Maggie podeszła bliżej i stanęła obok Karsta, a on cofnął się, robiąc jej miejsce. Pochyliła się nad zmarłym, nad jego twarzą. Tylko czterdzieści do pięćdziesięciu procent osób potrafi wyczuć cyjanek. To zdolność genetyczna. Woń była słaba, ale Maggie też ją poczuła.

— Spodziewałam się właśnie czegoś takiego — powiedziała. — Cyjanek blokuje dopływ tlenu do komórek. Człowiekowi zdaje się, że się dusi, ma krótki oddech, a potem zawroty głowy. W następnej kolejności pojawia się splątanie i przypuszczalnie konwulsje, pękają naczynka w gałkach ocznych. Na końcu przychodzi zatrzymanie pracy serca. A wszystko trwa zaledwie minuty.

— Cyjanek potasu tworzy bezbarwne kryształki. — Karst potoczył wzrokiem po pokoju i wskazał butelkę.

— Ktoś mógł go wrzucić do wina. Gdzie można zdobyć cyjanek?

Zaczęła szukać informacji w banku pamięci. Nad tamtą sprawą pracowała wiele lat temu, zbyt wiele. W drewnianym domku w lesie sześciu mężczyzn za namową swojego lidera postanowiło połknąć kapsułki z cyjankiem, zamiast iść do więzienia. Tamtego dnia Maggie straciła przyjaciela, agenta FBI, więc wspomnienia nie przychodziły łatwo.

— Cyjanek potasu wciąż jest wykorzystywany w niektórych gałęziach przemysłu. A także w fotografii — odparła w końcu. — W galwanotechnice, podczas obróbki niektórych tworzyw sztucznych i w jubilerstwie przy powlekaniu złotem. Jeśli ktoś kupuje go regularnie dla swojej firmy, zwykle nie zwraca to niczyjej uwagi. — Chciała zamknąć tę szufladkę pamięci, więc zaczęła rozglądać się po pokoju. Z pudełka na nocnym stoliku wyjęła chusteczkę i delikatnie przycisnęła czubek palca do szczęki, a potem szyi zmarłego mężczyzny. — Nie zauważam stężenia pośmiertnego.

— Od śmierci nie minęło jeszcze dwunastu godzin.

— Może mniej niż sześć. Przy zatruciu cyjankiem stężenie pośmiertne występuje szybciej. Powiedział pan, że nie był sam. — Odwróciła się do Karsta, który podszedł do biurka i posługując się piórem, otwierał znajdujący się tam portfel.

— Facet, którego spotkałem w barze, twierdził, że widział, jak Gruber wychodził z jakąś blondynką.

— Ten facet, który zniknął, gdy tylko pokazał pan odznakę?

Karst podniósł wzrok na Maggie.

— Przypadek?

— Nie wierzę w przypadki.

— Ani ja. Założę się, że podał mi fałszywe nazwisko. Do diabła, pewnie skłamał też o tej blondynce.

Pomagając sobie chusteczką, Maggie zajrzała do kosza na śmieci, który stał pod nocnym stolikiem. Znalazła tam tylko drugą ligninową chusteczkę, zgniecioną, z plamą jaskraworóżowej szminki. Ostrożnie podniosła ją za róg, tak wysoko, by Karst ją zobaczył.

— Jeżeli doktor Foster nie miał dziwacznych zwyczajów, myślę, że pana znajomy z baru mówił prawdę o blondynce.

— A niech mnie.

Maggie przyjrzała się plamie szminki w świetle lampy, a potem równie ostrożnie wrzuciła chusteczkę z powrotem do kosza. Później pokaże ją śledczemu z biura szeryfa.

— Co on takiego zrobił? — spytała.

Karst splótł ramiona na piersi i przeniósł wzrok na zmarłego.

— Jego kochanka, pielęgniarka, zdradzała go z bogatym pacjentem, znaczy się byłym pacjentem. Zamordował i ją, i jego, a także jego żonę. Potem podpalił dom pielęgniarki, licząc, że zniszczy dowody, i prysnął do Ameryki Południowej, zanim zdążyliśmy go przesłuchać.

— Więc nie tylko pan go szuka.

— Nie wspominając o nowych wrogach. Ten gość z baru mówił, że Gruber był jego konkurentem.

Maggie patrzyła na niego. Wciąż rozgryzał tę swoją sprawę w myśli. Po raz kolejny zerknęła na zegarek.

— No to chyba już nie ma pan sprawy, detektywie Karst.

Rozległo się stukanie do drzwi.

— Biuro szeryfa, proszę otworzyć.

Glen Karst znalazł się z powrotem na dole w hotelowym barze na plaży. Tym razem w towarzystwie Maggie zasiadł do jednego ze stolików. Zaprosił ją na drinka i ze zdziwieniem patrzył, kiedy twarda, rzeczowa agentka FBI zamówiła dietetyczną pepsi. On pił kolejnego Buffalo Trace’a, rzucając wzrokiem dokoła i sprawdzając, czy gdzieś w pobliżu nie czai się Joe Black i nie obserwuje go z ukrycia.

Fale wzbijały się wysoko, księżyc trochę się przesunął. Dzięki lekkiej bryzie łatwiej było znieść upalne wilgotne powietrze. Restauracje i bary na plaży wciąż wypełniali goście, choć nie było już tak tłoczno i głośno jak wcześniej.

— Nie do wiary, że przejechałem taki szmat drogi, a ten skurczysyn tak mnie załatwił i nie mogę ściągnąć go do Denver. Ciężko się z tym pogodzić.

— Szeryf Clayton świetnie da sobie radę — powiedziała Maggie. — A wszystko, co mu pan powie o Gruberze, pomoże w śledztwie.

Głen przetarł oczy, dopiero w tej chwili poczuł, jak bardzo jest zmęczony.

— Przypuszczam, że ten drań dostał to, na co sobie zasłużył.

— Pewien mądry koroner powiedział mi kiedyś, że jak żyjemy, tak umieramy.

— Słyszałem to w innej wersji: co rzucisz za siebie, znajdziesz przed sobą. O to chodzi, prawda?

Uniosła szklankę w toaście.

— Celnie.

On też uniósł szklankę i właśnie zamierzał zamoczyć wargi w alkoholu, kiedy jego uwagę zwróciła podchodząca do baru kobieta. Wydała mu się znajoma, choć nie potrafił powiedzieć, skąd to wrażenie. I nagle już wiedział. Teraz nosiła krótszą fryzurę, była też znacznie szczuplejsza niż rok temu, kiedy ją spotkał. Ale rozpoznał jej chód, sposób, w jaki się poruszała.

— Ktoś znajomy? — spytała Maggie. — Czy ktoś, kogo chciałby pan poznać?

— Co? Och, przepraszam. Nie, chyba ją znam. — Przełknął łyk burbona i kątem oka nadal obserwował kobietę. Stała przy barze, zamawiała drinki i śmiała się do trzech przyjaciółek zajmujących stolik w pobliżu baru.

— To nie jest blondynka — zauważyła Maggie, jakby czytała mu w myślach. Oparła plecy o krzesło i wróciła wzrokiem do nieznajomej. — Nawet z tej odległości widzę, że kolor szminki się zgadza.

Glen popatrzył jej w oczy. Myślała to samo co on.

— Nie ma przypadków, prawda, agentko O'Dell?

— To już nie pańska sprawa, choć wiem, jakie to trudne. — Zadumała się na moment. — Miała perukę, pewnie zabrała swój kieliszek i wytarła odciski palców z butelki. Sprawdziłam to. A nigdy nie odczytają DNA z tej chusteczki.

— Przynajmniej się przywitam.

Kobieta stała plecami do Glena, kiedy podszedł do niej i oparł się o bar. Zamówił kolejne drinki i czekał, aż ona go zauważy. Spojrzała najpierw krótko, niemal zalotnie. Potem zobaczył, że go poznała.

— Witam, pani Gruber.

— Detektywie. — Nie odwróciła się do niego, patrzyła na barmana. — Przepraszam, ale nie pamiętam pańskiego nazwiska.

Wiedział, że je pamięta, mimo to przedstawił się:

— Glen, Glen Karst. Jest pani tutaj na wakacjach?

— Jesteśmy, a raczej byłyśmy, dopóki nie zapowiedziano huraganu.

— I tylko dlatego wybrałyście Pensacolę? — Nie spuszczał z niej wzroku, jednak wytrzymała jego spojrzenie. Zdawało mu się, że w ułamku sekundy dojrzał potwierdzenie. Doskonale wiedziała, o czym on mówi, wie nie od teraz, iż on tu jest i co znalazł.

Bez mrugnięcia odparła:

— Korzystamy z wakacji. Moje przyjaciółki mogą zaręczyć, że to prawda.

Przerwał im barman, podając tacę pełną kolorowych drinków. Zanim pani Gruber je wzięła, wyjęła z kieszeni wizytówkę, zawahała się, po czym wręczyła ją Glenowi.

— Obecnie mam własną firmę. — Wzięła tacę i wręczyła barmanowi banknot pięćdziesięciodolarowy. — Reszta dla ciebie, kochanie — zwróciła się do młodego mężczyzny i nie patrząc już na Glena, ruszyła do przyjaciółek.

Wrócił do stolika i w zadumie położył wizytówkę.

— Szczęściarz z pana. Dała panu swój numer?

— Nie, miałem jej numer. Zafundowała mi zimny prysznic — odparł Glen. — To eksżona Grubera.

— A ja myślę, że dała panu coś więcej — stwierdziła Maggie.

Podniósł na nią wzrok i zobaczył, że czyta wizytówkę.

Gdy mu ją podała, Glen natychmiast zrozumiał.

Święta prawda, Elaine Gruber prowadziła teraz własny biznes. Zajmowała się wyrobem biżuterii, a jej specjalnością było pozłacanie.